

De II. 2.
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 174.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1884.

SERYA V.

Kwiecień.

TOM II. — ZESZYT IV.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna, Nr. 14.

— 212 —
Ukończono druk dnia 2 kwietnia 1884 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Okruchy literackie. Zebrał Adam Belcikowski.	1
II. Prawo do życia. Przez d-ra Bronisława Łozińskiego.	14
III. Stanisław hr. Wodzicki, prezes senatu b. Rzeczypospolitej krakowskiej, (przyczynek do dziejów Krakowa, 1815—1830. Napisał Mieczysław Krzywosąd-Kępieński. (Dokończenie).	38
IV. Pioruny księcia wojewody. Z opowiadań szambelana. Przez Kajetana Kraszewskiego.	60
V. Z pod Wawelu. VI. Przez No... No...	79
VI. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Uroczystość akademicka: przyjęcie p. Pailleron. — „Francuzi w Polsce,” konferencya p. Jasiewicza. — Wystawa w muzeum botaniczném: ryby i zoofity, odkryte na dnie morskiém. — „Historya uzonego przez nieuka.” — Postęp w zastosowaniu metod Hoëne-Wrońskiego. — Obrazy p. Merwarta na wystawach w Bostonie i Nicei. — Apoteoza Gustawa Doré, przez p. Motty.	99
VII. O upadku Banku włościańskiego w Galicyi. Przez Dr. B. Ł.	113
VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
„O pisowni <i>ija, yja</i> w wyrazach przyswojonych.“ Uwagi d-ra Józefa Majera, ogłoszone w miejsce rękopismu dla rozdzielenia pomiędzy członków Akademii w Krakowie, nakładem autora, 1884, str.	
18. Przez A. A. Kryńskiego.	126
„Zur Geschichte der Entwicklung deutscher, polnischer und jüdischer Bevölkerung in der Provinz Posen seit 1824“ von Eugen von Bergman, mit 2 graphischen Darstellungen. Tübingen, 1883. Verlag der H. Laupp'schen Buchhandlung. Przez E. Callier'a.	133
„Louis XIV et Strassbourg“ par A. Legrelle, docteur ès lettres, troisième edition, Paris, Hachete, str. 796, 1883.	142
IX. Od redakcyi. Odpowiedź redakcyi „Biblioteki Warszawskiej“ na uwagi Atencum w sprawie programu konkursowego: „Obraz historyi literatury polskiej w wieku XVII.“	149
X. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe, artystyczne i społeczne. — Oświadczenie muzeum narodowego w Rapperswyłu (150). — Konkurs na pomnik Mickiewicza (151) - Sprawozdanie Tow. Zachęty sztuk pięknych w Król. Polskiem (152). — Konkurs zgromadzenia drukarzy warszawskich: „Przewodnik dla drukarzy” (153). — Posiedzenie komisji antropologicznej Akad. um. w Krakowie, 12 marca r. b. (157). — Tow. słowiańskie w Petersburgu (156). — „Encyklopedyi wychowawczej” t. III, zesz. 3 (156, 157). — „Słownik geograficzny” t. V, zesz. 3 (157). — „Biblioteka matematyczno-fizyczna” M. A. Ba-	

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 174.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1884.

— 52-35-62 —

Tom drugi.

WARSZAWA.
W DRUKARNI JÓZEFA BERGERA,
ulica Elektoralna, Nr. 14.

—
1884.



De II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 19 Марта 1884 года.

OKRUCHY LITERACKIE.

ZEBRAŁ

Adam Belcikowski.

Stanisław Serafin Jagodyński.—Dominik Morolski.—Józef Bielawski.

Kto ma do czynienia ze starymi szczególnie książkami, temu wpadnie nieraz do rąk rzecz godna zanotowania. Częstoć nie jest to nic nazbyt ważnego, drobniejsza jakaś wiadomość lub okoliczność; ale gdyby nie to przypadkowe napotkanie jój, niktby jój pewnie nau-myślnie nie szukał, albo gdyby jój szukał, nie tak prędkoby ją znalazł i dużo musiałyby wprzód przetrząść ksiązek i w nich się naszperać. Dla tych powodów postanowiłem zapisać tutaj kilka takich luźnych wiadomości, do historyi naszej literatury się odnoszących, które zawdzięczam jedynie przypadkowi, a dokładniej mówiąc, przeglądaniu ksiązek, przy pracy bibliotecznój przechodzących mi przez ręce. Et haec meminisse olim jurabit!... może i to komu na co się przyda, więc żałby było to, co się napotkało i dostrzegło, zostawić bez śladu i puścić w niepamięć.

I.

Otóż najprzód jedném z takich źródeł była niewielka, ale wcale rzadka książeczka ascetycznej treści: „Allegoriae albo Kwieciec mójł gorących, wynalezione dla unurzenia dusze w Bogu,” napisana przez Krzysztofa Chaleckiego. W książeczce samój nie ma nic szczególnego; pan Krzysztof Chalecki nie zajaśniał też przez nią, ani nigdy jaśnieć nie będzie w literaturze. Znalazłem jednak przy niej niedługi wierszyk, w rodzaju przedmowy do czytelnika, który zwrócił więcój moję uwagę z tój przyczyny, że pod nim przeczytałem podpis: „Stanisław Serafin Jagodyński.“ To już chociaż niezbyt rozgłośne, ale znane dobrze imię w literaturze XVII wieku. A o autorze noszącym je niegdyś tak miało wiemy!... może ten wierszyk, nieznany zresztą i zagrzebany

w książeczce p. Krzysztofa Chaleckiego, coś nam o nim powie, rozjaśni choćby jeden szczegół w ciemnym dla nas jego życiu.

Najprzystępniejszą, jedną z najbliższych nam i najbardziej niewątpliwie w naszych czasach rozpowszechnioną biografią Jagodyńskiego, jest króciutka wiadomość, jaką o jego życiu przy wydaniu niektórych jego pism w Bibliotece Polskiej podał wydawca tej publikacji, J. K. Turowski, r. 1860. Ta biografia tak powiada: „Stanisław Serafin Jagodyński, syn Kaspra, urodził się na Żmudzi na początku XVII wieku. Chodził najprzód w Wilnie do szkół jezuickich od roku 1613; później 1619 przeniósł się do Krakowa, gdzie go w dopiero wymienionym roku, podczas letniego kursu, za rektorstwa Jakóba Janidła, Dr. praw i kanonika, wpisano w poczet uczniów akademii Jagiellońskiej” i t. d.

Książeczka p. Chaleckiego większą część tych wiadomości, a mianowicie datę urodzenia Jagodyńskiego i czasu, w którym do szkół miał chodzić, stanowczo zbija. Wydaną ona była u Leona Mamonicza w Wilnie właśnie w tym samym 1613 r., w którym J. K. Turowski każe Jagodyńskiemu rozpoczynać naukę w szkołach jezuickich. Umieszczony przy niej wierszyk Jagodyńskiego składa się z dwóch właściwie części: w pierwszej autor zwraca się „Do Wielmożnego Pana P. Authora,” wyrażając mu podziękowanie za podjęty trud, w drugiej „Do Czytelnika,” polecając mu tę pracę, jako szczególnie dla jego duszy pożyteczną. Jest to zatem jedna z owych rekomendacji, jakie według ducha i zwyczajów owoczesnej literatury tak często w dawnych książkach umieszczano. Podobne rekomendacje, co z natury rzeczy wypada, dawali autorowie już znani, mający wyrobione imię, będący pewnego rodzaju powagą, bo inaczej ani ich pochwała dla autora, ani polecenie dla czytelników, nie miałyby żadnego znaczenia. Im dostojniejszą zaś była z jakichkolwiek względów, czy z talentu, czy z urodzenia, osoba autora, tém znakomitsze musiało być także pióro, które dziełu świeżo ogłoszonemu aprobatę literacką, niejako dawało. W tym wypadku mamy właśnie do czynienia ze znaczną wcale figurą. Pan Krzysztof Chalecki pochodził z możnej rodziny litewskiej, z jednego z tych rodów szlacheckich, które blisko z magnatami się stykały. Jego ojciec, Dymitr, był podskarbisem W. Ks. Litewskiego, starostą mohilewskim i brzeskim, on sam miecznikiem litewskim i także jakimś starostą, bo choć Niesiecki nic o tém nie wie, taki tytuł daje mu w wspomnianym wierszyku Jagodyński, znający zblizka i pewnie dobrze te rzeczy. Taki dygnitarz pewnie lada kogo nie brałby sobie za literackiego protektora.

Z tych wszystkich okoliczności wypada, że Jagodyński musiał daleko wcześniej się urodzić niż to zwykle podają jego biografie, że w r. 1613, w którym pana Chaleckiego polecał czytelnikom, nie mógł być kilkunastoletnim młodzieniaszkiem i prawie dzieckiem, ale autorem posiadającym już pewną reputacyą, a zatem człowiekiem liczącym sobie co najmniej około lat trzydziestu.

Wydawca jego pism w Bibliotece Polskiej nie znał tego wierszyka przy książeczce p. Chaleckiego na czele umieszczonego, lecz pomimo to dziwić się wypada, że inne znane mu okoliczności i daty nie naprowadziły go na to, że Jagodyński w czasie przez niego pierwszy raz nieco dokładniej oznaczonym urodzić się nie mógł. Znany albowiem był temuż wydawcy inny wiersz łaciński, panegiryk na wesele tegoż p. Chaleckiego z Eleonorą Stvoebichin (Niesiecki zapewne mylnie nazywa ją Stichinówną), przez Jagodyńskiego w tymże samym r. 1613 wydany, a nadto między pismami Jagodyńskiego, przez siebie przedrukowanemi, wydał on inny podobny utwór, napisany znów na wesele innego Chaleckiego, Aleksandra z Anną Magdaleną Wojnianką, podkanclerzanką W. Ks. Lit., p. t.: „Nymphika,” który również w nieodległym od poprzednich czasie, bo w r. 1617, u Józefa Korczana w Wilnie był drukowany. Obie daty znanych mu tych prac powinny go były objaśnić, że Jagodyński ani w 13, ani w 17 roku życia ani polskich, ani témbardziej łacińskich wierszy pisać i z niemi podczas uroczystości familijnych rodziny wcale na Litwie znacznej, publicznie występować nie mógł.

Dla przyszłego biografy Jagodyńskiego z omówionych tu przez nas trzech wierszy, wystosowanych wyłącznie do Chaleckich, wypada tylko ten pewnik, że nasz poeta w owym czasie miał lub szukał swoich mecenasów w tej rodzinie, że może według zwyczaju owoczesnego był w tej epoce u nich dworzaninem i że urodzony na Żmudzi, nie oddalał się jeszcze od stron ojczystych daleko, bo przemieszkiwał na Litwie. Ale wkrótce miał się przenieść w miejsca zupełnie inne. W rok po wydrukowaniu swoich „Nymphik” w Wilnie, drukuje on albowiem swoje satyryczne epigramata p. t.: „Grosz,” poraz pierwszy w Krakowie r. 1618, a następnie w r. 1619 znajdujemy go zapisanego w metryce studentów Akademii krakowskiej.

Ta ostatnia data, niewątpliwie pewna, bo jaknajwyraźniej w metryce Akademii zapisana i przez nas naocznie sprawdzona, przemawiałaby pozornie za twierdzeniem Turowskiego o wieku naszego poety i nasze własne obliczenie mocnoby się zdawała zachwiewać, chyba gdyby, co jest nieprawdopodobnym, udało się komu wyszukać, że było w owych czasach dwóch Jagodyńskich tychże samych dwóch imion chrzestnych (Stanisław Serafin). Jagodyński urodzony na początku XVII wieku, a w r. 1619 zaczynający swoje nauki akademickie, to jedno do drugiego bardzo dobrze licuje, bo wiek między np. rokiem 17 a 19 życia, to właśnie najzwyczajniejszy czas owych nauk, zwłaszcza w ową epokę, gdzie po skończeniu lat 13-tu na Akademią się zapisać było można. Ale pozostaje zawsze jedna trudność: owe wiersze polskie i łacińskie, drukowane na kilka lat przedtém, stają zawsze w drodze w przyjęciu tych dat za pewne. Trzeba więc chyba inaczej tę okoliczność sobie wytłómaczyć.

Tłómaczymy ją sobie poprostu tém, że Jagodyński w późniejszym, w dojrzałym już wieku na Akademią się zapisał. Zdarza się to

i dzisiaj, a zdarzało zawsze, że ludzie nawet starsi w poczet studentów wstępowali. Jagodyński, przerzucony nieznajomemi nam kolejami losu do Krakowa, znalazłszy się może w korzystniejszych, niż dotąd, warunkach, zapragnął może uzupełnić swoje wykształcenie, douczyć się tego, czego dotąd uczyć się nie miał sposobności, może znęciły go wykłady którego z wybitniejszych profesorów: dość, że z jakiegokolwiek przyczyny mógł zapisać się na Akademię, choć już dawno minęły mu lata, w których zwyczajnie te studia się odbywa.

Odtąd Kraków lub jego najbliższe okolice musiały być stałą siedzibą Jagodyńskiego, wszystkie bowiem jego późniejsze prace (Dworzanki, Maszkary mięsopustne, Wybawienie Ruggiera i Pieśni Katolickie), bez wyjątku w Krakowie były drukowane. Los też poszczęścił mu i podniósł go o jeden stopień w górę w jego karyerze, bo z przypuszczalnego dworzanina panów litewskich został, dzięki swemu dowcipowi i krotofilności (jak się wyraził Siarczyński), posunięty na dworzanina królewskiego. To przynajmniej z pewnością wiemy, że z dworem królewicza Władysława odbywał podróż za granicę, do Niemiec, Belgii i Włoch. Domyślamy się, że do orszaku królewicza wzięty był nie z innego powodu, tylko jako poeta i literat, który będąc biegłym w piórze, mógł się do oświetnienia tej wycieczki młodego księcia przyczynić, czy to przez jej opisanie, czy też przez dowody swojego dowcipu i literackich wiadomości, któremi wobec cudzoziemców mógł pochlebne złożyć świadectwo o ogólnem wykształceniu swych współziomków. Okoliczność ta przemawia również za dojrzałym już w owe czasy wiekiem Jagodyńskiego, bo młodzieniec zaledwie dwudziesto lub dwudziestokilkoletni zapewne nie mógłby być jeszcze zdobyć sobie powszechnej opinii, że podobnemu zadaniu podoła, i sława jego nie byłaby jeszcze doszła tak wysoko, bo aż do ucha królewskiego. Królewicz Władysław wyjechał w tę podróż, jak powiada Twardowski Sam. w swój wierszowanej panegirycznej biografii: „Władysław IV,“ dnia 17 maja 1624 roku, a z pierwszą wiosną następnego roku powrócił do kraju.

Jedynym plonem literackim Jagodyńskiego z tej podróży, a zarazem najlepszą bezwątpienia jego pracą poetyczną, było tłumaczenie jednej z tragedyi, jakie dla królewicza dawano we Florencyi p. t.: „Wybawienie Ruggera z wyspy Alcyny“ po włosku napisanej przez Saracincelle'go. Wizyta we Florencyi należała do najcenniejszych epizodów tej podróży, a mianowicie nigdzie, jak zapewnia Twardowski, a czemu łatwo wierzyć, znając tradycyjne zamiłowanie sztuk pięknych dworu Florenckiego, nie rozwinięto tyle przepychu i okazałości w rozmaitych widowiskach, jakimi dostojnego gościa uraczyć chciano ¹⁾.

¹⁾ Pobyt królewicza Władysława we Florencyi opisuje dosyć szczegółowo dziennik tej podróży, spisany przez Stefana Paca, a wydany przez nas w r. 1854 we Wrocławiu p. t.: „Obraz dworów europejskich na początku XVII wieku“ (str. 140 sqq.).—O Jagodyńskim, jako towarzyszu podróży,

Ludzie i zwierzęta występowali na arenach przed koronowanymi widzami; szermierze i atleci walczyli z sobą o lepsze, a rozjuszone lwy, lamparty, niedźwiedzie i brytany, szarpały się kłami i pazurami dla ich przyjemności, a oprócz tego i szlachetniejsze igrzyska Muzy miały także otwarte dla siebie szranki. Więc naprzód dawano tragedya:

„O Orszuli świętej,
Z towarzyszek tak wielą od Attyle ściętej,“

a następnie: „Dnia drugiego w pałacu arcyksiężnej saméj“ ową „Scenę Ruggerową,“ ze wszystkimi cudami i sztukami dekoracyi, maszyneryi, śpiewu i baletu, która szczególnie widzom a mianowicie polakom podobać się musiała, skoro ją nadworny poeta podróży królewicza dla utrwalenia i pamięci tego wrażenia na język ojczysty przełożył i w Krakowie 1628 r. wydał. Być może, ponieważ nie znamy pierwszój z tych sztuk o św. Urszuli i nie wiemy co w sobie zawierała, że skłoniły go do tego przekładu pochlebne apostrofy wprost do osoby królewicza w Ruggierze wystosowane. Tłómacz podał tym sposobem do wiadomości całego ogółu polskiego, co zagranica na pochwałę młodego Władysława głośno i w świetném zebraniu książąt i panów wypowiedziała, i chociaż nie oryginalnym utworem wywiązał się przez tę pracę z obowiązku, który na przyjęcie go w poczet towarzyszków królewicza najwięcej bezwątpienia wpłynął.

Po wydaniu Ruggiera ustają prawie wiadomości o życiu Jagodyńskiego. W Encyklopedyi Powszechnój Orgelbranda znajduję tylko wzmiankę, że później jeszcze nasz poeta, snąc zachęcony powodzeniem pierwszego przekładu, przetłómaczył niektóre utwory Petrarki i tłómaczenie to, mające dotychczas spoczywać w Bibliotece Zamoyskich w Warszawie, królowi Władysławowi IV dedykował. Ztąd, jak słuszny czyni wniosek autor owego artykułu, widać, że przekład ten najwcześniej 1633 r. był zrobiony lub ukończony. Odtąd głucho już zupełnie o Jagodyńskim. Nie bardzo płodny przez całe życie, może zamilkł teraz, a może i umarł wkrótce, co znowu przemawiałoby za naszym obliczeniem, i za posunięciem daty jego urodzenia dość daleko wstecz od końca w. XVI.

O innych jego pracach należy się jeszcze powiedzieć słów kilka. Jagodyński w pewnej epoce swego życia, najpewniej po przeniesieniu się do Krakowa, musiał się także zajmować heraldyką, skoro niejaki Giermański Stan., wydając (w Krakowie 1621 r.) krótki zbiorek heraldyczny, ten sam podobno, który później przez Górczyna był powtarzany p. t.: „Summaryusz klejnotów abo herbów“ dodał na tytule, że

nie ma jednak żadnej wzmianki, co się tylko przez to tłómaczy, że musiał zajmować bardzo skromne, wcale nie wybitne stanowisko. Zastanawia to tym bardziej, że jako poeta, powinienby był zwracać większą na siebie uwagę na dworze królewicza, otaczającego swemi względami ludzi nauki uprawiających sztuki piękne.

Przyp. Red.

był „z różnych autorów, a mianowicie z Bielskiego, z Paprockiego i scriptów S. S. Jagodyńskiego zebrany.“

Niepewny i nieznanym jest czas, w którym powstała i poraz pierwszy była wydana jedna z jego prac, którą może więcej od wszystkich przysłużył się ogółowi, choć dotychczas mniej powszechną zwracała na siebie uwagę. Jestto zbiór śpiewów kościelnych p. t.: „Pieśni katolickie nowo-reformowane i z polskich na łacińskie, a z łacińskich na polskie przełożone, niektóre téż nowo złożone.“ Jagodyński jest więc tych pieśni poczęści tłumaczem i to dwojakim, bo łacińskie przekładał na język polski a polskie na łaciński, poczęści zaś oryginalnym autorem. Z trzech różnych wydań tego dzieła, które posiada Biblioteka Jagiellońska, jednemu brakuje tytułu, na dwóch zaś innych wyrażone jest tylko miejsce druku: „Cracoviae, in officina Francisci Caesarii,“ widoczną jednak jest rzeczą, że są to książki, pochodzące z końca w. XVII, wtenczas, kiedy drukarnia Cezarych była już własnością trzeciego z rządu Franciszka, wnuka pierwszego jój założyciela. Wydania te równoczesne są zatem z edycją, opisywaną zwykle przez naszych bibliografów, a wydaną także w téj saméj drukarni r. 1695 (Encyklopedia i Siarczyński mylnie podają r. 1595).

Jeżeli w ostatnich latach XVII w. tyle było różnych wydań téj książki, można śmiało przypuszczać, że dawniej, t. j. za życia Jagodyńskiego i w czasie bliższym jemu musiało także być niejedno, a nawet dosyć znaczna ich liczba. Ze znanych, a powtarzających się co parę lat wydań ostatnich, widać, że to była książka popularna i ulubiona, że pobożni czytelnicy musieli wiele jój egzemplarzy zużywać, że jój do podniesienia ducha w domu i do nabożeństwa w kościele używano. Tymczasem, kiedy ją Jagodyński wydał raz pierwszy, i kiedy później on albo inni te wydania powtórzyli, przez pół wieku nie ma najmniejszego śladu.

Już Juszyński chwalił ten zbiór i zaszczytnie go wyróżniał od późniejszych szczególnie, w czasach zepsucia literatury i przesadnego ascetyzmu, wydawanych śpiewników, mówiąc o nim: „Nie masz tu owych piosnek, które pełne prostoty (prostactwa) i nikczemności umieszczone były później we wszystkich kancyonałach.“ Rzeczywiście, wszystko, co było najlepszego w tym rodzaju, począwszy od „Bogarodzicy“ umieszczonej tu również, jak i inne pieśni z tekstem łacińskim, zebrał Jagodyński w swoim śpiewniku, na którym téż znać, że go układał człowiek wykształcony i z prawdziwym smakiem poetycznym.

II.

Jan Dominik Morolski nie jest osobistością znaną w naszej literaturze. Gdyby nie był zostawił po sobie kilkunastukartkowej książeczki, niktby nawet nie wspomniał jego imienia. Książeczką tą są wiersze, napisane na zgon jego żony Zofii z Kłosowskich, zmarłej w pię-

tnastym roku życia po dwóch zaledwie miesiącach małżeństwa, wydane w Krakowie 1628 roku p. t.: „Pamiętka śmierci małżonki Jana Dominika Morolskiego w Krakowie Roku Pańskiego 1627 podczas jubileuszu wielkiego chwalebnie zmarłej i pochowanej!“ Z powodu tych wierszy wspomniany był Morolski przez Juszyńskiego i Siarczyńskiego z dawniejszych, z nowszych przez Encyklopedyą Powszechną Orgelbranda i p. Faleńskiego w jego studyum o Trenach J. Kochanowskiego. Jednogodnie wszyscy piszący o nim przyznają mu talent, chwałą jego wiersz piękny i język, i prawie wszyscy widzą w nim jednego z licznych naśladowców Trenów, które śmierci Urszulki zawdzięczają swój początek.

Nie mam nic przeciw pierwszemu z tych zdań. Rzeczą jest niezaprzeczoną, że w wierszach Morolskiego widać talent, którego by się nawet nikt nie domyślał, biorąc poraz pierwszy do ręki książkę, napisaną przez autora tak mało znanego, przez autora, który dawszy raz tak znakomity dowód biegłości w piórze, nigdy już potem niemię nie ruszył. Ale na to zgodzić się nie mogę, aby on pisał swoje żale „wzorem Kochanowskiego“, aby był naśladowcą wielkiego naszego poety. Nie znając obcych zdań wyrażonych o nim, kiedy jego „Pamiętkę śmierci“ czytał, uderzyła mię w tych wierszach ta przedewszystkiem okoliczność, że ten pisarz od wielu innych naśladowców, bliższy co do czasu Kochanowskiemu, tak bardzo od tego wspaniałego i pociągającego wzoru się oddalił, i na własny sposób to, co czuł wyśpiewał.

Powiedziałbym, że pod tym względem możnaby postawić Morolskiego na równi z Wacławem Potockim w jego Peryodach t. j. żalach na śmierć syna pisanych. Potocki także nie naśladuje Kochanowskiego, i dla tego p. Faleński, który nawet najmniejszego znaczenia pisarzów w tym rodzaju w rządzie naśladowców Kochanowskiego pomieścił, jego całkiem słusznie w swoim studyum pominął. Kochanowskiego Treny są dziełem klasycznym, nietylko w tém znaczeniu, że są doskonałym dziełem sztuki, ale także i dla tego, że na nich, jak zresztą na wszystkich jego utworach, znać charakter i ducha renesansu czyli odrodzonego klasycyzmu. Potocki żył i pisał, kiedy literatura z pod wpływu klasycyzmu się usamowolniła, kiedy on działał więcęć pośrednio w połączeniu z innymi zupełnie czynnikami, i kiedy nadto duch ascetyczny i wyobrażenia chrześcijańskie, zasymilowawszy się stanowczo z duchem narodowym, przemogły nad tradycjami starożytnego Olimpu. W środku pomiędzy nimi co do czasu stojący Morolski nosi również na sobie wybitne znamiona swjej epoki. Jestto dziecko renesansu chylącego się do upadku, poezya jego mocno przypomina smak zwany *rococo*, a podstawną jej artystyczną formą możnaby powiedzieć, że są wszechwładnie w owe czasy panujące wszędzie *concetti*. Jedną myśl przerabia on i powtarza w najrozmaitsze sposoby i kształty, linie proste lub regularne koliste mu nie wystarczają, tworzy on arabeski gnące się w przeróżnych kierunkach, i uderzające oko swą wyszukaną formą. Możnaby zarzucić mu

śmiało nienaturalność, posądzić go, że żal swój i płacz udaje, gdybyśmy tego ducha czasu nie wzięli na uwagę, tak daleko mu od klasycznej prostoty Kochanowskiego i od potężnego religijnego uczucia w Potockim.

Z tego też powodu wynika ten naturalny wniosek, że Morolski do Kochanowskiego zupełnie jest niepodobny. Dawniejsi pisarze goślostwornie to tylko twierdzili, jakby wystarczyło im to dowodzenie, że jak Kochanowski pisał żale na śmierć córki, tak Morolski na śmierć żony—ergo musiał go naśladować. P. Feleński, lepiej rzecz zbadawszy, był sprawiedliwszy i w sądach swoich ostrożniejszy. Więc niż dziewięć dziesiątych wierszy Morolskiego, mianowicie nagrobki i epigramata w najrozmaitszy sposób jeden i ten sam temat obrabiające, które jak na pierwszy rzut oka widać z poezją Kochanowskiego nie mają nic a nic wspólnego, usunął zpod zarzutu czy też od pochwały naśladownictwa. Naśladowaniami wydały mu się jedynie „właściwe Treny w liczbie trzech, mające już wiele wspólnego z Kochanowskim, mianowicie też trzeci z rzędu, w którym powtórzono obraz Orfeusza i Nioby, jak jest w Trenie Kochanowskiego XIV i XV.“

Zajrzyjmy więc w te ustępy i porównajmy je ze sobą.

Morolski pisze tak:

„Orpheus ociec cudowney muzyki,
Pozbywszy przez śmierć miłej Eurydiki,
Aza się śmierci lęka? aza swego
Ochrania zdrowia osierociałego?

Sam się w podziemne drze gwałtem krainy,
Do niedostępnej ludziom Proserpiny,
Nie dba, choć tam pies z troistą paszczeką.
Mieć a postradać to u niego męką.

a dalej zaraz potem:

Jeśli Niobe matka nieszczęśliwych
Dzieci, tak płacze y krzyczy nieżywych,
Że się od żalu i lamentow siła,
Żywa w nieszczęsny kamień obróciła.
Barziew przystoi mężowi sierocio“ i t. d.

U Kochanowskiego czytamy, najprzód w Trenie XIV:

„Gdzie te wrota nieszczęsne, ktoromi przed laty
Puszczal się Orpheus szukając swój straty?
Żebych ja też tą ścieżką swcy najmilszój oóry
Poszedł szukać, y on bród mógł przebyć, przez który
Srogi jakiś przewoźnik wozi blade cienie,
I w lasy nie wesołe cyprysowe żenio.
A ty mię nie zostaway, wdzięczna lutni moja!
Ale ze mną pospołu podź, aż do pokoja

Surowego Plutona; owa go, to łzami,
To temi żalonymi zmiękczywa pieśniami,
Że mi moję namilszą dziewczkę jeszcze wróci...

Z Trenu znów XV, opuściwszy kilka wierszy z początku, zaczynamy od apostrofy do Nioby:

„Nieszczęsna matko! (jeśli przeczytać możemy
Nieszczęściu, co prze głupi swój rozum cierpiemy),
Gdzie teraz siedm twych synow i dziewczek tak wiele?
Gdzie pociecha? gdzie radość i twoje wesele?
Widzę czternaście mogił, a ty, nieszczęśliwa,
I podobno tak długo nad swą wolę żywa,
Oblapiasz zimne groby, w których, ach niebogo!
Składłaś dziateczki swoje zagubione srogo;
Takie więc kwiaty leżą kosą podsieczone,
Albo deszczem gwałtownym na ziemie złożone!
W którą nadzieję żywisz? czeka czekasz więcej?
Czemu śmiercią żalości nie zbywasz co prędzej?
A wasze prędkie strzały, albo łuk, co czyni
Niepochybny o Phoebe i mściwa bogini!
Albo z gniewu (bo winna) albo więc z litości,
Dokonajcie prze Boga! jój biednej starości.
Nowa pomsta, nowa każń hardą myśl potkała,
Dziatek płacząc Niobe sama skamieniała!
I stoi na Sipilu marmor nieprzetrwany,
Jednak i pod kamieniem żywią skryte rany,
Jój bowiem łzy serdeczne skałę przenikają,
I przezroczystym z góry strumieniem spadają,
Skąd zwierz i ptastwo pije, a ta, w wiecznym łacie
Tkwi w rogu skały, wiatrom szalonym na wstręcić.
Ten grób nie jest na martwym, ten martwy nie w grobie,
Ale samże jest martwym, samże grobem sobie.

Naśladownictwo w poezji polega na używaniu tych samych motywów w działaniu, tych samych rysów charakteru, albo téż wreszcie tych samych obrazów poetycznych. Tutaj naturalnie o tych ostatnich głównie mogłaby być mowa. W czémże widać to naśladownictwo? Gdyby Morolski był chciał, w szeroko nakreślonych obrazach Kochanowskiego, w tysiącnych ich szczegółach, z których w każdym myśl może znaleźć podniętę do nowego obrazu, mógłby był czerpać zaiste obficie! Ale porównawszy jego słowa ze słowami Kochanowskiego, musimy przyznać, że tego nie uczynił. Wspólność jego z Kochanowskim ogranicza się, można powiedzieć, do samych tylko nazwisk Orfeusza i Nioby. Że te dwie mitologiczne postacie tu przytoczył, porównyując podobnie jak Kochanowski ich los ze swoim, czyż do tego potrzeba było naśladować nieśmiertelne Treny? W owych czasach mi-

tologia była na porządku dziennym; kto tylko chodził kiedy do szkół i uczył się łaciny, nietylko z tych co się później pióra imali, ale nawet z braci szlachty, co chodziła za pługiem, lub wyprawiała harce z tatarami, znał ją z pewnością lepiój niż dzieje własnego kraju. Morolskiemu, kiedy opiewał własne bóle, te dwie postacie żałobne stanęły przed oczami podobnie jak Kochanowskiemu, nie dla tego, żeby mu się przypomniały *Treny*, ale dla tego, że to były porównania powtarzane wówczas bez końca, z którymi każdy spotykał się niemal codziennie i u autorów starożytnych i u pisarzy ojczystym językiem piszących, że to były porównania, nie waham się powiedzieć, powszechnie kursujące w owęj epoce jako zdawkowa moneta. Pożyczać jeden od drugiego nie byłoby potrzeba tego, co wspólną wszystkim było własnością.

Kto zresztą był ten Morolski, jaki był jego stan i jakie losy? nie wiemy o tém nic. Może jakie wyjaśnienie mógłby nam dać nagrobek jego żony, bo opłakana tak gorąco przez męża, musiała być przez niego i jakim kamieniem grobowym uczczona. Ale los i téj wskazówki drobnój nam odmówił. Zofia Morolska pochowana była w Krakowie w kościele Wszystkich Świętych, a kościół ten zburzony, już od wieku blisko nie istnieje.

III.

Najgorsze przysługi oddają podobno niezręczni przyjaciele, ale gorsze jeszcze od nich oddają sobie ludzie sami, jeżeli chcąc się przed światem pochwalić tém, co pochwały nie warte, dadzą sobie największą jaka może być naganą, jeżeli chcąc sobie napisać panegiryk, napiszą, mimo swęj wiedzy i woli, satyrę na siebie.

Podobna refleksya przyszła mi na myśl, gdym przeczytał pięciokartkową broszurę z początku tego wieku, niedbałym drukiem na ordynarnym papierze wydrukowaną pod szumnym tytułem: „Obraz życia Józefa Bielawskiego, niegdy Generała Adjutauta Buławy wielkiej W. X. Litewskiego.“

Któż z nas nie zna nazwiska pana generała adjutanta buławy wielkiej W. Ks. Litewskiego? nie z jego pism zapewne, bo te utoneły dziś „w niepamięci fali;“ ale z tego, że niegdy ostrzyli na nim zjadliwy swój dowcip literaci z czasów Stanisława Augusta, a szczególnie Węgierski. Satyrykom i krytykom możnaby jednak nie wierzyć; Bóg wie przez co nieraz człowiek ściągnie na siebie ostre wyroki i złośliwość swych bliźnich? Można przecież i nie mieć talentu i pisać źle, a mimo to nie zasługiwać jeszcze na ciągły i pośmiewisko, których przedmiotem tak często bywał pan generał adjutant. Ale właśnie w téj nieszczęśliwój broszurze, której bodajby był przez wzgląd na swoje dobre imię nigdy Bielawski nie wydawał, mamy wyraźny i niezbity dowód, że na to, co otrzymał od swych współczesnych, całkowicie zasługiwał.

Jak ze wstępu w rodzaju dedykacyi widać, „Obraz życia“ dru-

kowany był, a prawdopodobnie i napisany w r. 1806. Czterdzieści jeden lat już więc upłynęło od chwili, kiedy z polecenia króla Stanisława (dziwić się należy, dla czego król jemu to polecił, i czy nie lepszym do tego był w owe czasy np. Bohomolec) otwierał Bielawski teatr narodowy w Warszawie nad wszelki wyraz słabą swoją komedią: „Natrecci,” a siedmdziesiąt już blisko lat liczył sobie wtedy autor. Wiek za prawdę obowiązujący każdego, nietylko adepta Muz, do powagi i szanowania siebie samego! Tę swoją pracę, niezawodnie ostatnią w życiu, ofiarował Bielawski właśnie co urodzonemu potomkowi pewnej możnej rodziny, której po nazwisku wymieniać nie widzimy potrzeby, pochlebiając sobie, „że (jak się wyraża) ten rysunek życia mego otworzy mu drogę do nieśmiertelnej chwały; zaszczępi w nim chęć do nauk, dar podobania się i szacunek największy dla płci ślicznej, której życie i wszystko winniśmy; rozciągnie sławę jego po całej Europie i pomknie mu granic życia do stu lat...”

Przypadkiem znaleźmy, więcej niż w pół wieku później, tego człowieka, któremu Bielawski w kolébce tak szumne składał życzenia, i możemy zapewnić, że nic a nic z nich się nie spełniło. Przykłady i wzór do naśladowania, jakie mu poeta w swojej osobie przedstawił, „nie rozciągnęły sławy jego po Europie;” był sobie to jeden z najwykleszych i najpospolitszych śmiertelników.

Ależ bo téż i nieszczególne wzory dawał mu Bielawski w „obrazie swego życia.” Właściwie mówiąc, nie ma w tych wierszach żadnego „obrazu życia;” jest tylko kilka pochwał oddanych sobie bez żadnej ceremonii i dowodzących niezmiernéj płytkości umysłu autora.

Życiem odebrał, duszę wlał Bóg w ciało,
Komuż się więcéj nademnie dostało?
Cieszę się z zdrowia, które w oddychaniu (?),
Poświęca duch mój Muzom i kochaniu.

Tak się poczyną ten „obraz,” poczem zaczyna się Bielawski chwalić, że nigdy nie pragnął cudzego dobra, że „myśl dumna i chciwa” nigdy mu snu nie przerywała, że nikomu nigdy nie pochlebiał, przyjaciół nie zdradzał, nie miał nigdy kart w ręku,

Lecz tylko lutnię, albo pióro wieszczę (l).

Najbardziej rażącą w tych pochwałach bez ogródki sobie oddawanych jest zarozumiałość, z jaką wyobrażał sobie, że jest znakomitym poetą, i że imię jego do nieśmiertelności ma prawo. Z miną zwycięzcy i tryumfatora przypomina dawne swoje spory literackie, i pokonanie przeciwników, których zaiste zwyciężyć był zaskąby, przypisuje potędze swojego pióra.

Wzywam za świadków Nieba i Warszawy,
(także szczególne zestawienie!)
Jeżelim piórem sięgał cudzej sławy,

Lub zębem złości o dom czyj zawadził,
 Albo dopełnić zbrodni komu radził.
 Kto mi tak podły w życiu krok pokaże,
 Niech mię z pamięci i z serca wymaże,
 Niech z ksiąg Parnasu wydrze imię moje,
 A swoim Feba okryje pokoje (?).
 Żem się zaślaniał, Greków idąc torem,
 Zaostrém trochę od napaści piórem,
 Nie mnie winujcie, lecz wścickiego człeka,
 Co kąsa, gryzie i za drzwiami szczeka.
 Mych obowiązków (!) prawa dopełniłem,
 Gdy z chwałą Muzów (!) tę Hydrę uśpiłem.

W uwadze objaśnia, że to odnosi się do dwóch Satyr, które napisał na tych, co paszkwile piszą.

Wiele śmieszności jest w tém stawieniu się na piedestalu, i wielki brak rozumu widać w tém zaślepieniu miłości własnej, które człowiekowi na schyłku życia będącemu nie pozwalało widzieć, ile był wart i co rzeczywiście zrobił na świecie. Śmiesznym jest także Bielawski ze swoją galanterią dla płci pięknej, z którą tu co chwila na plac wyjeżdża, zwłaszcza jeśli weźmiemy na uwagę, że to czyni w wierszach ofiarowanych nowonarodzonemu dziecku, które gdy do pewnych lat przyjdzie, ma z „tego obrazu życia” czerpać dla siebie naukę i przykład do naśladowania. „To jest pewna (powiada w Notach), żem wszystko (to wszystko, zaprawdę, bardzo jest niewiele) winien Muzom i kochaniu; miłość stworzyła mi drogę do cnót, do nauk i do chwały (!?),” i następnie przytacza ustęp „z mych piosneczek:”

Bo miłość jest mym żywiołem,
 A me serce jój kościołem.
 Bo kochanie jest mym bogiem,
 Wzdychać będę i za progiem,
 I w czasie twój niełaski,
 Jeszcze westchnie Bielawski (!).

Wiemy, że galanterya w wieku, w którym żył, była chlebem powszednim; ale tak dziecinnie, tak śmiesznie nikt się z niej nie spowiadał, chyba istoty próżne i bezmyślne, których imię razem z życiem przepadło na wieki.

Zapewnieniom Bielawskiego, że był poczciwym i prostodusznym człowiekiem, że się nie spodlił żadnym brzydkim czynem, możemy wierzyć całkowicie. Doczekał on się spokojnej i pogodnej starości, w późnych już latach, kiedy często innych dręczą troski i dolegliwości, jemu „smacznego snu w łóżku nie nie przerywało.” I tego można mu powinszować, choć za wielką zasługę poczytywać nie można, bo zwykle

ci śpią najlepiej, na oba uszy, którym myśli w głowie nie ciąży i którzy zasklepią się w ciasnym widnokregu ograniczonego umysłu i w miłym sobkostwie.

Jednym słowem, był to typ płytkich umysłów swojego czasu, śmieszny dla tego, że nie poznawał swjej nicości i pozował na wielkość. Jego przeciwnicy literaccy nie wyrządzili mu żadnej krzywdy, robiąc z niego cel pośmiewiska. On sam nic lepszego sobie samemu nie zrobił i zdanie ich jaknajzupełniej potwierdził.

PRAWO DO ŻYCIA.

NAPISAŁ

Dr. Bronisław Łoziński.

I.

Jak w farmakopei niebezpieczne leki, sprowadzające zatrucie w razie niewłaściwego użycia, tak w katalogach księgarskich wiele dziesiętnych publikacji, traktujących o społeczeństwie i państwie, wypadłoby dla przestrogi zaznaczyć krzyżykiem. Dopóki nie zblednie do reszty, czego może już niezadługo się doczekamy, system bardzo popularny do niedawna w tej gałęzi umiejętności, system atomistyczny, biorący w swoich wywodach o ustroju społecznym i państwowym za punkt wyjścia nie społeczeństwo, lecz jednostkę, i stosujący ten ustrój do potrzeb i wymagań jednostki; często spotkać się można z rozprawą, napisaną wprawdzie przez autora, nie poczuwającego się bynajmniej do wspólności z utopiami socjalizmu, a jednak naprowadzającą czytelnika inteligentnego na konkluzye blizkie tych utopii. Zręczny pisarz socjalistyczny mógłby z takich rozpraw ułożyć antologią, wykazującą triumf idei socjalistycznych na polu naukowym. Ten system atomistyczny wytworzył teorią o państwie praworządnym (Rechtsstaat), która długo wydawała się wcielonym ideałem, ziszczeniem wszystkiego, co wymarzyli filozofowie. Wrzekomo zacząć się miała era panowania prawa na każdym polu życia jednostki i społeczeństwa, a hasła o równości i wolności indywidualnej weszły formalnie w obowiązujące normy prawa konstytucyjnego. Społeczeństwo i państwo straciły w tym systemie charakter samoistnych organicznych ustrojów, zmieniły się niejako w konglomeraty indywiduów, wytworzone drogą arytmetyczną, przedstawiające tylko sumę ogólną jednostek, połączonych ze sobą wspólnym węzłem prawnym. Liberalizm nowoczesny przypisał sobie rolę głównego reprezentanta i stróża wszystkich tych pięknych zasad, które czas jakiś wystarczały mu za blichtr polityczny. Życie społeczne i państwowe nie dało się jednak nagiąć do doktryn nawet idealnie brzmiących, a cały ich urok nie wystarczył nawet na opanowanie je-

dniej generacji. To też wszędzie, gdzie pod osłoną doktryn państwa praworządnego do niedawna liberalizm wydawał się wszechwładnym, zapanował widocznie zwrot zasadniczy, a nawet najwytrwalsi marzyciele zaczynają obudzać się ze złudzeń. Ogół, któremu za kryterium służy praktyczny rezultat a nie abstrakcyjna wartość doktryny, najprędzej przyszedł do przekonania, że na tej nowej erze nietylko nie zyskał, lecz nawet boleśnie się rozczarował. Jednostka przeciwstawiona społeczeństwu i państwu, jak każda jednostka arytmetyczna sumie ogólnej, zyskała tylko nowe i śmielsze aspiracje, które ziścić się nie dały i nie dadzą, bo państwo i społeczeństwo mają wytknięte naturą swoją tory życia i rozwoju tak samo niezmiennie, jak w ogóle prawidła natury. Do absurdu doprowadzono szczególnie w Niemczech wszystkie doktryny państwa praworządnego, nie wyłączając nawet prawa powszechnego głosowania, które, jako wrzekomo najwybitniejsze znamię równości politycznej, jako korona całego systemu, największą dumą przejmowało zwycięzki liberalizm.

Ale mimo zdyskredytowania się w praktyce, system atomistyczny pod względem książkowym jeszcze nie stracił siły żywotnej, owszem, obfitemi pracami na temat bieżących kwestyi politycznych i społecznych ciągle się przypomina. W polityce doktryny jego nie są tak niebezpieczne, bo w najgorszym razie wytwarzają tylko rozczarowania i niezaspokojone wymagania. Natomiast na polu zagadnień społecznych to wysuwanie jednostki przeciw społeczeństwu ułatwia nadzwyczajnie skuteczną propagandę socjalizmu książkowego. Jeżeli prawnik zaślepiony w indywidualizmie stawia twierdzenie, że społeczeństwo jest niejako wielkiem towarzystwem, w tym samym rodzaju, jak inne towarzystwa, że zatem prawa członka tego społecznego towarzystwa w ten sam sposób określać należy, co prawa uczestników innych towarzystw, to zręczny propagator mrzonek socjalistycznych potrzebuje tylko powołać się na te wywody i wysnuć z nich, jako naukowo uzasadnionej już premisy, cały szereg wniosków najdalej idących. Wszystko, co socjalizm stawiał dotąd jako postulata swoje, więcej w sposób brutalny niż naukowy, mógłby dzięki nowym teoryom ująć już w formę naturalnego wyniku najświeższych badań nad naturą, ustrojem i istotą społeczeństwa. Niejeden autor tej szkoły możeby był pracę pozostawił w rękopisie na zawsze, gdyby był przewidział, jak cenną przysługę wyświadcza nią socjalizmowi.

Do tego rodzaju prac, bezwiednie na rzecz socjalizmu pisanych, należy świeżo w Wiedniu wydana broszura d-ra Juliusza O f n e r a: „Das Recht zu leben” (Prawo do życia). Jest to odczyt, wygłoszony przez autora na zebraniu klubu naukowego w Wiedniu. Gdyby broszura ta nie stanowiła charakterystycznego symptomu w duchu powyższych uwag, a więc symptomu poważnego pod względem naukowym, może nie zasługiwałaby na tak szczegółową uwagę. Temat bowiem nie jest nowy. Sam tytuł przypomina jeden ustęp mowy Robespierrea, wygłoszonej w konwencie. „Co jest pierwszym celem społeczeń-

stwa?—tak opiewa ten ustęp.—Ochrona nietykalnych praw człowieka. Które z tych praw jest pierwszém? Prawo do życia.” Od tego czasu na temat prawa do życia pisano wiele, ale mimo to dr. Ofner ma zasługę oryginalności, bo wysnuwa to prawo z wszelkimi pozorami ściśle naukowej dedukcyi z ciekawej, chociaż w konsekwencyach szkodliwej doktryny, która stawia społeczeństwo na równi ze stowarzyszeniami. Żeby czytelnika dobrze poinformować, a zarazem zyskać podstawę do dalszych własnych uwag na temat prawa do życia, podamy z broszury d-ra Ofnera resumé szczegółowe. Chodzi tu nie o samo tylko zaspokojenie ciekawości, jaką wzbudzać musi w czytelniku wszelka oryginalność, a szczególnie oryginalność w pomysłach na temat kwestyi społecznych. Ważniejszém jest zastanowienie się, czy naprawdę dzisiejsze urządzenia społeczne i państwowe są tak niewystarczające dla ochrony życia, żeby aż należało wstrząsać ich podwalinami i szukać nowych podstaw, przyczém tak łatwo zejść z drogi prost na manowce bez wyjścia.

Chociaż rozprawa dr. Ofnera stanowiła odczyt, wymagający z natury rzeczy lekkiej formy i pewnej żywości w traktowaniu przedmiotu, mimo to autor z niemiecką systematycznością zaczyna od postawienia dwóch pytań wstępnych: co to jest prawo? co to jest życie? Jedno i drugie pytanie zaprzętało już pewnie więcej filozofów, aniżeli autor miał słuchaczy i wydało więcej dzieł głęboko pomyślanych aniżeli kartek lub nawet słów zawiera cała rozprawa. Ale mając do czynienia z publicznością, słuchającą tylko odczytów i nieskłoną do głębszych filozoficznych studyów, autor postąpił sobie słusznie a raczej lojalnie wobec słuchaczy, tłumacząc popularnie wstępne pojęcia filozoficzne. Zresztą musiał nawet wyrazić swoje zapatrywanie na te kwestye wstępne, ażeby wnioski były w harmonii z założeniem i aby słuchacz mógł z nim razem, niejako równym krokiem, zdążyć do wspólnego celu t. j. do ostatecznych wniosków. Oto zapatrywania autora:

Celem każdego ustawodawstwa jest dobro ogólne. Żeby zdanie to bliżej objaśnić, szuka autor porównaczego objaśnienia w objawach naturalnych. O ruchu wszystkich ciał niebieskich (np. planet) rozstrzyga ogólna grawitacya. Ciało takie grawituje ku innym, które je otaczają, więc musiałoby się ku prawej i ku lewej stronie równocześnie zwracać. Ale z sił w ten sposób działających równocześnie powstaje siła wypadkowa, rozstrzygająca o stopniu i kierunku ruchu, a nazywana grawitacyą ogólną. Takie znaczenie ma także dobro ogólne. Dobro pewnej jednostki wymaga często środków przeciwnych tym, które służą dobru innej jednostki. Społeczeństwo musi zatem wybierać drogę pośrednią, odpowiadającą ile możności dobru wszystkich. Celem téj drogi jest dobro ogólne.

Ustawodawstwo ma na celu dobro każdej jednostki. Czy każda jednostka ma prawo do szczęścia? Odpowiedź na to pytanie wymaga nowój dygresyi, mianowicie objaśnienia różnicy między prawem pozy-

tywném, wpływającym z obowiązujących ustaw i zostającym pod opieką państwa a prawem racjonalném (naturalném), które nie sięga po ideały, wymarzone przez poetycznie nastrojonych prawników i filozofów, lecz tylko z życia i stosunków rzeczywistych czerpie i wskazuje treść, jaką zawierać powinna ustawa pożądana i przez ogół wymagana. Racjonalne prawo wymaga od ustawodawstwa ile możności zupełnego zabezpieczenia pewnego stanu w chwili obecnej i miarę tego zabezpieczenia stosuje do możliwości. Jeżeli zaś panujące stosunki wykluczają możność takiego zabezpieczenia a ustawodawstwo, naginając się do danych warunków, okazuje tylko dążność do osiągnięcia celu na razie idealnego, objawia niejako tylko dobrą wolę, to mówić można na idealnym stanie prawnym, o celu ustawodawczym, wreszcie o aspiracyi etycznej ale nie o prawie, nie o racjonalnej pretensyi prawnej.

Z powyższego wywodu wypływa, że jednostka nie ma „prawa“ do szczęścia — biorąc wyraz ten w umiejętném znaczeniu — gdyż społeczeństwo nie jest w stanie dopilnować tego, aby ziściło się marzenie Henryka IV, t. j. żeby każdy wieśniak miał co niedziela swoją kurę w garnku. Można tylko wymagać, aby państwo działalnością swoją ile możności popierało rolnictwo, przemysł i t. d., jedném słowem w miarę możliwości podnosiło dobrobyt swoich obywateli.

A teraz kolej na rozbiór głównego pytania: czy jest prawo do życia? W dwóch formach objawia się to prawo. Pierwszą formę stanowi zabezpieczenie od siły zewnętrznej, któraby pozbawić nas mogła egzystencyi fizycznej; drugą formą jest uzyskanie tych niezbędnych środków, których sam proces życia codziennie wymaga. Pierwsza forma wymaga, aby jednostki nie zabijano, druga, aby jednostka nie musiała z głodu ginąć. Czy jest tedy prawo do życia w tém znaczeniu? Na sędziów powołuje autor powszechne poczucie prawa, czyli jak dla objaśnienia dodaje, tak zwany zdrowy rozum ludzki a potem umiejętność prawną. Obaj ci sędziowie oceniają rzecz w odmienny sposób. Zdrowy rozum ludzki sądzi z bezpośredniego wrażenia odniesionego z obserwacyi stosunków i z niezbędności wymagania, aby pewien stosunek wprowadzono, utrzymano lub zniszczono. Umiejętność natomiast sądzi na podstawie pewnych zasad prawnych i ich konsekwencyi. Zdrowy rozum ludzki czerpie swój sąd z pierwszego źródła, bo opiera się na wrażeniu odniesioném. Sąd jego, zastosowany do pojedynczych wypadków, przedstawiających się z wszystkimi charakterystycznymi momentami w naturalnym związku, jest konkretny i indywidualny. Stanowi to dodatnią stronę tego sędziogo, ale obok strony dodatniej łatwo spostrzedz się dają ujemne. W pojedynczych wypadkach występują często zbyt widocznie na jaw powierzchniowe i mniej ważne szczegóły, kiedy natomiast momenty głębsze lub co do następstw swoich ważniejsze pozostają w drugim rzędzie. Ztąd powstać mogą błędne konkluzye zwłaszcza wtedy, jeżeli w danym wypadku zachodzi większa komplikacya szczegółów. Umiejętność

postępuje inną pewniejszą drogą. Zestawia ona i porównuje ze sobą pojedyncze wypadki i przy pomocy doświadczeń wysnuwa ztąd ogólne prawa prawa, które następnie stosuje do każdego wypadku z osobą jako miarę przedmiotową. Ale i tutaj spostrzegać się daje strona ujemna. Umiejętność bowiem uważa swoje zasady za pierwsze źródło prawa, zapominając często o tém, że przy sformułowaniu tych zasad mogły zajść błędy lub niedokładności, że dalej zasady te są tylko czynnikami, a nie wyłączną podstawą sądu, że zatem obok nich także inne czynniki w grę wchodzić mogą. To tłómaczy nam, dla czego czasem *summum jus bywa summa injuria*. Oba źródła prawa muszą się zatem nawzajem uzupełniać. Zdrowy rozum ludzki musi zdać się na spokojny i przedmiotowy sąd umiejętności a ta znowu, postępując ściśle według prawideł logicznych, winna informować się u drugiego źródła, czy zostaje ciągle w harmonii z naturalnym stanem i rozwojem stosunków.

Autor powołuje na sędziego dla postawionej przez siebie kwestyi najpierw poczucie prawa i czyni to w sposób obrazowy. Przedstawia bowiem towarzystwo wesołe, które właśnie skończyło sutą biesiadę, a usłyszawszy rozdzierający krzyk, wybiega i widzi człowieka padającego bez życia. Przywołany lekarz konstatuje z zimną krwią, że człowiek ten umarł z głodu! Niezawodnie każdy z uczestników biesiady przerażony tym widokiem nietylko zrzekłby się wszystkich przyjemności, które towarzyszą zabawie, lecz w ogóle zrezygnowałby z wszelkich uciech na przyszłość, jeżeliby mógł zwrócić martwemu życie, zniszczone głodem. Każdy zapewne powie, że wypadek taki nie powinien w ogóle wydarzyć się w państwie praworządém, jeżeli równocześnie tylu innych może setkami rozrzucić. „Dopóki jeden anglik posiada w zapasie funt szterlingów, żaden anglik nie może z głodu zginać.“ Są to słowa wypowiedziane przez Pitta, jestto opinia zdrowego rozumu ludzkiego.

Teraz niech umiejętność zabierze głos i wyda swoje orzeczenie. Za podstawę służyć tutaj mogą dwa zapatrywania zasadniczo między sobą się różniące: indywidualistyczne i społeczne. Pierwsze zapatrywanie ma za punkt wyjścia uczucia i życzenia jednostki. Społeczeństwo jest, z tego stanowiska rzecz biorąc, tylko jednym ze środków, za pomocą których jednostka osiąga zaspokojenie swoich żądań i potrzeb. Z socjalnego zaś punktu widzenia, społeczeństwo przedstawia się jako organizm niezbędny dla celów ludzkich, zdolny do reformy, ale w egzystencji swojej nienaruszalny. Z tego powodu żąda od każdej jednostki, aby nie narażała bytu społecznego.

Indywidualistyczna zasada bierze za punkt wyjścia dążność jednostki a jój instynkt zachowawczy, uważa za pierwszy i najsilniejszy motyw, na którym opierają się wszystkie zabiegi ekonomiczne. Człowiek zarabia, bo chce żyć; bierze udział w obrocie, zawiera umowy, bo chce zarabiać i żyć. Jeżeli uczucia jednostki weźmiemy za miarę prawa, to pewném się musi przedstawić, że bez życia nie da

się pomyśleć żadna przyjemność, że nie ma nic okropniejszego nad utratę życia w skutek zadanego gwałtu lub z głodu. Wreszcie ze stanowiska utylitarne go pewnym jest, że wszelki pożytek ustaje dla jednostki z utratą życia.

Ta indywidualistyczna zasada wie dzie jednak nie do prawa, lecz do walki wszystkich przeciw wszystkim. Jeżeli by każda jednostka tylko własne dobro miała na myśli, to mogłaby nawet zgładzić każdego, kto ję j w drodze stoi w zaspokojeniu życzeń. Prawo powstaje dopiero wtedy, jeżeli ludzie chcą spokojnie żyć obok siebie. Zasada prawa stanowi zatem zasadę społeczeństwa a prawo jest w istocie swojej prawidłem życia dla społeczeństwa.

Dr. Ofner szerzej się rozwodzi o tę teorię społeczną, którą później znowu porzuca dla doktryny o społeczeństwie, jako wielkim stowarzyszeniu. Pierwszy podniósł teorię społeczną Hugo Grotius, który państwo identyfikuje ze społeczeństwem, szuka dla państwa podstawy w społecznym instynkcie ludzi i uważa je za ścisłe połączenie wolnych ludzi dla dobra wspólnego. Następcy Grotiusa postępują tą samą drogą, chociaż do różnych potem doszli konkluzji, mianowicie Hobbes, uzasadniający absolutną formę państwa, Locke broniący udziałności ludu, wreszcie Spinoza i inni, opierający urządzenia państwa na zasadzie konwencyonalnej, na milczącej umowie. Dalszy krok naprzód w rozwoju tęj teorii uczynił Rousseau przez swoją umowę społeczną (*Contrat social*). W pierwszej części swojego dzieła zajmuje Rousseau stanowisko Grotiusa, łącząc ze sobą pojęcia państwa i społeczeństwa. Oryginalnym pomysłem jest dopiero dalsza część o woli powszechnej (*volonté générale*). Rousseau tak argumentuje: dopóki ludzie nie stanowią społeczeństwa, każdy ma swoją własną wolę a wszyscy wolę ogólną (*volonté de tous*). Tworząc społeczeństwo, wszyscy ludzie łączą swoją wolę w jedną (*volonté générale*), z której znowu potem zyskują część stosunkową, to jest część, odpowiadającą dawnemu stosunkowi woli jednostki do woli wszystkich. Jeżeli więc zjednoczy się stu ludzi, to każdemu z nich przypadnie jedna setna część woli ogólnej. Nikt na tęp nie nie traci, bo każdy otrzymuje napowrót to samo, co wniósł do tego związku. Ten rachunek abstrakcyjny, ta fikcja oryginalna, tak nie trafia do przekonania, że nie otrzymuje aprobaty nawet od d-ra Ofnera. Nazywa on ją kategorycznie błędem, bo to, że w pewnym wypadku można przegłosować innych, nie stanowi kompensaty za to, jeżeli się jest w innym wypadku przegłosowanym. W tym rachunku abstrakcyjnym jednostka traci część swojej wolności a za to otrzymuje część panowania. Straty nie można tu identyfikować z nabytkiem. Owa *volonté générale* Rousseau'a przypomina to, co 2000 lat przedtęp rzymscy prawnicy przyjęli za podstawę prywatnego stowarzyszenia. Jeżeli spółka ma działać, to musi w każdym akcie swoim mieć pewną wolę a jeżeli uczestnicy nie są zgodni z sobą, to musi być obmyślany środek wytworzenia jednęj woli. Środek ten nie może powstać z arytmetycznej kom-

binacy, bo jestto kwestya stosowności, która dopiero w doświadczeniu ma się wypróbować. W naszych czasach, w obec panującej roli idei assocjacyjnej w całym ruchu ekonomicznym, teoria prawa prywatnego zajmowała się zasadą *volonté générale* i doszła do szeregu rozmaitych prawideł. I tak np.: w otwartej spółce handlowej, do każdego aktu wymagana jest jednomyślność, jeżeli uczestnicy inaczej się nie umówili. Jeżeli zatem trzej powiedzą „tak” a czwarty „nie,” to negacya stanowi ową *volonté générale*. W towarzystwach znaczniejszych, np. akcyjnych, odróżniać należy zwyczajne uchwały od zasadniczych. Do pierwszych wystarcza większość zwyczajna, do drugich potrzeba większości $\frac{2}{3}$ lub $\frac{3}{4}$ głosów, albo połączenia większości głosów z większością udziałów w kapitale (np. $\frac{2}{3}$ głosów i $\frac{3}{4}$ udziałów w kapitale).

Dr. Ofner przechodzi do trzeciego stadyum w rozwoju teorii społecznej i dla popularnego objaśnienia swojego wywodu zaczyna od przykładu. Weźmy np. wesołe grono osób, z których jedna stawia wniosek, aby druga poświęciła coś dla towarzystwa, np. butelkę wina. Upatrzony na fundatora wesołej kompanii nie zgadza się na tę propozycyą a wesoły wnioskodawca proponuje formalne głosowanie, w którym zawsze okazuje się ten sam rezultat: wszyscy zgadzają się na wniosek, z wyjątkiem jednego t. j. tego, który ma zapłacić za libacyą. Jestto nieporozumienie wcale zabawne, jeżeli chodzi tylko o butelkę wina i jeżeli niedelikatny fundator nie zostaje zmuszony do poddania się. Ale ten sam stosunek nabiera grozy, jeżeliby chodziło o życie, wolność lub majątek człowieka i jeżeliby przegłosowany poddać się musiał. Największa ostrożność w określaniu praw większości, nie zapobiegnie czasem pogwałceniu praw i interesów jednostki, a pewne prawa powinny być wyższe nad względy na większość. Do téj konkluzji doszło już prawo prywatne, gdzie sympatyje i uprzedzenia nie wpływają na sąd, jak w kwestyach politycznych, gdzie zatem konsekwencye wysnute mają charakter czysto umięjętny. W towarzystwach akcyjnych, gdzie jeden uczestnik nie jest dla drugiego niczém więcéj, jak tylko jednym numerem, gdzie zatem wyzyskiwania więcéj obawiać się należy aniżeli w nielicznej spółce, której uczestnicy znają i szanują się nawzajem, teoria prawa i ustawa uchyliły pewne pretensye z pod rozstrzygającego znaczenia większości głosów. Są to tak zwane prawa indywidualne, (np. w niemieckim ustawodawstwie wkładka do funduszu zakładowego). Zasada praw indywidualnych ma zastosowanie zarówno w stowarzyszeniach dobrowolnych jak i przymusowych. Między temi dwiema kategoryami stowarzyszeń nie ma właściwie sprzeczności zasadniczej. Druga kategoria stowarzyszeń opiera się na przypuszczeniu, że gdyby członkowie sami korzyści swoje dobrze rozważali, toby się dobrowolnie łączyć musieli. Interes jednostki jednak łączy się w tym wypadku tak ściśle z interesem drugich, a ten ostatni interes jest nadto tak ważny, że nie można czekać na obudzenie się dobrowolnej refleksyi, lecz trzeba zniewalać do

łączenia się w całość. Prawa członków pozostają w obu rodzajach stowarzyszeń jednakowe. Co więcej, kiedy dobrowolne stowarzyszenie może ustanawiać pewne wyjątki, gdyż uczestnik dobrowolnym przystąpieniem niejako sam się im poddaje, to stowarzyszenie przymusowe, ścieśniające wolność jednostki, jest ściśle związane względami słuszności. Co zatem w stowarzyszeniach dobrowolnych jest racjonalnym, to w stowarzyszeniu przymusowym staje się warunkiem, zasadą sprawiedliwości.

Dr. Ofner uważa społeczeństwo nawet na wysokim stopniu kultury za rodzaj przymusowego stowarzyszenia, którego funkcje obecnie pojedyncze państwa wykonują. Jednostka jest zmuszona do uczestniczenia, musi należeć do jednego z państw, na które dzieli się społeczeństwo ludzkie. Zostając uczestnikiem społeczeństwa w tym znaczeniu, jednostka wchodzi w prawa uczestnika, a szczególnie w prawa indywidualne, które uważa jako zasadnicze.

Cóż zatem, — pyta dr. Ofner — stanowią owe udziały, wnoszone przez jednostki do społeczeństwa, a stanowiące w połączeniu fundusz zakładowy, którym społeczeństwo ma korzystnie zarządzać? Udziałem takim jest ludzka egzystencja i siła jednostki. Gdyby nie było społeczeństwa, jednostka bezwzględnie wyzyskiwałaby swoją siłę w walce z drugimi tylko na własną korzyść. W społeczeństwie zaś siła ta stanowi udziały, których połączenie wytwarza siłę ludową, tak jak z połączenia jednostek lud powstaje. Udziału tego nie zwraca się uczestnikom; jednostka nie może już nim swobodnie i bezwzględnie na własną korzyść rozporządzać, bo zostawszy członkiem społeczeństwa, musi swój tryb życia tak ułożyć, aby jako członek jednego wielkiego organizmu razem z drugimi żyła i działała. Dążnością jednostki nie może już być wtedy tylko jej własne dobro, lecz dobro całości, w którym ona ma swój udział. To przekształcenie woli indywidualnej przez utworzenie społeczeństwa ludzkiego nazywa autor moralnością. Czy jako zasadę moralności postawimy przykazanie: kochaj bliźniego jak siebie samego, czy: nie czynź drugiemu co tobie jest niemikim, — zawsze wyjdzie na jedno, zawsze znaczy to, że wola powinna być skierowaną do pożytku z innymi ludźmi w pokoju i zgodzie. O ile społeczny tryb życia jednostki jest niezbędny lub nadzwyczajnie potrzebny do utrzymania społeczeństwa, o ile zatem jako w stowarzyszeniu przymusowym ten tryb życia zachowany być musi, o tyle stanowi on treść prawa, jest obowiązkiem z prawa wypływającym.

Przez wniesienie nowej siły jako udziału społecznego, nabywa równocześnie jednostka prawa zasadnicze. Jako członek społeczeństwa nie może ona być ignorowaną a jej egzystencja stała się częścią zakładowego funduszu społecznego. Jak w stowarzyszeniu tak i w społeczeństwie obowiązuje zasada, że przed zabezpieczeniem zakładowego funduszu, żadne korzyści nie mogą być rozdzielane między swych uczestników. Fundusz ten bowiem stanowi tylko dobro, poruczone przez uczestników stowarzyszeniu w tym celu, aby nim jak-

najkorzystniejszej zarządzało. Stosując tę zasadę do społecznego funduszu żelaznego (zakładowego), mówi dr. Ofner, że dopóki fundusz ten nie jest zupełnie zabezpieczony, społeczeństwo nie może przyznawać pojedynczym członkom pewnych korzyści a więc nie może pozwalać sobie żadnego wydatku zbytkowego, chociażby on miał znaczenie nadzwyczajne pod względem umiętnym, artystycznym lub przemysłowym. Przedewszystkiem kapitał żelazny musi być zabezpieczony. Co zdrowy rozum nam mówi na widok kontrastu między zbytkiem a głodem, co jasno uczuwamy, przedstawiając sobie obraz licznej rodziny—a któż stojący na czele licznej rodziny pozwoli jednemu jej członkowi zbytkować, nie zaspokoivszy najpierw potrzeb najniezbędniejszych dla życia wszystkich — to przedstawia się jako logiczna konsekwencja zasady społeczeństwa.

Prawo indywidualne jest w ogóle w teorii społecznej bardzo ważne. Jest to punkt wyjścia dla indywidualistycznych poglądów w ogóle, jest to ognisko swobody ludzkiej i obywatelskiej. Pierwszém zaś prawem indywidualném jest prawo do życia.

Po tym wywodzie czysto prawnym, dr. Ofner podnosi rzecz ze strony pożytku, jaki z tego prawa wypływa dla społeczeństwa. Że zabezpieczenie obywateli wobec gwałtów stanowi warunek spokojnego i bezpiecznego życia gospodarczego, w ogóle całego życia społecznego, to nie wymaga dalszych objaśnień. Nędza zaś jest źródłem zbrodni. Na rachunek nędzy idzie 70—80% wszelkich zbrodni. Co zatem zaradza nędzy, to zapobiega także zbrodniom. Nadto zachodzi jeszcze ta okoliczność, że państwo musi zaopatrywać zbrodniarzy. Ubogi zatem potrzebuje tylko popełnić kradzież, a państwo będzie go utrzymywało. Czyż można w ten sposób formalnie popychać do zbrodni? Nędza jest także powodem wszelkich zaburzeń, a jedno zaburzenie społeczne niszczy większy kapitał, aniżeli potrzeba na racjonalne zaopatrywanie ubogich w ciągu długiego czasu. Przykładów dostarcza komuna paryzka i Irlandya.

Nędza jest także ogniskiem zaraźliwych chorób, które zmiatają łatwo organizmy wycieńczone, a wzmocniwszy się tém, są dość silne, aby i silniejszych powalić. Nędza jest największém marnotrawstwem kapitału. Quetelet, biorąc za podstawę stosunki i ceny francuzkie z r. 1821, obliczył, że wartość kapitału traconego przez kraj wskutek śmierci dzieci przed 15 rokiem życia, t. j. przed okresem zdolności do pracy, wynosi 432 milionów franków. Z tego co najmniej 350 milionów idzie na rachunek nędzy. Strata ponoszona na śmierci młodych ludzi po 15 roku życia, strata znajdująca swój wyraz w ubytku siły roboczej, nie została w ten sam sposób obliczona. Jak wiadomo, człowiek żyjący z renty osiąga w przecięciu wiek 60 lat, robotnik tylko 35 lat. Ta różnica w długości życia nie wypływa z pracy, lecz z nędzy, z niedostatecznego odświeżania sił. Jakąż to stratę w kapitale przedstawia takie skrócenie życia! A kapitał w ten sposób stracony nie stanowi samój tylko nadziei zysku, nie może się równać z jakąś chybioną szansą spekulacyjną, lecz jest widocznym, bo przedstawia ubytek

siły duchowej i fizycznej. Do tego dodać trzeba jeszcze i zmarnowanie tej wartości, jaką przedstawia egzystencja człowieka dla siły państwa.

Możnaby się obawiać, że ogólne zaopatrzenie ubogich pomnoży szeregi włóczęgów. Dr. Ofner uważa tę obawę za nieuzasadnioną, bo mniema, że właśnie wtedy wytwarza się formalny stan żebraków i włóczęgów, jeżeli, jak się to teraz dzieje, ubogiego, który chce być zaopatrzoną, zmusza się do żebrania, a skoro raz zacznie żebrać, wyklucza się z towarzystwa ludzi uczciwych. Ubogi, w którym nie stłumiono ambicji, albo wcale nie zejdzie na manowce, albo rzadko. Nie wymaga się, żeby zaopatrzenie przyznawane było bez pracy. Jest to już rzecz racjonalnego wykonania. W Wilhelmsdorf np. założono kolonią roboczą, w której każdy przybysz może wziąć udział i własną pracą zarobić na życie w najbliższej przyszłości. Kolonia ta pięknie wydaje owoce. Nie można jednak nawet oczekiwać, żeby zaopatrzenie ubogich spowodowało pokój pomiędzy ludźmi. Kto ma chleb, pragnie mieć mięso. Ale głód przynajmniej nie krzewi w takim razie nienawiści i żądzę zburzenia wszystkiego. Walka przybiera ludzki charakter.

Jeżeli tedy, mówi dr. Ofner w konkluzji, zdrowy rozum ludzki, indywidualistyczne zapatrywania prawne, wreszcie konsekwencja i względy użyteczności dla społeczeństwa, tak usilnie przemawiają za ochroną życia, to można z całym spokojem powiedzieć: Prawo do życia stanowi racjonalną aspiracją prawną.

Znaczenie tej aspiracji jest rozległe. Prawo ochrony życia przed gwałtem, stanowi protest przeciw wojnie, tej międzynarodowej rzezi całych mas, a szczególnie przeciw panującej obecnie w całej Europie zasadzie powszechnego obowiązku służenia w wojsku, zasadzie, która pod złudną nazwą ludowej siły zbrojnej, zjednała sobie nawet aprobatę idealistów, a nie jest niczem innym, jak tylko kreacją Napoleona I, tego wielkiego marnotrawcy życia ludzkiego. Prawo ochrony życia stanowi także protest przeciw karze śmierci i przeciw wiekowemu szaleństwu, przeciw pojedynkowi.

Prawo do życia w drugiej formie, t. j. prawo do posiadania niezbędnych warunków utrzymywania egzystencji fizycznej, stanowi rdzeń kwestji socjalnej. Wszyscy reprezentanci socjalizmu, bez względu na to, czy mają na oku ubogich w ogóle, lub tylko robotników, jako klasę dzisiejszemi stosunkami produkcji na ubóstwo skazaną, żądają środków zaradczych przeciw nędzy i apelują przytém zawsze do sprawiedliwości, żądają opieki państwa, jako prawa służącego nędzarzom. Odkąd taki konserwatywny mąż stanu, jak ks. Bismarck, zajął stanowisko prawne w kwestji socjalnej, stanowisko to okrzykane niegdyś, jako dążność do przewrotu, stało się konserwatywnem. A jest ono konserwatywnem w całym tego słowa znaczeniu, gdyż konserwuje społeczeństwo i państwo.

Nie chodzi tu o zaopatrzenie z łaski, które jest kapryśne i niepewne, a w zaopatrzonym tłumie ambicją i wzbudza niechęć do wła-

ności. Nie chodzi o zaopatrzenie wypływające z motywów wyrachowanej polityki w interesie klasy posiadającej, które jest bezwzględne i pedantyczne, jak np. wydalanie przymusowe do miejsca przynależności które nadto mieszając zbrodniarzy z uczciwymi nędzarzami, odrazu w ostatnich zacierą ambycją. W takich wypadkach ubogi uważa się za traktowanego tak, jakgdyby był wrogiem społeczeństwa i działa już potem w tym duchu. Nie o takim zaradzeniu złemu myśli autor, lecz o zaopatrzeniu ubogich, jako o akcie sprawiedliwości, wyrównującej różnicę, jako o sposobie pogodzenia ubogich z nieuniknioną dotąd różnicą w podziale dóbr ziemskich. Społeczeństwo powinno uznawać tylko różnicę między dobrymi a złymi, a nie między bogatymi i ubogimi. Ubogiemu koniecznie pozostawić należy ambycją i świadomość, że jest równym między równymi. Powinien on towarzystwo innych uważać za dobrodziejstwo, za które nie potrzebuje ani się poniżać ani dziękować. Wtedy dopiero wypełni się przepaść między posiadającą klasą a nieposiadającymi, wtedy powstanie silna podstawa wzajemnego przywiązania między ludźmi i przywiązania do społeczeństwa, wtedy dopiero można oczekiwać rzeczywistego i trwałego pokoju.

Na tém kończy autor, a właściwie urywa wywody swoje. Zakończenie samo służyćby mogło za początek rozumowań, których pewnie dr. Ofner nie miał na myśli. I niezawodnie znajdują się tacy czytelnicy, którzy po przeczytaniu rozprawy zaczną sobie stawiać pytania rozmaite i szukać na nie odpowiedzi w teoryach socjalizmu. Wytłómaczy on im w takim razie, że wszelka nierówność w posiadaniu i używaniu jest niezgodna z pierwszym prawem człowieka, prawem do życia, bo gdyby zrównano wszystkich, toby wszyscy biedni zostali odrazu zaopatrzeni w potrzebne do życia środki, że takiego zrównania wszyscy biedni domagać się mogą, bo są przecież tak samo, jak możni i zamożni tylko członkami jednego i tego samego towarzystwa, t. j. społeczeństwa.

Ale zostawmy socjalizmowi te konkluzye, a natomiast idźmy krok w krok za autorem, zaczynając od tego, czy dzisiejsze urządzenia w każdym państwie cywilizowanym zapewniają prawu do życia ochronę, na czém ona polega, jak jest zorganizowaną i w jakim kierunku lub w jaki sposób może być udoskonaloną. Dopiero potem wypadnie się rozprawić z dalszą konsekwencją prawa do życia w takim znaczeniu, jakie ono otrzymuje w końcowych ustępach rozprawy d-ra Ofnera, łącząc się z mrzonką o równości społecznej, wśród której każdy, kto ma już chleb, pragnąłby, jak mówi autor, mięsa! W rozprawie d-ra Ofnera wszystko na pozór wydaje się wcale naturalnym, może nawet słusznym każdemu, kto dając się porwać urokowi doktryny, zapomni o rzeczywistości i o jej niezmiennych prawdach. W tém właśnie tkwi niebezpieczeństwo takich rozumowań, jak powyższe, wskazane na początku téj pracy.

II.

Wnioski, wysnuwane z doktryny drogą i metodą doktrynerską, muszą popadać w sprzeczność nie tylko z aktualnym stanem rzeczy, lecz także z tém, co nauka zdrowo i praktycznie pojmowana za rzecz naturalną wskazuje. Z doktrynerskiego określenia prawa do życia, w rozprawie d-ra Ofnera, wynikałoby, co także i autor wyraźnie zaznacza że kara śmierci i wojna, jako dwa najoczywistsze zamachy, nawet stanowcze negacye prawa do życia, nie mogą ostać się w obec pojęć racjonalnego prawa a zatem że stanowią niejako nieuchylone jeszcze dotąd resztki okresu niedoskonałości cywilizacyjnej.

O karze śmierci, mianowicie o jój etyczném i praktycznym znaczeniu, można jeszcze rozprawiać, bo jestto temat, który mimo gruntownego opracowania w nauce z różnych stanowisk, ciągle daje się ująć i przedstawić z nowój strony. Co dotąd o karze śmierci napisano, stanowi wcale pokaźną bibliotekę z firmami autorskimi najgłębszych myślicieli i prawników, ale mimo to, gdy kwestya zniesienia kary śmierci wejdzie w formie konkretnego wniosku pod rozbiór fachowych ludzi, rozprawie nie braknie nigdy świeżych motywów, zaczerpniętych z umiejętnych poglądów i z życia. Najświeższym i najlepszym na to dowodem jest to wszystko, co zaszło w Szwajcaryi w ostatnich czasach, gdy oparta na poczynionych doświadczeniach propaganda za wznowieniem kary śmierci poruszyła wszystkie umysły, uczone i prostacze. Czy jednak rzecz tę weźmie się z szerszego stanowiska społeczno-państwowego, czy z tego ciasnego, jakie w rozprawie swojej zajął d-r Ofner, stosując niemal żywcem do społeczeństwa zasady prawne towarzystw i spółek, zawsze wypłynąć musi w konkluzyi co najmniej wątpliwość. Każde towarzystwo przecież zastrzega sobie możność wykluczenia jednostek niebezpiecznych lub szkodliwych, jeżeli zaś bierze się za punkt wyjścia samo abstrakcyjne pojęcie prawa do życia, to przecież ten, który zanegował, zniszczył nieodwołalnie to prawo na innym, sam nie może rościć go sobie w wyższym stopniu w obec całego społeczeństwa. A dodawać nawet nie potrzeba, że gdzie tylko istnieje kara śmierci, tam stanowi ona tylko następstwo najwyższej zbrodni, która zniszczyła nie przedmiot martwy, chociażby największą wartość reprezentujący, lecz życie ludzkie — i to nie mimo woli sprawcy, np. w skutek przypadku, lecz z zamiarem naprzód poziętym, dobrze obmyślanym i ze świadomością wykonanym.

Kto zniesienie kary śmierci stawia jako postulat prawa i cywilizacyi, niekoniecznie jeszcze uchodzić musi za ideologa, bo faktycznie były i są próby zastąpienia kary śmierci innymi karami, bo faktycznie jeden z głównych celów kary śmierci, to jest odebranie jednostce wszelkiej możności do dalszego folgowania swoim instynktom zbrodniczym, daje się osiągnąć także w inny sposób: np. karą więzienia. Ale kto rozprawia o uchyleniu wojny, jako o postulacie prawa i cywiliza-

cyi, możliwym i wykonalnym w bliższej lub dalszej przyszłości, ten już musi przygotować się na to, że uchodzić będzie za szlachetnego ideologa, biorącego rzeczy i stosunki ludzkie nie po ludzku lecz po anielsku. Chyba państwa przez aniołów zaludnione a przez archaniołów rządzone mogłyby się obejść bez wojny, ale tylko dlatego, że nie byłoby tém, co w naszym ludzkim pojęciu państwem nazywamy i za państwo uważamy. Na temat konieczności, nawet niezbędności wojen, przy praktycznym traktowaniu stosunków ludzkich, wchodzić tu niepodobna, bo chcąc rzecz nie wyczerpnąć lecz przynajmniej w zarysie przedstawić, trzeba by z dygresyi zrobić osobną rozprawę. Wystarczy więc musi choćby tylko wskazanie na naturę ludzką, której sam fakt zespolenia ludzi w całość państwową, zmienić nie może. Wszystkie główne motory sporów, które jednostki popychają do walki prawnej przed szrankami sądowemi, a mianowicie żądza rozszerzenia wpływów i zakresu posiadania, odgrywają swoją rolę na większą skalę między państwami. Jak prawo procesowe i sądy zginą chyba razem z ludzkością, tak zatargi międzynarodowe i wojny dotąd należeć będą do zwyczajnych i naturalnych objawów, dopóki państwa stanowiąc będą zespolenie ludzi a nie istot wyższych. Wolno marzyć, że ziści się to wszystko, co szlachetni ideologowie w książkach i na kongresach czynili i czynią dla umożliwienia instytucyi międzynarodowej, któraby jako najwyższy areopag, rozstrzygający spory między państwami, czyniła wojny zbytecznemi, wolno o tém marzyć, jeżeli się ma po swęj stronie, począwszy od Kanta, cały szereg wielkich myślicieli; ale marzenie wystarcza tylko temu, kto chce — marzyć. Nigdy nie wydano tylu rozpraw o trybunałach międzynarodowych, tylu poważnych manifestacyi w formie uczonych traktatów lub uchwał kongresowych za wiecznym pokojem, zagwarantowanym instytucją trybunałów międzynarodowych, jak właśnie w okresie współczesnym, a więc w okresie najczęstszych i najkrwawszych wojen. Trzeźwy pogląd na te wszystkie usiłowania może w najlepszym razie uznać tylko nadzieję, że powiedzie się tą drogą złagodzić, lub nawet uchylić zupełnie wszystkie pozostałości barbarzyńskiej metody prowadzenia wojen, a nadto ograniczyć ich przyczyny do wypadków rzadkich i tak ważnych, żeby przynajmniej koniecznością absolutną usprawiedliwić można rzeź tysięcy ludzi. Swoją drogą w tym samym czasie udoskonalenie morderczych narzędzi wojny postąpi tak znacznie, że ile życia ludzkiego oszczędzi się na rzadkości wojen, o tyle znowu wzrosną straty nieuniknione w najkrótszej nawet kampanii.

Tym, którzy zasłaniając się doktryną o bezwzględnym prawie każdej jednostki do życia, zapominają dla téj doktryny o państwie, jako wyższej indywidualności, stanowiącej cel i środek dla siebie samej, nie wystarczyć pewnie wszystkie te refleksye. Niechżeż jednak rozwiążę najpierw pytanie, w jaki sposób mogłaby jednostka zachować bez pomocy państwa swoją egzystencją, czém możnaby państwo zastąpić w tym celu? Jeżeli państwo było sztuczną tylko kreacją, wynalazkiem ludzkim, jak

tyle innych, możnaby spodziewać się, że jak każdy wynalazek ludzki da się z czasem czéms lepszym zastąpić. Historya nie zna a nauka wyobrazić sobie nie może ludzkości bez organizacyi państwowej, chociażby tylko w formie wielce niedoskonałej. Więc jednostka miałaby prawo reklamować swoje prawo do życia wtedy, gdy chodzi o egzystencyą niezbędną dla jéj istnienia organizacyi, gdy wojna staje się jedynym środkiem ocalenia téj organizacyi. A oczywiście takie tylko wojny a nie lekkomyślne, z błahych pobudek wypływające i dla błahych celów prowadzone ma się na myśli, jeżeli jest mowa o prawie do życia w formie tak absolutnej, jak ją d-r Ofner postawił i jeżeli to prawo w takiej formie stawia się jako niewzruszony postulat przyszłości cywilizacyjnej, jako bezwzględną negacyą wojen w ogóle.

W niebezpieczeństwie wojenném nie waha się państwo poświęcić nie jednego życia, lecz całych kroci, bo wtedy w grę wchodzą względy najwyższe, względy na byt państwa, bez którego człowiek nie tylko rozwijać się, lecz nawet istnieć nie może, jeżeli to istnienie wzięmiemy w znaczeniu ogólném na ludzkość całą a nie na pewien kraj i pewną chwilę tylko rozciągniętém.

Poza sferą tych interesów, które tylko drogą wojenną mogą być bronione i ocalone, państwo otacza życie jednostki wszelką możliwą opieką. Nie ma państwa cywilizowanego, w którym prawo karne różniłoby się w zasadniczych pojęciach o morderstwie i zabójstwie. Różnica zachodzić może w stopniu lub rodzaju kary i w sposobie osądzania sprawy, ale zbrodnią i to zbrodnią pierwszorzędnej doniosłości prawnéj, jest wszędzie każdy zamach na życie jednostki nietylko wtedy, gdy uwięziony został skutkiem przez zbrodniarza zamierzonym i zgładził rzeczywiście życie, lecz także wtedy, gdy skończył się na usiłowaniu bezskuteczném lub udaremnióném tylko, dzięki stosunkom i okolicznościom od woli zbrodniarza niezawisłym. Gorzej wyszłoby życie ludzkie na obronie państwa, jeżeliby prawo karne, wysnuwając konsekwencye tylko z doktryny, która stawia paralełę między społeczeństwem a stowarzyszeniem, chroniło jednostkę jedynie jako część siły i kapitału społecznego. W takim razie bowiem, zamordowanie kaleki, starca, niedołęgi lub człowieka notorycznie szkodliwego dla ogółu, musiałyby oczywiście nietylko przy wymiarze kary, lecz już w samej kwalifikacyi czynu zbrodniczego, być traktowane całkiem odmiennie od wypadków, w których ofiarą pada życie w pełnym rozkwicie, już zasługami zaznaczone lub uprawniające do świetnych oczekiwań. Na szczęście, racjonalizm, który w wielu kierunkach i zakresach prawa zdołał w ostatnich czasach wybując ponad odwieczne zasady i pobudki etyczne, tutaj nie poważył się targnąć na ustalone pojęcia. Czy z ręki zbrodniczej zginie młody i silny człowiek, czy dziecko, którego rozwój fizyczny jest jeszcze niepewny, lub starzec zgrzybiały, któremu już sama natura kres bliski wskazuje, czy więc zniszczone zostało życie pełne sił i materyalnej wartości dla społeczeństwa, czy już dogasające, jak nieużyteczna resztką światła, czy wresz-

cie zamordowany zostaje człowiek dzielny, zasłużony, sławny, nawet wielki, lub niedołęzny, zły, niegodny żadnych względów, nawet wielce szkodliwy dla ogółu — zawsze morderstwo pozostaje morderstwem i nie okoliczności powyżej wskazane, lecz tylko psychiczne czynniki, zamiar i wola sprawcy rozstrzygają o kwalifikacji prawnej czynu. Przed jednym i tym samym trybunałem, jednego i tego samego dnia, może zostać na śmierć skazany zbrodniarz, który z zamiarem, z góry obmyślanym planem i w celach zbrodniczych, sprzątnął ze świata równego sobie, lub jeszcze gorszego niegodziwca, a równocześnie wyjść bezkarnie człowiek, który wydarł społeczeństwu niepowrotnie najpoczciwszego i najpożyteczniejszego członka, ale bez zamiaru, lecz w skutek zbiegu przypadków nieprzewidzianych, w uniesieniu, wykluczającym poczytalność lub w stanie obrony koniecznej, kiedy własne życie tylko kosztem innego ocalić można. Według konsekwencji, która wysnuć się daje z teorii rozciągającej zasady organizacyjne stowarzyszeń na związek społeczny i państwowy, pierwszy podsądny, który nie wyrządził społeczeństwu szkody, lecz może nawet wyświadczył mu przysługę, byłby więcej karygodny niż drugi, który wyrządził szkodę znaczną! Do takich herezyi przeciw pojęciom etycznym wiedzie doktryna, oparta na szacowaniu wartości życia!

Nietylko w obec zbrodniczych zamachów, lecz także w obec lekkomyślności i nieogłędności, która w następstwie sprowadzić może katastrofę dla jednostki, nietylko po dokonaniem już zniszczeniu życia, lecz także dla prewencji w obec możliwych niebezpieczeństw, uznaje prawo wszystkich państw cywilizowanych i osłania swoją powagą życie każdego człowieka. Ochrona i opieka państwa nie ogranicza się do samych niebezpieczeństw lub zamachów, które są dziełem złego zamiaru lub lekkomyślności ludzkiej, lecz rozciąga się także na niebezpieczeństwa, które sprowadzają różne okoliczności i stosunki niezależne od zagrożonego, ani niespowodowane złym zamiarem lub lekkomyślnością innych ludzi. Jestto rzecz czujnego oka administracji, ogarniającej wszystkie kategorie stosunków i wszystkie kierunki życia. Nie ma dziś prawie państwa cywilizowanego z takimi urządzeniami administracyjnymi, żeby chore, nie mający środków do leczenia, zdany był tylko na litościwą opiekę filantropów tak, że gdyby nań przypadkiem nie zwrócił uwagi jaki filantrop, musiałby zginąć niechybnie, nie ma także państwa cywilizowanego, w którémby kaleka, niezdolny do pracy, skazany był w braku opieki rodzinnej, tylko na przypadkową jałmużnę a w braku serc litościwych na śmierć głodową. Opieka nad chorymi i w ogóle starania, o jaknajlepsze urządzenia sanitarne, stanowi tak samo jak opieka nad ubogimi, jedno z głównych zadań administracji. Czy opieka ta osiąga szczyt doskonałości, czy przeciwnie, może a nawet powinna być udoskonaloną i w jaki sposób, to inne pytanie, na które później znajdzie się odpowiedź. W każdym razie jednak, udoskonalenie to nietylko nie wymaga przewrotu w usta-

lonych pojęciach o państwie, lecz owszem, zaleca uchylanie nawet tych innowacji, jakie w ostatnich czasach liberalizm wprowadził.

Zadaleko trzebaby odbiedz od pierwotnego założenia, jeżeliby wypadło wyliczać to wszystko, co państwo cywilizowane w administracji swojej uważa za obowiązek w obec stosunków i czynników wpływających na warunki życia i zdrowia ludzkiego. Dość wskazać jednak na to, że nie tylko urządzenia potrzebne dla uchylecia niebezpieczeństw zagrażających ogółowi mieszkańców, a więc bezpośrednio interes państwa obchodzących (np. epidemia), lecz także urządzenia, służące jednostkom w wypadkach choroby, zostają pod publiczną, prawną opieką i kontrolą. Zakłady lecznicze, dawniej zdane tylko na troskliwość i ofiarność jednostek albo instytucji (kościółów, klasztorów i stowarzyszeń), weszły dziś w system administracji publicznej i są zakładami albo kraju, albo gmin. Zawód lekarski, dawniej otwarty dla wszelkiej szarlataneryi i swobodny zupełnie w wyzyskiwaniu lub dowolności, ujęty został wszędzie w karby prawnej kontroli; wreszcie nawet sporządzanie i sprzedaż środków leczniczych, to rozległe pole dla zabójczego szalbierstwa i niegodziwej eksploatacji, są normami prawnymi tak uregulowane, że każdy chory może z zaufaniem polegać na tém urządzeniu. W miarę jak nauka o higienie rozrasta się coraz więcej i wskazuje coraz dokładniejsze prawidła pielęgnowania zdrowia, administracja idzie za nią krok w krok z przepisami, zapewniającami jednostce wszelką możliwą asekurację w obec najczęstszych przyczyn chorób. Na mieszkania i na wszystkie artykuły życia administracja zwraca czujne oko swoje i w miarę możliwości uchyla spostrzeżone niedostatki. Że tu wiele jeszcze pozostaje do zrobienia, to pewna, ale bo też nie ustaliły się jeszcze na tém polu pewne zasady naukowe, a nadto państwo najlepszymi urządzeniami i przepisami nie zdoła zaradzić złemu zupełnie, dopóki sam ogół jeszcze lekceważy rady i ostrzeżenia przez naukę podawane. Zresztą prawo do zdrowia nie stanowi postulatu w obec państwa i społeczeństwa nawet w wyobrażeniu tych, którzy pod hasłem niezaprzeczanego prawa do życia, reklamują u społeczeństwa imieniem jednostki nie tylko chleb powszedni, lecz i równość w pewnym dostatku.

Opieka nad ubogimi stanowi niezawodnie jedną z bliższych konsekwencji prawa do życia. Tak rzecz tę pojmuje każde państwo i wszędzie trafne zorganizowanie tej opieki stanowi nieustanną troskę administracji, nie schodzący prawie z porządku dziennego temat dla nowych pomysłów ustawodawczych. „Opieka nad ubogimi — mówi dr. Gumplowicz w swoim dziele o administracji — nie powstała dopiero w państwie nowoczesnym. Na pochwałę ludzkości należy to uznać, że od najdawniejszych czasów była ona wykonywana nie z pobudek polityczno-społecznych, lecz z motywów czysto etycznych. U narodów wschodnich było i jest dotąd wspomaganie ubogich przykazaniem religijnym. Dzieła chrześcijańskiej miłości bliźniego i dobroczynności, bywały często wspaniałe. Mimo to dopiero nasza epoka,

okrzyczana za materyjalną i bezbożną wcieliła opiekę nad ubogimi do państwowego ustawodawstwa i administracyi jako część integralną." Ostatnie zdanie wymaga sprostowania. Nie dzisiejsza epoka, dopiero podniosła w ten sposób opiekę nad ubogimi. Należała ona do zadań administracyi i ustawodawstwa już w czasach, które pozytywiści dzisiejsi nazywają okresem wstecznicstwa. Dzisiejsza epoka, ścieśniająca dla kaprysów liberalizmu zakres działania tych instytucyi, które, jak sam dr. Gumplowicz przyznaje, już w czasach najdawniejszych wykonywały opiekę nad ubogimi, t. j. klasztorów i w ogóle kościoła, musiała koniecznie starać się o powetowanie w inny sposób tego ścieśnienia i musiała koniecznie włożyć na państwo i jego organa administracyjne większy ciężar obowiązków. Że w miarę, jak na każdym polu publicznej działalności postęp rzetelny ulepszał urzędnia i udoskonalał instytucje publiczne, tak i w opiece nad ubogimi zmieniło się wszystko na korzyść, to rzecz naturalna. Ale tego nie można tak tłómaczyć, jak to dalej dr. Gumplowicz czyni, mówiąc w tonie kategoriycznym: „Zadanie, które religijne państwo średniowieczne ze swoją miłością bliźniego niedostatecznie spełniało, to samo zadanie pojmowane jako polityczno-społeczne, spełnić się stara w całej rozciągłości nowoczesne bezwyznaniowe państwo.” To prawda, że nowoczesne państwo dąży do zupełnego spełnienia tego zadania, ale nietylko nie pogardza temi pomocniczymi czynnikami, które już przed nim wykonywały opiekę nad ubogimi z czysto etycznych pobudek, lecz nawet prosi je o pomoc, zachęca do współdziałania i dostarcza potrzebnych na to środków. Sam dr. Gumplowicz mówi dalej, że odróżnić należy opiekę nad ubogimi od dobroczynności, którą państwo tylko wspierać i pobudzać może, której jednak samo za zadania swoje nie uważa. A właśnie ta dobroczynność prywatna okazuje się najlepszą korektywą do państwowych przepisów i urzędzeń, nie wystarczających wszędzie i zawsze.

Ale odbiegamy od rzeczy, a tutaj ani pora ani miejsce stosowne do polemiki. Faktem jest, że państwo uważa za jeden z najgłówniejszych obowiązków administracyi, ochronę życia ludzkiego wobec braku wszelkich środków egzystencyi, że każdy wypadek śmierci z braku tych środków uchodziłby za plamę dla administracyi, jeżeliby nie można wykazać, że tylko jakieś nadzwyczajne, przypadkowe okoliczności udaremniły pomoc potrzebną do ocalenia życia.

Różne są urzędnia, któremi administracya w różnych państwach spełnia swoje zadania pod względem zaopatrywania ubogich. W każdym razie w pierwszym rzędzie państwo powoływać musi gminę właściwą do zaopatrzenia ubogich, którzy do niej należą i których stosunki ona zna najlepiej. Nietylko ta znajomość stosunków uzasadnia obowiązek gminy do zajmowania się swoimi ubogimi. Opiera się on na tej ściślejszej łączności i wspólności, która zbliża do siebie członków jednej gminy, jakby jednej szerszej rodziny. Nie przedstawiając na samym prawnym nałożeniu obowiązku na gminy, państwo

wszędzie i zawsze stara się przyjść jej w pomoc i dostarczyć środków potrzebnych. W tym celu zazwyczaj gminy otrzymują prawo do pobierania pewnych taks lub opłat na utworzenie i ciągłe zasilanie funduszu dla zaopatrzenia ubogich.

Ale wszystkim tu odnosi się tylko do ubogich jednej kategorii, t. j. do tych, którzy absolutnie nie posiadają środków do życia a w żaden sposób nie są w stanie zdobyć ich sobie pracą. Tu bowiem tylko wchodzi w grę to rzeczywiste prawo do życia, którego państwo nigdy i nigdzie nie zapoznawało ani nie zapoznaje. Uboży tej kategorii z czystym sumieniem odwołać się może do pomocy społeczeństwa i państwa, bo nie uchybił obowiązkowi, jakie na nim ciąży, nie uchylił się od pracy, lecz tylko stał się do niej niezdolnym. Taki nędzarz stoi na równi z tym, który w braku opieki rodzinnej i domowej, w braku wszelkich środków leczniczych, musiałby zginąć w skutek choroby, która go zaskoczyła, gdyby nie istniały szpitale publiczne. W jednym i drugim wypadku chodzi o życie niechybnie na zagładę skazane bez pomocy publicznej.

Stanęliśmy u kresu opieki publicznej nad ubogimi i w ogóle opieki publicznej, niejako obowiązkowej nad prawem do życia. Ubogich w tym znaczeniu, jakie powszechnie jest przyjęte, t. j. ubogich, którzy niedostatecznie tylko mogą zaspokoić swoje potrzeby lub nawet pozostawić muszą niejedną potrzebę wcale niezaspokojoną, nawet mimo największego wyteżenia w pracy, samo państwo musi już pozostawić prywatnej dobroczynności. Co najwięcej wymagać można w takim razie od administracji, aby nie tylko wspierała i podtrzymywała prywatne instytucje dobroczynności, lecz nadto starała się usilnie o podniesienie wydajności pracy, co stanowi już osobny, obszerny zakres działalności państwa na polu ekonomicznym około podniesienia dobrobytu w ogóle. Ale w takim razie wchodzi tu w grę już nie jednostka lecz całe klasy, nie zajęcie jednostki lecz całe zawody, całe kategorie zajęć i pracy. O prawie do życia tutaj mówić już nie można, bo życiu nie grozi niechybna zagłada, a stopa życia, miara dobrobytu, stosunek środków do potrzeb nie wchodzi w zakres pojęcia, w jakim prawo to brać można bez zboczenia na pole socjalizmu, i to nie socjalizmu szlachetniejszego a raczej ostrożniejszego, który pod dźwięcznym hasłem organizacji pracy chciałby z czasem stopniowo dokonać przewrotu w stosunkach społecznych; lecz tego brutalnego, cynicznego socjalizmu, który jawnie neguje odwieczne prawidła społecznego ustroju i doktrynę o równości chciałby przeprowadzić do granic ostatecznych tak, aby była jedna tylko równa miara używania i posiadania.

W rozprawie, która służyła za podstawę tych uwag, a która stanowi tylko jeden z bardzo licznych produktów panującej do niedawna wszechwładnie teorii o państwie praworządnym (Rechtsstaat), zwrot do takiego śmiałego wniosku jest prawie wyraźnie wskazany w zdaniu, że jak w stowarzyszeniu nie wolno czynić wydatków zby-

tkowych ani przyznawać szczególnych korzyści pojedynczym członkom kosztem funduszu żelaznego, tak i społeczeństwo nie powinno pozwalać sobie wydatków zbyt znacznych, chociażby ważnych i użytecznych, jeżeli społeczny kapitał zakładowy, t. j. byt jednostek, nie jest zabezpieczony. U tej granicy, tuż przy owej niwelacji społecznej, którą socjalizm pragnie zbawić ludzkość, zatrzymują się wszyscy doktrynerzy ze szkoły państwa praworządnego, wynoszącej jednostkę na stanowisko czynnika, z którym społeczeństwo i państwo tak samo jak każde towarzystwo z członkiem swoim liczyć się musi. W rozprawie naukowej, w książce łatwo zatrzymać się u tej granicy, omamić siebie i drugih, że na tém już koniec, że chodzi tylko o takie prawo do życia, aby nikt nie ginał marnie, aby wszyscy żyli w harmonii i zgodzie. Ale ta książka dostaje się do rąk ludzi, którzy koniec naukowych wywodów uważają tylko za wątek swoich dalszych rozmowań. Wszyscy mamy prawo do życia — tak rozumują ci myśliciele — bo wszyscy jednakowo na świat przychodzimy, jednakowo umieramy i w jednakowym stosunku zostajemy do przyrody, do całego świata zewnętrznego. Wszyscy więc mamy prawo do równej miary dóbr ziemskich, do równego stopnia używania i do równych przyjemności. Tak wygląda prawo do życia w wyobraźni socjalistów. Napozór rozszerzono tylko pojęcie jednego wyrazu, t. j. życia, a w rzeczywistości zanegowano pierwszy główny warunek społecznego ustroju, w ogóle społeczeństwa, t. j. nierówność społeczną.

Zejsć na temat nierówności społecznej, jako koniecznej i w naturze rzeczy uzasadnionej, znaczy tyle, co podjąć kwestyę, która stanowi jeden z fundamentów nauki o państwie i społeczeństwie. Mimo w oczy bijącego faktu, że Stwórca, lub mówiąc w duchu pozytywistów sama natura, w każdym człowieku, już w jego fizycznym i duchowym ustroju, odjęła równości wszelkie warunki potrzebne, doktryna o równości jako wrzekomo naturalnym postulacie, który tylko przez ludzkie, a więc przemijające urządzenia został skrzywiony i w końcu zaprzeczony, umiała omamić urokiem swoim nawet głębsze umysły, dalekie od aberracji socjalistycznej. Nierówność fizyczną i duchową, już z natury pochodzącą, uznano, bo trudnoż było wytaczać spór Stwórcy lub naturze o to, że jedni ludzie żyją krótko a inni długo, że jedni przychodzą na świat z garbem a inni prości, nawet sztywni, że jedni geniuszem wszystkich olśniewają a drudzy idyotyzmem wzbudzają litość i t. d. To wszystko nie wchodzi w rachubę doktryny, która wymarzyła sobie mimo to równość na polu społecznego i państwowego życia, wynosząc ją na stanowisko jednej z głównych zasad państwa praworządnego. Prawo powszechnego głosowania miało być polityczną inkarnacją tej równości i uchodziło za to, dopóki praktyka nie wykazała (we Francji a potem w Niemczech), że są to fata morgana!

Zaszedł wreszcie zwrot jawny nawet w świecie naukowym. Równość, to negacya wszelkiego życia, to śmierć, a nierówność, to źródło życia i rozwoju ekonomicznego, mówi w najnowszym swém

dziele o ekonomii dr. Stein, który już przedtém w traktacie o społeczeństwie wbrew przemagającej przeciwniej doktrynie śmiało i kategorycznie postawił nierówność jako kardynalną zasadę ustroju i życia społecznego. William H. Mallock w najnowszym znakomitým dziele swoim o równości społecznej idzie jeszcze dalej, bo uważa nierówność istniejącą za niezbędny warunek cywilizacji ludzkości. Zdanie to tylko przytaczamy a zatrzymamy się za to przy poglądach innego autora, który w nauce o społeczeństwie reprezentuje kierunek całkiem przeciwny, ów pozytywizm, któremu taka dążność do zrównania, do niwelacji społecznej, powinnaby przypadać do upodobania. Autorem tym jest dr. Ludwik Gumplowicz, któremu mimo różnicy zapatrywań nawet przeciwnik nie może odmówić tego, że szeregiem swoich dzieł niemieckich, a szczególnie dziełem o państwie praworządném i socyalizmie (Rechtsstaat und Socialismus) zdobył sobie poważne stanowisko w świecie naukowym. Posłuchajmy wywodów tego świadka klasycznego w sporze tak dziś zaostrozonym. Dr. Gumplowicz wziął sobie za zadanie wykazać w tém dziele, że zasady, na których oparł się system, tak zw. państwa praworządne, wyszły tylko na korzyść socyalizmu. System ten, zniżający społeczeństwo na poziom stowarzyszenia, miał każdą jednostkę zasłonić wałem obronnym prawa przed każdą samowolą państwa, ale cel ten tylko na książkowym terenie został osiągnięty, bo praktyka polityczna w Niemczech i w Austrii, w do niedawna dwóch typowych okazach państwa praworządne, wykazała w ostatnich czasach w sposób oczywisty, że tak równość jak wolność indywidualna i zasada rządzenia zgodnie z opinią większości, pozostały wobec aktualnych systemów rządowych tylko doktryną ale nie maksymą, a dla obywateli państwa są ciągle tém, czém były i będą zawsze, t. j. ideałem, nigdy całkowicie osiągnąć się nie dającym. Za to socyalizm, znalazłszy w systemie państwa praworządne na polu polityczném takie wygodne hasło i dążność otwartą do atomizowania społeczeństwa, wyzyskał to wszystko doskonale na swoją korzyść i zgubne swoje wnioski zasłonił uznaniami powagami naukowemi. Zrealizowanie bowiem równości także na polu ekonomiczném przedstawić mógł socyalizm już tylko jako konsekwencyą równości, uznanęj zasadniczo w zakresie praw politycznych. Co socyalizm przedstawia jako konsekwencyą, bo mu tak wygodnie, to stanowić winno właściwie punkt wyjścia. Nierówność znaczenia i wpływów w życiu społeczném i państwowém ma źródło swoje w nierówności stosunków posiadania. Chcąc zatem zasadę równości urzeczywistnić, państwo musiałoby równość w posiadaniu postawić jako zasadę i przeprowadzić ją ściśle. „Byłoby to — mówi dr. Gumplowicz — zadanie bardzo trudne, gdyż wnet pokazałoby się, że równość posiadania wiecznie zmieniałaby się na nierówność. Bezstronne badanie źródła tej dążności do nierównego posiadania naprowadza na naturalną nierówność uzdolnienia ludzi. W konsekwencyi państwo praworządne musiałoby uchylić to źródło nierówno-

ści i tolerować tylko ludzi równo uzdolnionych. Trzebaby w takim razie chyba podjąć walkę z Panem Bogiem, z samą naturą."

Ten ostatni argument kładzie kres wszelkiej dalszej dyspacie. Kto patrzy na ludzi i społeczeństwo z ziemskiego stanowiska, nie zdoła sobie nawet wyobrazić chwilowego tylko urzeczywistnienia zasady równości. Trzebaby chyba stworzyć sobie osobny świat w duchu, zasklepić się w tym świecie, ignorować wszystko, co się dokoła dzieje, ale także i znosić z rezygnacją ignorowanie ze strony ogółu! Tak rzecz przedstawia się ze stanowiska trzeźwego badania stosunków, tak ją przedstawia historia od jęj wątku zaczawszy, tak wreszcie świat pojmować każe każda religia, która zna równość wyższą, nadziemską, ale nie tę społeczną, któraby w następstwach swoich zniszczyć musiała wszelki porządek i wszelką władzę w rozleglejszém tego słowa znaczeniu.

Zbliżamy się do końca refleksyi, jakie obudza owo prawo do życia, którém teoria państwa praworządneho, tak samo jak swoją doktryną o równości, wyświadczyła wielką przysługę aspiracyom socjalizmu. Prawo do życia w tém znaczeniu, żeby nie ginęła jednostka zupełnie niezdolna do spełniania głównego obowiązku wobec społeczeństwa, t. j. do pracy, było i jest uznawane przez państwo i społeczeństwo, bez względu na zmieniające się prądy i teorye. Nie potrzeba więc szukać nowych pojęć, a raczej nowych doktryn, jak np. owa, którą znaleźliśmy w rozprawie d-ra Ofnera. Prawo do życia w tém znaczeniu, żeby społeczeństwo miało obowiązek gwarantować jednostce znośną egzystencją pod każdym warunkiem, nawet bez pracy, dyktowane być może złemi instynktami natury ludzkiej, ale nie ma uzasadnienia ani w prawie boskiém, ani w ludzkich urządzeniach. Rozumna i świadoma celów swoich administracya, wysila się na coraz skuteczniejsze sposoby ułatwiania pracy i potęgowania jęj wydajności, jedném słowem, podniesienia dobrobytu ogólnego, ale jest to tylko akcyja pomocnicza, któręj za podstawę służyć musi praca. Na tęj podstawie prawo do życia nawet w znaczeniu szerszém, t. j. w tém, żeby jednostka mogła podnieść miarę i stopień używania, znajduje uznanie i poparcie w administracyi, która zawsze i wszędzie dąży do ułatwiania zdrowego ruchu społecznego, umożliwiając jednostce zdobywanie sobie pracą, trudem i zasługami własnymi wyższego stopnia w hierarchii społecznej. Ale żeby cel ten osiągnąć, należy wziąć rozbrat z mrzonkami takimi, jak równość społeczna, jak rozbijanie społeczeństwa na atomy i stawianie jednostek w roli równych sobie uczestników jednego stowarzyszenia. W tęj roli i w wynikającym ztąd sporze ze społeczeństwem, urojone prawa indywidualizmu muszą być zgniecione samą siłą natury rzeczy, bo społeczeństwo nie jest wynalazkiem, któryby zastąpić się dał innym doskonalszym, bo społeczeństwo nie jest urządzeniem ludzkim, lecz boskim, lub mówiąc w sposób zrozumialszy dla głów pozytywnych, tak samo naturalném i pierwotném, jak w ogóle ludzkość. Jak wszędzie, tak i tutaj, wobec odwiecznego i niezmiennego

go prawidła, czy je kto wywodzi z natury, czy z wyższego boskiego porządku rzeczy, jednostka jest i pozostanie bezsilną. Do herostratesowych dążeń, do negacji, pole jest zawsze otwarte i rozległe. Ale chociażby chwilowo i w pewnym miejscu, jak w r. 1871 w Paryżu, prąd burzący porządek społeczny okazał się silniejszym od jego środków obrony, chociażby takie erupcje społeczne miały się jeszcze na zgubę ludzkości nieraz powtarzać, wszystko to pozostanie marnym wysileniem wobec niewzruszonej potęgi podstaw, na których ludzkość wzrosła, rozwinęła się i postępuje dalej. Takie epizody, jak komuna paryzka, mają zapewnione miejsce w historii, ale tylko jako zizolowane zboczenia, a nie jako wypadki, stanowiące nowe zwroty lub początki nowych prądów. Im gwałtowniejsze są te przejścia, tém bliższe zbawienie społeczne, bo tém prędzej następuje opamiętanie. Widzimy to najlepiej w dwóch państwach, w których liberalizm tryumfował już bez granic i miary, t. j. w Niemczech i Austrii. Bankructwo jego jest dziś zadekretowane, a w ustawodawstwie i administracji każda świeża reforma nosi wybitne znamię nowego kierunku, a raczj powrotu do dawnych zasad. Wybujały indywidualizm, który pod hasłem wolności osobistej wytworzył rozstrój graniczający z jawną anarchią, a w stosunkach ekonomicznych, pozostawiając jednostkę bezbronną w walce z przemagającymi ją czynnikami, podkopał byt materyalny całych klas i warstw społecznych, nie nadaje już tonu w ustawodawstwie i administracji, a państwo ujmując w karby wybujały indywidualizm, dla dobra ogółu zaczyna zacierać ślady panującego dotąd systemu. Ta działalność społeczna objawia się oczywiście najpierw tam, gdzie skutki zgubne najwięcej się uwydatniły i z kąd w ich następstwie naturalnym niebezpieczeństwo najgroźniej wystąpiło, t. j. na polu przemysłu i w stosunkach robotniczych. Tutaj liberalizm najwięcej się skompromitował i najzgubniejsze wydał owoce, tutaj ludzkie prawo do życia, nietylko w ścisłszem znaczeniu, jako ochrona przed marnowaniem tego życia z winy lub niedbalstwa karygodnego, lecz także w obszerniejszem znaczeniu, jako zabezpieczenie niezbędnych warunków egzystencji w razie niemożności zarobkowania, było pomijane, prawie ignorowane. Ogromny postęp pod tym względem stanowi reforma austriackiej ustawy przemysłowej, dokonana przez panujące dziś stronnictwo konserwatywne, bez pomocy liberałów, nawet wbrew ich zaciętemu oporowi.

Jest to jednak dopiero początek zmiany. Równoległe z tą pracą państwa nad naprawieniem złego, które spada na rachunek liberalizmu, muszą działać także inne czynniki, powołane do zbawiennj roli a skazane do niedawna na nieczynność, formalnie odepchnięte od udziału w pracy dla dobra społecznego. Ks. Bismarck nie wahał się pójść do Canossy, widząc, że wśród tego ogólnego rozprzężenia społecznego, wśród tego zdziczenia moralnego, jak się sam wyraził, wielka, cudowna siła i wpływ kościoła stanowią niezbędny warunek odrodzenia. Do Canossy zatem, t. j. do przywrócenia kościołowi dawnego stanowiska, zakresu i wpływu, muszą pójść i inni mężowie stanu, wal-

czący z tak groźną dziś hydrą społecznego rozstroju. Samém prawem karném, chociażby nawet zaostrzonym do najwyższego stopnia, złemu się nie zaradzi, bo prawo dosięga tylko czynów, t. j. materialnie uwydatniających się instynktów zbrodniczych, ale bezsilném jest zupełnie wobec nich, dopóki nie wcieliły się jeszcze w czyn zbrodniczy, chociażby widocznie się burzyły i udzielały coraz szerszym kołom. Państwo władza kodeksami, ale nie etyką, którą kościół tylko oddziaływać może na najszerze koła, na cały ogół, w sposób uszlachetniający i zapobiegający rozwijaniu się złych instynktów w masach. Liberalizm podkopał tę etyczną działalność kościoła może nie rozmyślnie, może wskutek nieświadomości następstw, ale faktem jest, że jest to jego dzieło, za które ciężka dziś spada nań odpowiedzialność.

Wszystkie urządzone i utrzymywane przez państwo domy kary, poprawy i robót przymusowych, nie wystarczą na poskromienie złych instynktów i nie zapobiegają ich wybuchom bez pomocy umoralniającej kościoła, którego etyczna działalność i wpływy sięgają już w sferę myśli, zachceń i żądz, a więc tłumią złe w samym zarodzie. Wszystkie przez państwo lub instytucje publiczne zakładane i utrzymywane domy ubogich i kalek, zakłady dla zaopatrywania starców niezdolnych już do pracy, wszystkie szpitale i zakłady dobroczynności w ogóle, nie sprostają swojemu zadaniu, nie będą stanowić dostatecznej ochrony życia wobec wyjątkowej nędzy i niemożności zarobkowania, jeżeliby społeczeństwo zupełnie na nich polegać miało i nie poczuwało się wcale do współdziałania na każdym kroku, w każdym spostrzeżonym wypadku. Tego poczucia obowiązków nie wszczepi pewnie w społeczeństwo liberalizm, wynoszący indywidualizm z ujmą dla łączności społecznej wszystkich, tolerujący chętnie egoizm nie jako przywarę, lecz owszem, jako ważny i uprawniony czynnik działania każdej jednostki w własnym zakresie ekonomicznym, rugujący w końcu wrzekomo dla ochrony wolności osobistej i wolnego postępu wpływ kościoła zewsząd, gdzie on wieki całe dla dobra ludzkości uwydatniał się w uszlachetnianiu ogółu. Któż poza kościołem zdoła utrzymać w społeczeństwie żywe poczucie tej chrześcijańskiej miłości bliźniego, która wszystkich sprzęga w całość organiczną i jednakową troskliwością otacza, której wykonywanie przez społeczeństwo całe dałoby najlepszą rękojmię, że prawo do życia nigdy i nigdzie nie zostanie ani podeptane, ani naruszone przez ludzi lub stosunki. Ta miłość chrześcijańska nie odrąca, ani nawet nie upośledza tych, którzy upośledzeni przez naturę od przyjscia na świat, są tylko ciężarem dla innych, a więc nie składają się na kapitał społeczny, jaki w społeczeństwie pojmaném tylko jako rodzaj towarzystwa, stanowić miałyby źródło i całą podstawę prawa do życia. A jakżeż przejąć się może społeczeństwo tą miłością chrześcijańską, jeżeli liberalizm już dziecięce umysły i serca ile możności stara się wyemancypować z pod wpływu kościoła, a więc z pod jego etycznej misji wychowawczej? Jakżeż nie ma zdziwić społeczeństwo

przyjmujące za czynnik postępu ekonomicznego egoizm, a za czynnik wolności bezwyznaniowość?

Więc nie w szukaniu nowych doktryn prawnych i społecznych, a szczególnie nie w tém zniżaniu społeczeństwa na stanowisko stowarzyszenia, gromady jednostek połączonych w mechaniczną tylko całość węzłem materyalnych interesów, lecz w powrocie do chrześcijańskich pojęć o społeczeństwie, jako jednej wielkiej rodzinie, i w przywróceniu etycznej misji wychowawczej kościoła, leży rękojmia najpewniejsza nietylko ochrony prawa jednostek do życia, lecz także życia i rozwoju społeczeństwa całego.

Lwów, w lutym 1884.

STANISŁAW HR. WODZICKI,

PREZES SENATU B. RZECZYPOSPOLITEJ KRAKOWSKIEJ *).

(PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW KRAKOWA, 1815—1830).

NAPISAŁ

Mieczysław Krzywosąd-Kępieński.

VI.

Tak się ułożyły rzeczy w starożytnym grodzie Jagiellonów, kiedy na zachodzie, mianowicie nad Francją, gromadziły się nawałnice, które odbiły się także i u nas nad Wisłą. Rewolucya lipcowa w Paryżu, orędzie ministeryum księcia Polignac'a, nakoniec upadek Karola X, były tą iskrą elektryczną, która przebiegając Europę, pobudzała do wybuchu umysły przedewszystkiém tych społeczeństw, które ukołysane zastrzeżeniami traktatu wiedeńskiego z r. 1815, czuły się zawiedzionemi. Połączenie Belgii katolickiej z protestancką Holandją, ciągnącą z zamorskich kolonii i z wolności handlu wszystkie swe bogactwa, było przeciwném interesom Belgii; wolny handel holendrów zabijał industrią belgijską, w skutek czego rósł antagonizm pomiędzy krajami, a w wysokim stopniu rozbudzony fanatyzm religijny, podsycał jeszcze więcej wzajemną nienawiść, która wybuchnęła otwartym płomieniem rewolucyi. Wypadki w Królestwie Kongresowém znalazły silne odbicie w mieszkańcach Krakowa, tak, że niebawem wystawiły na szwank nie tylko interesa, ale i byt Rzpltej. Położenie hr. Stanisława Wodzickiego było w obec tego wzburzenia umysłów nad wyraz drażliwém, trudném i coraz niebezpiecznijszém. Przytłumione na czas pewien wrogie, burzliwe żywioły opozycyjne, zaczęły podnosić głowę z całą siłą: szereg malkontentów brał widocznie

*) Dokończenie — patrz zeszyt za m. luty r. b.

górc. Sądownictwo wspólnie z akademią, dysponując młodzieżą szkolną bez doświadczenia, zbyt pobopną do czynu i motłochem ulicznym, gotowym zawsze do wszelkich zaburzeń, przysposabiało mimowolnie zupełny przewrót w stosunkach krakowskich. Obowiązki urzędowania wojewody Wodzickiego zgadzały się zupełnie z żądaniami tymczasowego rządu warszawskiego: ks. Czartoryski przez Ludwika Bystrzanowskiego, a później generał Chłopicki, wzywali prezydenta do zachowania ścisłej neutralności w obec obydwóch stron, prowadzących wojnę, nakazując wyraźnie w swoich odezwach, aby nie dozwalał najmniejszego poruszenia ze strony mieszkańców Krakowa; podobnie i traktatem wiedeńskim określona „ścisła neutralność“ Rzpltej, te same na prezydenta kładła obowiązki. Prócz tego, warunki i położenie Krakowa były dosyć przyjazne: neutralność gwarantowana przez mocarstwa, zapewniała mu spokojność na wszelkie wypadki, sprwadzając dla kraju prócz korzyści materialnej i schronienie w danym razie dla wojujących sąsiadów. Wodzicki, patrząc jasnym okiem na aktualny stan rzeczy, postanowił dołożyć wszelkich usiłowań, aby przestrzegać jaknajściślej neutralności Krakowa. Nie tak jednak myśleli malkontenci, którzy, wyzyskując egzaltacją powszechną i zapal młodzieży, dążyli do obalenia istniejącego porządku rzeczy. Od początku grudnia 1830 r., nie było jednego dnia, któryby nie odznaczył się jaknajdziwaczniejszymi pokuszeniami. Skazany za inicjatywą Wodzickiego Ch., odsiedziawszy dwuletnią karę więzienną, nie śmiał się wprawdzie pokazywać jeszcze na widowni, ale już jego przyjaciel i obrońca prawny, Soczyński, razem z swoim dependentem Baszczewiczem, połączywszy się z demagogami jak Bartel, Czermiński et tutti quanti, przygotowywali arenę dla przyszłych wypadków. Przedstawiali tedy Wodzickiego jako „tyrana“, dążącego do władzy absolutnej, jako sprzyjającego dworom opiekuńczym, co więcej, jako nieprzyjaciela ruchu narodowego, i przenosili tajne dotąd knowania na ulice i do miejsc zebrań publicznych. Niebawem uczuł Wodzicki skutki tej agitacji demagogicznej. W połowie grudnia, naszedł go w mieszkaniu niejaki Kratter, organista zamkowy, na czele hałasującej tłuszczy uliczników, żądając „w imieniu ludu krakowskiego“, ni mniej ni więcej, tylko wywieszenia w przeciągu godziny na rynku sztandaru rewolucyi. Senat miał urzędownie obwieścić, że Rzplta przystępuje do dzieła zbrojnie rozpoczętego. Wodzicki, przedstawiając tłumom stan rzeczy z wszelką łagodnością, oświadczył wyraźnie, iż w podobnym razie, wojska austriackie stojące załogą w sąsiedniem Podgórzu zajmą w przeciągu 24 godzin Rzpltą, a chcąc lud tém więcej o tej groźnej katastrofie przekonać, dał Kratterowi do przeczytania odezwę księcia Czartoryskiego, wzywającą Kraków do neutralności. Jakoż zgromadzone pospólstwo, folgując rozsądkowi i przedstawieniom a więcej jeszcze zdrowemu własnemu instynktowi, nie zbałamuconemu jeszcze zupełnie przez menerów, poczęło się rozchodzić do domów, wznosząc okrzyki na cześć Wodzickiego. Ale agitatorowie nie zasypiali sprawy. Dnia następnego

zwołał Soczyński zgromadzenie ludowe do oberży Szydłowskiego, gdzie przedstawił niejakiego Malinowskiego, przybranego w mundur cesarskiego kamerjunkra, jakoby delegowanego z Warszawy, do rozszerzenia ducha rewolucyi. Malinowski, zabrawszy głos, zachęcał zgromadzonych w niedorzecznej mowie, aby idąc za przykładem Warszawy, w podobny sposób usuwali przeszkody, jakie tamują „drogę do wolności“, począwszy od prezydenta senatu, który jest tyranem i zdrajcą, a wezwać na krzesło prezydenta obecnego w przejeździe przez Kraków ks. Henryka Lubomirskiego. Zgromadzenie przyjęło wniosek hucznie oklaskami, a Malinowski z pistoletami w ręku, sunie na czele całej tłuszczy do mieszkania księcia Henryka, by mu ofiarować godność prezydenta. Przelekuiony książę tą nagłą napaścią, protestuje w imię patriotyzmu i miłości kraju, tłumacząc się rozszalałym tłumom, że będąc powołanym od rządu w Warszawie, nie może już innych przyjmować godności. Zawiedzione tłumy rozbiegły się po mieście. Wodzicki, widząc coraz większe niebezpieczeństwo rozruchów, grożące Rzeczypospolitej, wyjednał uchwałę senatu, mocą której wydano Malinowskiego z granic Rzpltej. Kraków zawrzał oburzeniem na taką „tyranią.“ Zbiegowiska, mowy podburzające, rozruchy uliczne, były na porządku dziennym; że zaś podobne usposobienie mieszkańców objawiane publicznie, groziło neutralności a w konsekwencji narażało na utratę bytu politycznego Rzpltej, przeto, chcąc zastonić miasto od oczywistej zguby, chcąc usunąć z rządu krakowskiego odpowiedzialność za rozruchy w obec opiekuńczych dworów, wymógł Wodzicki uchwałę, nakazującą policji, aby niedopuszczała kupienia się ludu na placach publicznych, przemawiania do zgromadzonych, noszenia broni, niemniej przedsiębrania otwartych werbunków wojskowych.

Czegoż trzeba było więc, by przeciw Wodzickiemu podnieść zarzut tyranii i zdrady? Były to jednak wszystko tylko środki prewencyjne, konieczne dla zastonienia Rzpltej od inwazyi armii austriackiej i rosyjskiej, środki, których przestrzegają wszystkie państwa neutralne, gdy walka się toczy nad granicą kraju, a żywiły lokalne wyjątki z równowagi. Opozycja jednak Krakowska potępiła uchwałę jako „zgnącą“ dla narodu. Zatrwożone rozruchami miasto, poczęło myśleć o własnym bezpieczeństwie. Uzyskawszy pozwolenie od senatu, zformowano gwardyę narodową z osiadłych obywateli, która przy rozprężonych organach wykonawczych rządu, miała czuwać nad bezpieczeństwem mieszkańców, pilnować porządku i zapobiegać ulicznym rozruchom. Instytucya atoli gwardyi narodowej, stworzona dla tłumienia zawichrzeń—nietylko nie odpowiedziała temu zadaniu, ale stała się głównym ich motorem, a w miarę organizacyi milicyi, poczęły się odzywać coraz silniej aspiracye anarchicznego stronnictwa, pragnącego przewrotu istniejących stosunków i zaspokojenia chęci zemsty na znienawidzonym prezydencie senatu. Usunięci w r. 1828 z grona senatu Bartel, Wasserrab, Soczyński i Kucieński, wspólnie z wypuszczonym na wolność prokuratorem Ch., poczęli rozsiewać fałszywe

i niepokojące wieści, jakoby młodzież groziła zrzućeniem godeł zawieszonych nad mieszkaniem rosyjskiego rezydenta a nawet, że zagrożone bezpieczeństwo życia p. Zarzeckiego. Strasząc tego rezydenta krwawymi widmami, przedstawiali przez swoich agentów, jakoby jedynym środkiem uspokojenia wzburzonych żywołów, było unieważnienie uchwały senatu, co do usuniętych w r. 1828 z woli dworów opiekuńczych senatorów. Tchórzliwy Zarzecki chwycił się podsuniętego mu środka rzekomego ocalenia siebie, tém więcej, że mając żonę z domu Sobieniewską, był spokrewnionym z całym stronnictwem oponentów, i sekretnie sprzyjał do pewnego stopnia usuniętych senatorom. Po kilku naradach z stronnictwem przewrotu, oświadcza Wodzickiemu, że dwory, nie widząc innego sposobu do utrzymania porządku w Krakowie, zaleciły konferencyi przywrócić, przynajmniej na czas jakiś wszystkich senatorów i urzędników, usuniętych od władzy na mocy 19 artykułu konstytucyi. Wodzicki, nie mogąc wierzyć, aby dwory opiekuńcze chciały w jednym dniu niespodzianie odwoływać decyzją, po długich naradach zapadłą, dopominał się urzędowego wezwania od rezydenta, ponieważ bez takiego dokumentu niegodziło się w tak ważnej okoliczności wnosić na senat ustnej tylko propozycyi, jednego tylko a nie wszystkich rezydentów. Zarzecki utrzymywał przeciwnie, że każde, bodaj ustne wezwanie jednego z nich, uczynione w imieniu odnośnego dworu, obowiązuje senat urzędownie, zwłaszcza dzisiaj, gdy nagłość wypadków i panujących okoliczności, nie dozwalała konferencyi przygotować stosownych reskryptów. Gdy jednak Wodzicki obstawał stale przy swoim twierdzeniu, przychodzi Zarzecki osobiście na posiedzenie senatu, wystawiając w jaskrawych barwach grożące niebezpieczeństwo, jeżeli usuniętych „wbrew woli mieszkańców,“ czterech senatorów senat napowrót nie przyjmie do swojego grona. Pomimo to, nie mógł senat przychylić się do tego niesłusznego żądania; dopiero nazajutrz 7 grudnia 1830 roku, kiedy Zarzecki przyniósł wspólną notę wszystkich trzech rezydentów, zredagowaną w formie zyczeliwj rady, przystąpiono do głosowania nad wskazanym wyżej wnioskiem. Napróżno przekładał Wodzicki, że pośpiech podobny w tak ważnej okoliczności, był nie na miejscu, a co najmniej śmiesznym i uchybiającym powadze senatu, daremnie się odwoływał do względnej samodzielności Rzpltej, która nie powinna ulegać pierwszej lepszej nocie rezydentów, nie potwierdzonej przez dwory, napróżno w końcu przedstawiał, że krok podobny będzie błędem politycznym, gdyż monarchowie byliby się sami udali do senatu w tak ważnym przedmiocie. Wszystkie przedstawienia były bezowocne, senat głuchby na głos rozważ, rozsądku i słuszności sprawy, jakby odurzony groźbą niebezpieczeństw, przychylił się do żądania rezydentów ogromną większością głosów, gdyż sam tylko wojewoda Wodzicki i senator-sekretarz Jacek Mieroszewski, sprzeciwiali się uchwale, w skutek której zaraz nazajutrz wspomnieni wyżej czterej wykluczeni członkowie zostali zaproszeni do zasiadania w senacie. Przeprowadzeniem téj sprawy nie uratował jednak Za-

rzecki swój popularności; wprowadzenie czterech oponentów do senatu nie ocaliło rezydenta od zniewagi, nawet tego samego dnia. Przestraszony tedy, nie czekając odwołania rosyjskiego dworu, umknął tajemnie do Wiednia, zostawiając na zastępcę sekretarza swego Riccarda. Do ucieczki Zarzeckiego przyczyniły się podobno więcej od zniewagi... długi. Zarzecki był zawsze w interesach kłopotliwych, w nieustanną obawie sekwestru ruchomości. Rzeczy zachodziły tak daleko, iż jeden z wierzycieli, wsparty przez komorników uzbrojonych prawomocnymi wyrokami, wyprzągnął rezydentowi konie z karety—i to było, zdaje się, właściwszą przyczyną ucieczki niżeli jakiegokolwiek polityczne względy. Po ucieczce Zarzeckiego, nie pozostał jak tylko jeden rezydent dworów opiekuńczych w Krakowie, był nim Lorenz, pełnomocnik austriacki, figura bardzo wątpliwiej wartości; pruski bowiem, Knobelsdorf, umarł przed miesiącem a zastępstwo po nim objął pewien pruski pocztmaister, którego nazwiska nie mogłem nawet odnaleźć.

Jak tylko zasiedli w senacie osobiści nieprzyjaciele prezesa Wodzickiego, można było przewidzieć, że stosunki Rzeczypospolitej przybiorą inny, stanowczy zwrot rewolucyjny. Przewidywał też Wodzicki osobiste swoje niebezpieczeństwo. Trwożliwi z towarzyszków prezydenta, jak Jan Mieroszewski, dyrektor policji, podał się do dymisji i opuścił Kraków, podobnież generał Załuski, kurator Uniwersytetu, coraz więcej zniechęcony od profesorów i młodzieży szkolnej, wyjechał do Warszawy, by wstąpić w szeregi walczących. Po wyjeździe kuratora, senat nie znając żadnego hamulca, zniósł władzę kuratorji i statut z r. 1821, przywracając ową „Wielką Radę,” gdzie, jak wiadomo, sądownictwo i Akademia, a szczególnież Nikorowicz i Hoszowski wielką odgrywali rolę. Kiedy tak zagrożeni niebezpieczeństwem opuszczali swoje stanowiska, unikając zniewagi ze strony motłochu, jeden Wodzicki nie opuścił swojego urzędu, jakkolwiek był przekonany, że w takim składzie rzeczy i stosunków, w niczem już dobrą sprawę nie pomoże. Ustąpienie jednak z piastowanej godności bez odwołania ze strony władzy właściwej, bez powierzenia rządów w ręce godnego zastępcy, uważał nie tylko za brak odwagi cywilnej, ale za haniebny dowód tchórzostwa. Oprócz tego mogło tak nieprzygotowane ustąpienie naczelnika rządu sprowadzić do miasta wojsko austriackie lub rosyjskie. Pomimo zatem próżb najbliższej rodziny i przyjaciół, postanowił Wodzicki wytrwać na zagrożonym posterunku naczelnika kraju. Tymczasem przywróceniu senatorowie podniecali wszelkimi sposobami namiętności polityczne, godzące w zniechęconą osobę prezydenta, który już nie miał żadnego oparcia; siła bowiem zbrojna była na rozkazy malkontentów; policja po ustąpieniu Mieroszewskiego, przeszła pod dyktando przywróconego senatora Kucieńskiego; gwardya narodowa pod wodzą Mączyńskiego, spokrewnionego z prokuratorem Ch. i całym zastępem opozycji. Taki stan rzeczy nie dawał żadnej gwarancyi utrzymania porządku i zapobie-

żenia rozruchom; a młodzież szkolna codzien więcej rozgorączkowana wypadkami w sąsiedztwie, składając w nieobecności Załuskiego wszystkie jego postępy na Wodzickiego, podbehtywana ciągle przez agentów, prędzej się oświadczała przeciw prezydentowi aniżeli za nim. Nie rozszerzając się zbytecznie nad tym smutnym stanem rzeczy, nad ogólnym rozkładem organizmu Rzeczypospolitej krakowskiej, pomijamy rozruchy uliczne, nachodzenie i zdobywanie szturmem przez studentów policji, ich delegacje do senatu, gdzie dyktowali steroryzowanym senatorom uchwały, pomijamy codzienne zgromadzenia ludu i manifestacje, tudzież nikczemne środki i sposoby, jakich używano przeciw Wodzickiemu przez podburzanie pospólstwa po szynkowniach, przez przyklepanie paszkwilów, wyroków śmierci i t. p. akta rozzu-chwalonej samowoli. Wodzicki cierpliwie czekał odwołania, pilnując jak zawsze swoich obowiązków, gdy jednak widział, że stosunki przybierają coraz gorszy obrót, napisał pod kopertą Franciszka Wężyka, posła na sejm z województwa krakowskiego, raport do księcia Adama, w którym przedstawiając ówczesny stan Krakowa i niemożność utrzymania neutralności, załączył usilną prośbę ze swęj strony, by go rząd tymczasowy zechciał uwolnić ze stanowiska, gdzie jego praca była bezowocną i przyczyniała się tylko do rozdrażnienia namiętności. Jeszcze nie nadeszła odpowiedź z Warszawy, kiedy już odbywano schadzki na miejscach publicznych, debatując, czy Wodzickiego śmiercią ukarać doraźną, czy oddać pod sąd „narodowy,” czy wreszcie wyświecić (?) z Krakowa. Tumulty mnożyły się z dniem każdym, lepiej myślący mieszkańcy kryli się po domach, po ulicach przebiegały tłumy pijanej zgrai uliczników, atmosfera była coraz cięższą, w powietrzu czuć było zbliżające się groźne wypadki. Wodzicki mimo widocznego niebezpieczeństwa, nie chciał się cofnąć przed motłochem ulicznym i nikczemną agitacją malkontentów, nie chciał opuścić w tak ważnej chwili stanowiska, na które powołany zaufaniem ziomeków, piastował bez skazy powierzoną sobie godność przez lat kilkanaście, bo liczył jeszcze nieco na zdrowy instynkt mas, spodziewając się, że wcześniej czy później przyjdą do rozsądku, że światlejsi mieszkańcy miasta zrozumieją położenie rzeczy i uratują skołatany okręt od zatonięcia w nurtach szalejącej burzy. Rachuba ta omyliła go jednak. Namiętności polityczne tłumy, podsycane codziennie przez agitatorów, podnosiły się do największego zuchwalstwa; rozburzone żywioły uliczne, rozpajane wódką, potrzebowały koniecznie jakiejś satysfakcji, a kierowane mściwą ręką, zwróciły się do pałacu prezesa senatu. Było to w niedzielę 16 stycznia 1831 r. w porze rannęj, kiedy się właśnie do kościoła wybierał Wodzicki, gdy napadła jego mieszkanie zgraja pijanych rzemieślników z dobytymi pałaszami, pod wodzą Baszczewicza, dependenta adwokata Soczyńskiego, który nie wahał się dopuścić obelgi względem tyle zasłużonego, znękanego i bezbronniego starca. Zuchwałe słowa przywódcy kończyły się następującą zapowiedzią: „Donosimy ci więc, żeś przestał być

prezydentem i więcej rządzić nie będziesz.” Na zapytanie Wodzickiego, kto przysłał napastników z takim poleceniem, była odpowiedź: „Władza niewidoma.” Z cierpliwością, godną wszelkiego uznania, przedstawił Wodzicki nielegalność podobnego kroku, wskazując niebezpieczeństwo, jakie zagraża Rzeczypospolitej w razie złamania neutralności, zapytując wreszcie przywódcę, czy jako człowiek z inteligencją zastanowił się chociaż chwilę nad skutkami podobnego gwałtu? „Wiemy co robimy, — chciałeś uciekać do Wiednia, aresztujemy cię więc, abys był oddany pod sąd narodowy,” była zuchwała odpowiedź Baszczewicza, który, zostawiwszy po dwóch uzbrojonych stróżów przy każdych drzwiach, opuścił z hałasem mieszkanie prezesa, mianując niejakiemu Gudrayczyka komendantem straży. Nie długo też nadciągnął przed pałac Wodzickich prokurator Ch. na czele swoich adherentów, zabierając głos, w którym oskarżał prezesa o następujące zbrodnie. Oskarżał tedy prokurator Stanisława hr. Wodzickiego:

1. Że, sprzedając na targu pszenicę galicyanom, chciał Kraków ogłodzić. (Zarzut nie miał najmniejszego sensu, wiedział bowiem każdy, że przy otwartych granicach, przywóz i wywóz zboża zapewniony był konstytucją).

2. Że przez trzy dni ukrywał w domu swoim zbiegłego z Warszawy Mateusza Lubowidzkiego. (Zarzut ten był kłamstwem, bo wiadomym było, że Bontani wywiózł był Lubowidzkiego na Śląsk, nie zważając nawet o Kraków).

3. Że po wypadkach warszawskich, wydał był Wodzicki komendantowi zbiega austriackiego, który miał być rozstrzelanym na Podgórzu. (Była to nikczemna insynuacja, wymyślona przez przewrotnych demagogów w celu doprowadzenia namiętności tłumów do ostatnich granic, — nie zbijamy tutaj tego fałszu, bo znajdziemy jego zaprzeczenie w poniżej przytoczonym liście pana Wincentego Siemieńskiego i w odezwie Jacka Mieroszewskiego).

4. Że po kilka razy zapraszał prezydent senatu austriaków do zajęcia Krakowa. (Odpowiedź również w poniżej przytoczonym liście Siemieńskiego).

5. Że w dniu aresztowania, z całym swoim dworem i rodziną miał się udać Wodzicki do Wiednia a uwięzienie nie miało innego celu, jak tylko zapobiedz ucieczce i zmusić prezesa do poddania się wyrokowi sądu narodowego.

Oprócz Siemieńskiego, obywatela znanego ze swojej zacności i powszechnym dla swoich przymiotów otoczonego szacunkiem aż po nasze czasy, którego list zamieszczony w „Gońcu” krakowskim, jest najlepszym dowodem, że zarzuty powyższe były kłamliwymi, ze względu na ostatni nadmienić wypada, że napastnicy po zaaresztowaniu Wodzickiego, odbyli zaraz w jego mieszkaniu dokładną rewizyą, przy czem przywłaszczyli sobie innóstwo cennych rzeczy, ale nie znaleźli żadnych przygotowań do wyjazdu, ani rzeczy spakowanych, co prze-

cież do podróży było koniecznie potrzebném. Zresztą co do tych wszystkich zarzutów, najlepiej nas objaśni protest Siemieńskiego, zamieszczony w „Gońcu” krakowskim, nr. 29 z dnia 7 lutego 1831 r., który tu przytaczamy dla wyjaśnienia prawdy: „Oburzony równie jak każdy dobrze myślący i szanujący sławę współobywatelską, wyczytawszy w „Dzienniku powszechnym” warszawskim nr. 26, artykuł z Krakowa z dnia 19 stycznia b. r., dążący do ohydneho oczernienia byłego Prezesa Rzeczypospolitej krakowskiej, udałem się do JW. Rezydenta Ces. Austr. w celu powzięcia wiadomości o zarzutach, wytkniętych w tym artykule, a który nie stwierdzony podpisem, zdawał mi się być więcej jak podejrząny. JW. Rezydent zaręczył mi najprzód i JW. generał Ces. Austr. komenderujący naczelnie, oświadczył się gotowym powtórzyć każdemu, kto tego po nim zażąda, że od byłego prezesa Senatu nie odebrał nigdy ani ustnego ani piśmiennego wezwania o pomoc wojskową, a tém mniej o wkroczenie wojska austriackiego do Krakowa. Co się zaś dotyczy mniemanej ofiary surowości praw wojskowych przez Prezesa jakoby samowolnie wydanęj, JW. Rezydent oświadczył, że na mocy traktatu dodatkowego z roku 1815, Senat Rządzący a nie sam prezes zbiegów wojskowych na jego rekwizycją wydawać jest obowiązany, żaden z nich wszelako od zawiązania Rzeczypospolitej krakowskiej wydanym nie został i karze śmierci nie podpadł; dodał również, że były prezes ani nie brał ani nie żądał od niego paszportu do Wiednia, nawet nigdy nie objawił mu myśli udania się gdziekolwiek w kraj ces. austriacki. Podpisany, na takich publicznych świadectwach oparty, poczytuje sobie za obowiązek sumienia i uczciwości, podać takowe rzetelne rzeczy wyświecenie do wiadomości publicznej, a to najlepiej oceni różność niniejszego podania od haniebnęj dążności oszczercy.”

W Krakowie, 5 lutego 1831 roku.

Wincenty Siemieński.

Pomijamy szczegółowy opis tych wstrętnych rozruchów, jakie się odbywały przez całe dwa dni przed mieszkaniem zneganej rodziny Wodzickich, pod wodzą prokuratora Ch. Napróżno odzywały się głosy ludzi rozwagi i rozsądku, ludzi zacnych, jak senatora i profesora Akademii Czajkowskiego, pana Teofila Trzebińskiego i w. i. Pomimo tego wszystkiego, pomimo przedstawień, nalegań rodziny, trwał Wodzicki w swoim postanowieniu niezłomnie, gotów raczej życie dać w ofierze swoich przekonań, niżeli splamić się tchórzostwem, niżeli ustąpić z powierzzonego mu stanowiska, bez odwołania ze strony władzy właściwej. Widząc, że nic nie jest w stanie ugiąć niezłomnej woli prezydenta, ucieczono się do podstępu. Senat mianowicie wyznaczył osobną komisją, złożoną z czterech najnieprzychylniejszych Wodzickiemu senatorów, którzy się mieli naradzić z rezydentem Lorentzem, nad środkami skłonienia wojewody do dobrowolnej abdykacyi. Na posiedzeniu w tym celu odbytém uradzono, że dwóch

senatorów z rezydentem austriackim, zrobia Wodzickiemu przedstawienie w tym względzie. Przedtém jednakowoż wysłano Wincentego Siemińskiego i Józefa hr. Wodzickiego z konfidencyjnym doniesieniem, jakoby rezydent austriacki otrzymał depezę od swojego dworu, iż zdaniem jest księcia Metternicha, ażeby „dla ocalenia życia” nie opierał się dalej życzeniom zbuntowanej opozycji krakowskiej, ale raczej rezygnował ze swego urzędu. Niebawem pojawiła się i sama deputacya senatu, której przewodniczący Lorentz oświadczył, że gdy powaga prezydenta nie jest już szanowaną, zdaniem jest więc dworów, aby nie narażając się więcej, złożył swą godność do rąk rezydenta. Wobec takiego oświadczenia, jakkolwiek był przekonany, że było kłamliwem, z czystem sumieniem dopełnionego obowiązku, przesłał Wodzicki nazajutrz 18 stycznia podpisaną rezygnacyą na ręce rezydenta Lorentza tej treści, że „powodując się radą dworów opiekuńczych, ustępuje z godności, do której go powołali monarchowie i zaufanie wolnego narodu, położywszy u spodu datę: „z więzienia mego w Krakowie, 18 stycznia r. 1831.” Nie upłynęło nawet pół godziny, kiedy Lorentz odesłał wspomniany dokument z uwagą, aby w rezygnacyi prezydenta nic nie było wspomnianem o woli monarchów, ani też co było przy podpisie wyrażonem, doby się mogło stać powodem wniosku, jakoby akt abdykacyi nie był dobrowolnym, ale wymuszonym. Czując podstęp, długo się tému sprzeciwiał Wodzicki, łązy jednak żony, w których tonęła od trzech dni, prośby przyjaciół, a wreszcie naturalne zniechęcenie i rodzaj pogardy dla tego tłumy bezmyślnych wichrzycieli, skłoniły stroskanego starca do żadanego aktu abdykacyi. „Przyciśniony wiekiem, niemocą i zgryzotami, podpisuję abdykacyą z urzędu powierzonego mi przez dwory opiekuńcze i tę składam w ręce rezydenta ces. austriackiego, który ją nie przedźję odda senatowi, dopóki nie stanę za granicą Polski.” Podpisana abdykacya nie uwolniła jednak Wodzickiego zpod straży; pod pozorem zagrożonego osobistego niebezpieczeństwa życia, zatrzymał senat wartę zalegającą pokoje aż do wyjazdu rodziny Wodzickich z Krakowa, który nastąpił nazajutrz 19-go stycznia, w towarzystwie krewnych i przyjaciół, odprowadzających tak chwilowo przygębioną rodzinę w powozach i konno aż do granicy Królestwa Polskiego.

Na tém się kończy urzędowanie hrabiego Stanisława Wodzickiego, jako prezydenta Rzeczypospolitej krakowskiej, i moglibyśmy już podziękować czytelnikom, którzy smutne te wypadki—oby tylko ku nauce młodszych pokoleń!—z nami rozpamiętywali; ale patrząc na to życie pełne mozołu, poświęcenia, kłopotów i zasług, pragniemy dopełnić obraz tego zasłużonego żywota, spędzanego ciągle na usługach kraju, choćby dla tego, żeby nie zostawić czytelnikowi gorczy, iż pracę dla ogółu podjętą mogli ówczesni republikanie krakowscy odpłacić tak czarną, najczarniejszą niewdzięcznością. Chcielibyśmy wlać w młodsze pokolenia pewną otuchę w tę prawdę, że wcześniej czy później wynagrodzoną zostanie prawdziwa zasługa i żywot czysty, niczém nieskala-

ny, a z drugiej strony, że nikczemne zabiegi dusz małych i niskich, podłe i nikczemne krzykliwe deklamacye, nie ujdą potępienia i wzgardy, na jakie zasłużyły.

Znękany sędziwy starzec, stanąwszy po tylu przejściach w majątku swoim Niedźwiedziu, nie mógł przewyciężyć strasznego ciosu, jaki go dotknął za tyloletnią pracę dla dobra współziomków; stargane w zapasach siły żywotne wyczerpały się do ostatka: ciężka choroba powaliła na łożo zasłużonego wojewodę, wskutek czego ujrzał się pozbawionym wszelkich stosunków z światem zewnętrznym i współczesnymi wypadkami, jakie się pełniły na szerszym polu nieszczęść narodowych. Kiedy z pomocą zacnego doktora Brodowicza wyszedł z niebezpieczeństwa i powoli powracał do zdrowia, ciekawy wypadków tak blisko go dotyczących, przeglądał dzienniki z gorączką ławtą w ówczesnych czasach do wyłomaczenia i natrafił niespodzianie na artykuł w „Kuryerze Polskim,” Nr. 403, datowany z Krakowa 19 stycznia, w którym bezimienny korespondent nietylko wspomniane wyżej oskarżenie prokuratora Ch., wygłaszane tłumom, z całą zjadliwością i żółcią przytoczył, ale przedstawiając wypadki przez nas opisane w świetle fałszywem, wyprowadzał z nich wnioski, nazywając Wodzickiego „tyranem i potworem rodu ludzkiego.” Przekonany w sumieniu własnem o dopełnionych święcie obowiązkach, nie odpisał Wodzicki na tę potwarz, gardząc zjadliwym paszkwilem; niebawem jednak miał to zadowolenie, że powszechna indygnacya zapanowała między publicznością, a wielu ludzi zacnych i zasłużonych w kraju, ujęło się o sławę bezbronnego starca. Niebawem posypały się protesty publiczne przeciw nieznane-mu paszkwilantowi, którego nazwiska z identyczności zarzutów czynionych przez prokuratora Ch. i tych samych zamieszczonych w potwarczym artykule, domyślić się można. Z pomiędzy wielu głosów, podniesionych w obronie wojewody Stanisława Wodzickiego, podnieść winniśmy szczególnież zbiorowy protest obywateli województwa krakowskiego. ¹⁾ E. Komara, kapitana Gostkowskiego, a najwięcej artykuł ogólnie

¹⁾ Warszawski „Kuryer Polski,” Nr. 406, z dnia 28 stycznia 1831 r., str. 118, zamieszcza co następuje:

„Fałszywy i potwarczy artykuł, umieszczony w „Kuryerze Polskim,” Nro 403, pod napisem: „z Krakowa, 19 stycznia,” raczej pogardy niż odpowiedzi jest godzien. Świadomi rzeczy i dobrze znający wymienioną osobę Stanisława hrabiego Wodzickiego, wiemy, jak cenić należy podobne, a nie dowiedzione czernidła, lecz brzydzące się bezimiennością, która ciągle wszystkie artykuły z Krakowa osłania, niniejsze oświadczenie przeciwko nim podpisujemy. W Warszawie, 27 stycznia 1831:

Jan hrabia Leduchowski, poseł jędrzejowski. Ferdynand Walewski, poseł powiatu Miechowskiego. Michał Walewski, poseł powiatu Szkalmińskiego. Jan Bukowski, poseł olkuski. Józef Gostkowski, poseł krakowski. Jan Szymczykiewicz, poseł olkuski. Franciszek Wężyk, obywatel województwa krakowskiego i podlaskiego.

dla swoich zasług i cnót cenionego Jacka Mioszowskiego, nazwanego dla swojej prawości „Arystydem polskim.” Mioszowski pisze co następuje:

„Supplément au Nr. 21 de l'Echo de la Pologne. Il a été inséré dans le N-ro 5 de ce journal, un article touchant M. le Comte Stanislas Wodzicki, ancien Président de la République de Cracovie et Sénateur-Palatin du Royaume de Pologne.

„Les imputations dirigées contre lui étaient tellement graves et elles étaient accompagnées de personnalités si injurieuses, que sans aucun doute les rédacteurs actuels de l'Echo de la Pologne ne les seraient pas suffisamment autorisés, par une lettre écrite peut être par un ennemi, à leur donner une publicité si désespérante pour le Comte Wodzicki. Nous regardons comme un devoir d'accueillir la réclamation qui nous est adressée à ce sujet et nous livrons à nos lecteurs les observations contenues dans le mémoire imprimé ci dessous:

„L'attentat exercé contre la liberté individuelle du Chef du gouvernement de Cracovie, pendant les événemens survenus dans cette ville, le 16 Janvier 1831 est un fait d'autant plus inouï, que non seulement cette arrestation illégale a été accompagnée des plus indignes outrages, mais que le mensonge et la calomnie l'ont présentée dans les journaux du pays et de l'étranger sous un aspect qui semble la justifier.

„S'il est donc permis d'attaquer impunément devant le public un citoyen d'un caractère irréprochable (mais qui ne peut être connu de tout le monde), d'imputer des crimes d'état à celui, qui jamais n'en conçut l'idée et n'eut pour le commettre ni le motif ni pouvoir, qu'il me soit permis de prendre hautement la défense de ce concitoyen, dont toute la vie a été consacrée au service public, qui a toujours n'eut en vue, que le bien général et ne s'attira la haine d'une partie, qu'en cherchant à réprimer des abus que les devoirs de sa place, ainsi que ses nobles principes, lui défendaient de tolérer.

„Rétiré des affaires publiques et ne cherchant point à diriger l'opinion dont les journaux sont aujourd'hui les organes, je ne saurais cependant rester impassible à l'égard des odieuses diffamations répandues sur M. le Comte Wodzicki Sénateur-Palatin du Royaume de Pologne. Témoin constant de sa conduite comme Commissaire assesseur pendant sept ans de la Préfecture du Département de Cracovie, d'ont il était préfet, puis pendant quinze années comme secrétaire du Sénat de la République de Cracovie dont il était Président, loin de suivre l'exemple de ces détracteurs contre lesquelles il est de mon devoir d'élever la voix, je ne ferai point un mystère de mon nom. D'abord on concevrait facilement, que pour mériter l'épithète de „tyran” et de violateur des institutions nationales, épithète qu'on a donnée au Comte Wodzicki dans les articles dirigés contre lui, il aurait fallu posséder un pouvoir illimité, s'appuyer sur la force publique, s'en servir selon son plaisir, trouver dans les infractions aux lois un intérêt présent ou éloigné

et posséder l'immense faculté d'imposer à ses subordonnés un silence absolu sur les empiètements commis, afin d'ôter aux administrés les moyens de protester et de s'élever contre les injustices qu'ils auraient éprouvés, ce qui évidemment incompatible avec les formes d'un gouvernement republicain.

„Selon la base des institutions de la République de Cracovie, c'est le Sénat qui en a constitué le Gouvernement et le Président n'a d'autres attributions, que la direction des travaux, l'initiative de ses décisions, la surveillance de l'exécution des lois et réglemens dans toutes les branches de l'administration, ainsi que la faculté d'accorder l'initiative pour gracier les coupables. En outre, bien que les statuts de l'organisation intérieure du Sénat lui aient confié la direction exclusive de la haute police, ce pouvoir se trouve limité par une clause qui lui impose l'obligation de prévenir le Sénat dans le délai de 24 heures de toute arrestation, qu'il aurait ordonnée et expliquer les motifs, qui l'ont autorisée. Aucune force-armée n'a été laissée à sa disposition et son autorité sur les soldats consiste à approuver ou à alléger les peines, prononcées contre eux par le Commandant dans la vie disciplinaire. Une loi fondamentale a investi la représentation nationale du droit d'accuser et des soumettre au jugement tout fonctionnaire public, prévenu de la spoliation des deniers publics, de concussion et d'abus de pouvoir. Au surplus, les trois puissances protectrices, qui ont octroyé la constitution de la République, y ont des résidens acrédités et il est de leur devoir de surveiller, qu'elle reste intacte. Or, il est évident qu'avec de telles garanties des libertés nationales, le Chef du Gouvernement ne saurait les violer impunément.

Le Comte Stanislas Wodzicki nommé dans le principe le Président pour trois ans par les trois Cours protectrices, réélu ensuite à l'unanimité trois fois consécutives par la représentation du pays, s'était retiré après douze années de son administration; mais rappelé bientôt à la présidence par la volonté des trois puissances, il est facile de concevoir que s'il eût jamais dépassé le cercle de ses attributions il n'eût pas échappé à l'active surveillance de tant d'individus qui épiaient ses moindres actions et qui n'auraient pas manqué de le dénoncer aux trois pouvoirs, par l'intermédiaire de leurs résidens respectifs. Cependant personne n'ignore, que rien de semblable n'a jamais eü lieu; d'ailleurs on sait, que si les statuts primitifs ont reçu quelques amendemens de la part des hautes Cours, ils furent le résultat des abus intolérables, qui avaient attiré leur attention; néanmoins, bien que ces trois Cours agissent de plein droit, elles ne prirent aucune détermination à cet égard avant d'avoir consulté le Sénat, qui de son côté prit l'avis des plusieurs citoyens étrangers au Gouvernement, mais possédant la réputation justement acquise d'un jugement éclairé, d'une connaissance exacte des localités et d'une probité à toute épreuve, et les actes qui constatent que tous ces amendemens décrétés dans la voie diplomatique, attestent qu'ils ne furent pris, qu'après avoir suivi cette marche

non moins prudente que certaine, excepté l'élection de la curaterie générale des instituts d'éducation, que, ni le Président ni le Sénat n'ont provoquée, mais qui a été instituée par la volonté des trois Cours par suite du système de l'instruction publique, adoptée aux différens congrès et qu'elles avaient juger convenable d'étendre à notre république. Il est également notoire, que l'article 3 de la constitution et le sixième du traité additionnel, prescrivent l'extradition des fugitifs deserteurs et des personnes poursuivies par la loi. Toute cette extradition ne peut avoir lieu, que dans le cas seulement, où rien de ce, qui peut servir de défense aux individus réclamés, ne puisse se trouver dans les conventions spéciales avec les puissances limitrophes. En conséquence le Comte Wodzicki ne saurait être appelé tyran et violateur des lois n'en ayant eu ni les moyens ni aucun intérêt particulier, ainsi que je viens de le démontrer et comme toujours l'on est porté à un illicite que par le désir de s'enrichir ou par des vues d'ambition, on ne saurait supposer, que la pension de 2000 écus attachée à la place qu'occupait M. le Comte Wodzicki soit cause, qui lui a fait remplir avec la stricte sévérité que l'on a qualifiée de tyrannie la présidence de Cracovie. Jouissant d'une fortune considérable, cette pension était d'une trop petite importance et ne pouvait couvrir les tiers même des dépenses de la maison d'un premier fonctionnaire public. Quant à la propre dignité de Président de la République, quoique fort honorable, elle ne pouvait avoir les attraits susceptibles de satisfaire une ambition démesurée. Ce n'est donc que dans l'idée intime de se rendre utile, qu'il exerçait cette fonction, ne se promettant d'autre récompense dans sa vieillesse, n'en connaissant point de plus glorieuses, que la reconnaissance de ses concitoyens. Ce fut dans ce but et bercé de ces illusions pendant 15 ans, que le Comte Wodzicki supporté patiemment le fardeau de sa charge, qui a compromis sa santé et ses intérêts personnels; mais cruellement déçu de ses espérances; l'attentat les plus affreux, commis par les jeunes gens dirigés par un pouvoir qui s'enveloppe de mystère, a été la récompense de ses longs services. Il n'est certainement aucune des personnes, qui ont connu le Comte dans son intimité et dans sa vie publique, qui ne soit indignée de l'épithète de monstre de l'espèce humaine, qui a lui été donnée par les journaux. Quel est l'habitant de ce pays qui ne se trouvait pas sous l'influence de ces vils calomnieux, ne l'a pas toujours vu modeste dans ses mœurs, affable dans ses manières, excellent père de famille, toujours prêt à offrir des secours à ses concitoyens, et ne le considère comme un homme d'un caractère sans tache, digne de l'estime générale? Mais ces derniers événemens et tant d'imputations calomnieuses, dont les journaux ne rougissent point d'être l'organe, font assez connaître qu'il a des ennemis implacables; mais qui n'a point les siens? Nul sans doute, même le plus sage, n'est à l'abri de l'envie et de la calomnie, que ceux du moins, qu'aucune juste crainte ne retient, dont le bonheur est de chercher à flétrir dans l'opinion publique l'objet de leur haine, sachent que le langage de

la prévention et de la vengeance, peut bien fasciner quelquefois les yeux d'une multitude passionnée, mais que ce n'est qu'avec des preuves irrécusables, qu'il est possible de justifier une accusation aux yeux des honnêtes gens.

Cracovie, 7 fevrier 1831.

J. Mieroszewski.

Protest powyższy p. Jacka Mieroszewskiego przytoczyliśmy, aczkolwiek obszerny, w całej jego rozciągłości, gdyż napisany sumiennie i dokładnie, charakteryzuje wiernie działalność, wskazuje atrybucye władzy prezesa i daje wierny obraz wypadków i osób, zgodnie z naszym przedstawieniem rzeczy. Po skończeniu wojny w r. 1831, powrócił Stanisław hr. Wodzicki z Warszawy, gdzie zajmował krzesło senatora-wojewody, a w czasach może najkrytyczniejszych był po Zamoy-skim prezesem senatu, do Niedźwiedzia w październiku r. 1831, otrzymawszy amnestyą w listopadzie tegoż roku. Łatwo sobie wyobrazić, jaka gorycz i rozczarowanie opanowały ten umysł szlachetny, kiedy widział, jak nadzieje kraju, obok własnej długoletniej pracy, zwały się w gruzy... Cofnąwszy się zupełnie w zacisze życia wiejskiego, szukał pociechy na łonie rodziny, w naukach, którym się od młodości poświęcał, a najwięcej w ulubioném sobie ogrodnictwie,—a chociaż złamany na siłach i w tak późnym wieku, zachował przecież trzeźwy umysł i z niesłychaną w tym wieku pilnością oddał się pracom literackim. Z tego to czasu powstało dzieło obszerne p. t.: „O hodowaniu roślin i kwiatów,” wydane w Krakowie w sześciu tomach; z tego czasu datuje się „Dziennik ogrodniczy,” który, jak na pismo specjalne, w porze dla literatury ojczystej bardzo nieprzychylniej, wielkiem się wtenczas cieszyło uznaniem.

W Krakowie tymczasem poczęły się powoli uspokajać namiętności, „królowa-opinia” poczęła się zmieniać, stronnictwo przewrotu, narobiwszy nieszczęść, snuło dalej ambitne projekta, ale w tajemnicy, która w piętnaście lat dopiero później miała wyjść na światło, by znowu skąpać nieszczęsną krainę potokami łez i krwi i zasać ją secinami trupów najlepszych synów ojczyzny. W tej chwili stronnictwo przewrotu upokorzone, ale nie zwyciężone bynajmniej, pozbawione władzy, zeszło z widowni, a w miarę im się bardziej pogorszały stosunki w Krakowie, tém więcej przypominały się same przez się cnoty i zasługi Stanisława Wodzickiego. Uznanie jego pożytecznej działalności było powszechne w krainie krakowskiej, a zmanifestowało się najwybitniej jednomyślną uchwałą, jaką powziął sejm na pierwszym po wypadkach w Królestwie posiedzeniu swoim, w dniu 26 sierpnia 1833 r., uchwałą, mocą której postanowiono wybić medal złoty ku czci jego zasług. Wykonanie tego postanowienia przeciągnęło się z niewiadomych nam bliżej powodów jeszcze całe dwa lata; nareszcie 22 listopada 1835 r. nastąpił akt solenny wręczenia wspomnionego medalu do rąk Wodzickiego

Oto co pisze o tój uroczystości „Gazeta Krakowska,” Nr. 268, z dn. 23 listopada 1835 roku:

„W dniu wczorajszym został doręczony JW. Hr. Stanisławowi Wodzickiemu, byłemu prezesowi senatu Rzeczypospolitej krakowskiej, adres wynurzający uczucia ludu krakowskiego, wraz ze złotym medalem, potomności pamięć tych uczuć przekazującym. Jeszcze albowiem w r. 1833 zgromadzenie reprezentantów wolnego miasta Krakowa i jego okręgu, na posiedzeniu swém dnia 26 sierpnia odbytém, postanowiło uczcić obywatelskie zasługi byłego prezesa senatu, JW. Hr. Stanisława Wodzickiego, przez przesłanie mu stosownego adresu i wybitego złotego medalu. Senat rządzący, wypełniając powyższą wolę reprezentacyi krajowej, mając sobie przedstawiony medal złoty, w dopięro co powiedzianym celu wybity, którego wykończenie wcześniéj dla nieprzewidzianych przeszkód nastąpić nie mogło, przesłał takowy w dniu 20 listopada r. b., wraz z adresem izby prawodawczéj, na ręce senatora JW. Miosroszewskiego, wzywając go, aby wspólnie z senatorem JW. Bystrzanowskim, niemniéj z członkami ostatniego zgromadzenia, JKs. Rozwadowskim i JP. Librowskim, którzy do tój deputacyi przez senat rządzący zaproszeni zostali, udał się w dniu 22 b. m. do mieszkania JW. Hr. Stanisława Wodzickiego i przy doręczeniu mu pomienionych dowodów uczuć ludu krakowskiego, zechciał być ich tłómaczem. Jakóż, wywiązując się z wezwania rządzącego senatu, JW. senator Miosroszewski, w towarzystwie wymienionych powyżéj członków deputacyi, doręczył w dniu wczorajszym adres i medal JW. Hr. Wodzickiemu, w te się przy tój okoliczności odzywając słowa: „Izba Reprezentantów W. M. Krakowa pierwszy raz po kilkoletniéj w używaniu swobód konstytucyjnych przerwie zebrana, pomna na gorliwość, z jaką na czele rządu postawiony, około dobra kraju tego pracowałeś, postanowiła jednomyślnie oświadczyć Ci, Dostojny Mężu, imieniem Ludu przez nią wyobrażonego, żywą wdzięczność za to prawdziwie obywatelskie poświęcenie się, którego przez lat kilkanaście codzienne dawałeś dowody. Senat zaś rządzący, wywiązując się z włożonego nań przez izbę prawodawczą obowiązku, dopełnia tój uchwały, a razem podzielając z nią przekonania o oddawanéj tym sposobem sprawiedliwości Twéj cnocie i zasługom, rozkazał nam być tłómaczami tych zgodnych obu najwyższych władz krajowych względem Ciebie uczuciów. W adresie, który Ci dzisiaj złożyć mamy zaszczyt, wyczytasz, Dostojny Mężu, życzenia Reprezentacyi ludu krakowskiego, abyś wyrazy jego raczył przyjąć, jako publiczny dowód szacunku obywateli przywiązanych do prawego rzeczy porządku. Rząd krajowy, oddając Ci przez nas uchwalony w izbie prawodawczéj upominek, pragnie, ażebyś go uważać zechciał jako ośłodę trudów i przykrości, w przewodniczeniu tój władzy przez lat kilkanaście ponoszonych. Od dopełniających zaś tego zaszczytnego postannictwa, racz przyjąć hołd winnego uszanowania wraz z życzeniem, ażeby ten upominek w długie jeszcze lata sprawiał Ci przyjemność, jaką publiczne świadectwo wdzięczności Ludu w szlachetném sercu wzbudzi.

dząc zwykło, a potem przechodząc z rąk do rąk w późne pokolenia, było następcom Twoim zachętą do naśladowania cnót, które Ci go zjednały.”

„JW. hr. Stanisław Wodzicki—powiada dalej gazeta—przyjmując ten dowód uczuć reprezentacyi krajowej z prawdziwie życzliwą wdzięcznością, dziękował deputacyi za wyświadczony sobie zaszczyt i prosił zarazem deputowanych, ażeby chcieli zapewnić senat rządzący i wszystkich obywateli krakowskich, jak wysoko tę drogą dla siebie uczuć obywateli krakowskich pamiętkę, poważać i cenić umie.“

Tyle „Gazeta krakowska,“ my zaś z swojej strony dodać musimy, iż Wodzicki nie przyjął żadnych zagranicznych dekoracyi, jakie mu kilkakrotnie ofiarowano, tę zaś pamiętkę swojego urzędowania w Krakowie cenił najwyżej, bo była nietylko zasłużona ciężką pracą około dobra współziomków i ciężkimi zawodami życia, ale związana z wielką boleścią serca wojewody. Przyjmując życzliwie obywatelski upominek, zapomniał mąż szlachetny wszelkich dawnych uraz, szczęśliwy, że choć późno, starania jego koło dobra kraju, znalazły uznanie, że posiew jego pracy nie rozwiął się marnie, ale zasłużył u ludzi znacznych na dozną wdzięczność. Stanisław hr. Wodzicki żył jeszcze lat ośm po opowiedzianej dopiero uroczystości, oddany naukom i wspomnieniom dobrze dla kraju zasłużonego żywota, a znanym był dom w Niedźwiedziu z otwartą, serdeczną gościnnością dla bliższych i dalszych, którzy tu szukali rady lub poparcia, a których sędziwy wojewoda przyjmował życzliwą i przychylną ręką, gotową zawsze do niesienia pociechy i pomocy. Ogólném otoczony uwielbieniem przyjaciół i rodziny, pod koniec żywota dotknięty jedną z największych dolegliwości w życiu, bo utratą wzroku, znosił cierpliwie wojewoda to ciężkie kalektwo aż do śmierci. „Gazeta krakowska“ z dnia 16 marca 1843 r., nr. 62, doniosła o niej temi słowy: „Dnia 14 marca 1843 r. zszedł z tego świata JW. Stanisław hr. Wodzicki, senator-wojewoda Królestwa Polskiego, kawaler wielkiej wstęgi orderu ś. Stanisława, b. prefekt departamentu krakowskiego za Księstwa Warszawskiego i b. prezes przez przeciąg lat piętnastu Rzpłtęj krakowskiej, członek licznych Towarzystw naukowych; wreszcie autor wielu dzieł szacownych w nauce botanicznej.“

„Życie tego czcigodnego męża, od lat młodzieńczych było poświęcone wyłącznie usługom krajowym i współobywateli swoich, wszędy i we wszystkich zawodach swego kolejach, zostawił po sobie przykład światłego i bezwzględnego zamiłowania dobra ogółu, wytrwałości w dotkliwych przeciwnościach, rzadkich cnót, przymiotów duszy tkliwej, pełnej prostoty, pałającej poświęceniem dla dobra współziomków, których pozyskał ogólną cześć i uwielbienie. Nie mogło to ujęć sprawiedliwemu ocenieniu (!) kraju, któremu tak długo przewodniczył a wdzięczność powszechna wyraziła się jednomyślną uchwałą sejmu r. 1833, wybięciem złotego medalu, który uwiecznił zaszczytnie pamięć jego zasług.“

„Na schyłku dni swoich, oddalony od zgiełku świata, dzielił za-

trudnienia swoje między naukami a ulubionymi plantami, które staraniem jego stanowią w dobrach jego jeden z najznakomitszych zbiorów w Polsce, a przeżywszy pełną lat 79, zakończył czynne i zacne życie swoje, wśród łez i nieukojonego żalu rodziny i licznych jego przyjaciół.“

Na zakończenie powyższego obrazu życia zasłużonego wojewody Stanisława, przedstawiamy czytelnikowi opis uroczystości pogrzebu, zaczerpnięty z współczesnego źródła. Jest on najlepszym odbiciem uczuć żalu, jakie ogólnie wywołała śmierć sędziwego prezesa i dowodem uznania jego zasług publicznych ¹⁾. Otóż ten opis: „Stolica nasza w dniach 15 i 16 b. m., była świadkiem żałobnego obrzędu, który długo pamiętnym i czule wspominanym będzie. Mówimy tu o ostatniej posłudze oddanej zwłokom ś. p. Stanisława hr. Wodzickiego, niegdyś senatora-wojewody Królestwa Polskiego, piętnaście lat urzędującego prezesa senatu Rządzony krakowskiej, kawalera orderu ś. Stanisława I klasy.“

„Opis ten wolny jest od wszelkich uniesień i czechy kadzideł, zazwyczaj rozrzutnym piórem trwonionych dla znakomitych osób; bo prawdziwa godność człowieka, nie tę przechodzić ma drogę do świątyni pamięci — za nią powinny przemawiać czyny. Stanisław hr. Wodzicki zdaje z nich liczbę w tej chwili przed sądem Najwyższego, a Ten z wysokości swych Niebios, zapytuje się serc ludzkich i z odpowiedzi tych świadków, snuje dla niego swe wyroki.“

„Dzień 15 marca tysiącami ludu napełnił do natłoku w tej części miasta, w której ten mąż zakończył dni swoje; na wszystkich twarzach malowała się uroczysta pośepność, wszyscy jedną myślą zwołani, przyszli odprowadzić reszty swojego niegdyś naczelnika na miejsce spoczynku, oddać mu chrześcijańską posługę i ostatnie świadectwo, że był zawsze kochanym, że przemijające burze i wstrząśnienia uleciały, nie będąc w stanie rozproszyć wkorzenionych dla niego uczuć miłości; bo on też kochał ludzi i kochanie to poniósł do grobu ze sobą, i to jest prawdą, nie pochlebstwem — tylko zawistni mogli go nazwać nieprzyjętym; dumni zarzucać mu wyniosłość; próżni wzgardę niższego.“

„Zajdźmy teraz do domu nieboszczyka, który dla biednych i ucieszonych, nigdy nie był zamknięty. Ileż tam tysięcy stóp ludzkich w ciągu trzechdniowej wystawy zwłok jego, wydeptało ślady tych ostatnich odwiedzin? Zobaczmy w jakiej go znaleźli postaci. Oto snem spokojnym uspiętego z wypogodzoną twarzą, na której ustach, zdawał się jeszcze dogorywać uśmiech dobroci, uśmiech zdający się chcieć jeszcze przemówić do żyjących: „Jeżeli masz co do mnie, przebacz mi, bo oto idę przed sąd Boga.“ Zwłoki szanownego starca w sali czarnym kirem wybitęj, otoczone pochodniami, spoczywały wśród kwiatów, które córki obstały zwłoki ukochanego rodzica, zdobiąc je temi dziećmi przyrody, które on za życia tak pielęgnował i pieścił.“

1) „Gazeta krakowska,“ nr. 68, z d. 23 marca 1843 r.

„Okolo godziny 5-ój z wieczora, w mieszkaniu zmarłego, zebrali się rodzina, grono licznych przyjaciół i czcicieli, następnie wszystkie władze krajowe, jako to: senat rządzący, uniwersytet i t. d. Liczny oddział milicyi pieszej i konnej dla asystencyi i porządku zajmował połowę ulicy ś. Jana, zgromadziły się wszystkie zakony, instytuty pobożne i cechy z chorągwiami, słowem, cała ta ulica zapełniła się tłumem pobożnego ludu, równie jak cała część rynku aż do kościoła N. Panny Maryi prowadząca. Natenczas u stopni katafalku, pośród natłoku słuchaczy, tak zaszczytnie znany w literaturze ojczystej Franciszek Wężyk, podniósł głos i przemówił w wyrazach świetnej wymowy i czułości, jako świadek od lat trzydziestu życia wojewody, sąsiad i przyjaciel domu z tém uroczystém oznajmieniem, że ani pamięci zmarłego, ani samemu sobie nie ubliży pochlebstwem: „Gdy dziecko, gdy młodzieniec, gdy mąż w sile wieku umiera, wtedy rozdierają się serca boleścią; lecz gdy wiekiem schylony starzec stanie się ofiarą skonu i po życiu pełném treści a zasług, bez trwogi złoży sędziwą głowę na mary; wtedy powstaje widok wzniosły, godny podziwu i pełen nauki; zwłaszcza, gdy starzec ten zdoła, stanąwszy przed Bogiem, powiedzieć, iż skarb niewinności powierzony mu w dzieciństwie, odnosi zgrzybiałemi rękoma.“ Dalej szanowny mówca, przechodząc życie zmarłego od czasu, „gdy jeszcze młodym będąc, za Stanisława Augusta rozpoczął zawód publiczny, poświęcając się służbie krajowej aż do późnej starości,“ przyrównywa go do dębu „co w ziemi czystej bierze soki i siły żywotne i zato téż ziemię swoją do trzeciego pokolenia konarem i chłodem swym ocienia,“ a pełnym rzewności ustępem kończy, gdy powiada: „iż cofnąwszy się od życia publicznego, okryty siwizną, otoczył się kwiatami i roślinami, wracając na łono natury i czystych jej rozkoszy i dom swój uświetnił cnotą gościnności, téj zalety naddziadów naszych.“

„Zuderzeniem godziny 7 przy ponurym odgłosie dzwonów, po wszystkich kościołach, rozpoczęła się eksportacya ciała, na sześciokonnym karawanie, do bazyliki Panny Maryi ¹⁾. Orszak pogrzebowy po wyruszeniu z miejsca, rozciągał się od domu hr. Wodzickich aż do przysionków tego kościoła. Szli najprzód ubodzy pod opieką Towarzystwa dobroczynności zostający, za nimi postępowali zakonnicy z wszystkich prawie klasztorów; dalej poprzedzając karawan, otoczony z obu stron asystencyą cechów z chorągwiami, przewiązanemi czarną krepą, postępowало duchowieństwo świeckie i prześwietna kapituła krakowska, mająca na czele JW. JX. Łętowskiego, administratora dyecezyi, a milicya piesza formowała po obu stronach szpaler, zakończony szeregiem zamykającym resztę orszaku idącego za karawanem, który składały: cała rodzina i przyjaciele nieboszczyka, tudzież wyżej wspomniane władze krajowe i uniwersytet. Żałobne śpiewy, przerywane

¹⁾ W dniu tym z polecenia rządu nie było widowiska w teatrze. Patrz „Gaz. Krak.“

harmonią muzyczną; do tysiąca świeateł, rzucających dokoła posępną łunę pogrzebową, powiększały żalosną uroczystość tego wzniesłego obrzędu a tłumy ludu, pomimo dokuczającej zawiei deszczem i śniegiem oczy zasypującej, cisnęły się ze wszystkich stron, aby mogły być uczestnikami rozstania się nazawsze krakowian ze swoim dawnym naczelnikiem.

Za wnijsciem całego orszaku i wniesieniem trumny do kościoła Panny Maryi, świątynia zdawała się być cała w płomieniach od gorzących świeateł i kagańców, a śpiew żałobny kapłanów, odbijający się o jej sklepienie, połączony ze łzami dzieci, krewnych i przyjaciół zmarłego, dopełnił reszty żałobnego obchodu.

Nazajutrz wielkie żałobne nabożeństwo, przepełniło przybytek Pański od rana aż do pierwszej z południ natłokiem pobożnej publiczności. Wymowny głos znanego kaznodziici, JX. Górnickiego, umiał trafić do serc wszystkich słuchaczy i wzbudzić w nich czułe wspomnienie piękných przymiotów duszy nieboszczyka i udzielić słowo pociechy nieutulonym w żalu, osieroconej matzonce, synom i córkom jego. Wczoraj zwłoki nieboszczyka złożone tymczasowo w kaplicy kościoła Panny Maryi, odprowadzone zostały do grobu familijnego w kościele niedźwiedzkim, w Królestwie Polskim.“ W katedrze na Wawelu, w lewój nawie od wejścia, umieszczono wizerunek ś. p. Wodzickiego wraz ze skromną tablicą z czarnego marmuru, przypominającą tego szlachetnego i wielce zasłużonego obywatela.

* * Drukując powyższy obraz biograficzny prezesa Rzeczypospolitej krakowskiej, osnuty na szerszém tle ówczesnych stosunków miejscowych, nie myśleliśmy o uświetnieniu zasług publicznych niepospolitego męża stanu, bo zasługi te nie podlegają już dzisiaj wątpliwości; nie pobudzało nas téż do tego uczucie sentymentalne rozpańiętywania owych smutnych chwil samorządu republiki krakowskiej, ponieważ nie znajdujemy się jeszcze na stanowisku, z którego mędrzec rzymski mógł głosić zasadę: *jucundissima recordatio praeteritorum malorum*; ale chcieliśmy przez dokładniejsze przedstawienie szczegółów, objaśnionych dokumentami autentycznymi, wyświetlić niektóre faktyczne kwestye, mogące się jeszcze dla dzisiejszego pokolenia wydawać spornemi. O ile rozprawa p. Kępieńskiego osiągnęła cel zamierzony wyświetlenia prawdy — *lucem veritatis*, — mogą ocenić bezstronnie ludzie z owój niedalekiej epoki, którzy byli świadkami ówczesnych wypadków.

Oprócz tego względu historycznego, nastęrcza sumienne studyum p. Kępieńskiego o St. hr. Wodzickim następującą ogólniejszą uwagę:

Patrząc na kilkunastoletnią zaciekość — powiedzielibyśmy nieomal zawziętość na własną zgubę krótkowidzących polityków ówczesnej republiki, podżeganych prózną ambicyą i urojonemi pretensyami, niemniej nizkimi po większój części namiętnościami intrygi miejscowej; a mając wreszcie w końcu przed oczyma hołd prawie majestatyczny

dla zmarłego wojewody w chwili obrzędu pogrzebowego, napróżno szukamy przyczyn i faktów, któreby spowodować i usprawiedliwić mogły takie uwielbienie dla martwych zwłok męża, obarczanego za życia najcięższymi zarzutami samowoli, ambicyi osobistój, a nawet knowanej podstępnie zdrady interesów narodowych. Pytamy się tedy wątpliwi: jakież to okoliczności, jakież późniejsze zasługi wojewody sprawiły tak ogromną różnicę poglądów u tych samych — nie dawno jeszcze tak wrogo względem urzędującego prezesa usposobionych ludzi?

Zdumieni majestatem pogrzebu St. hr. Wodzickiego pytamy się, czybyśmy tylko zdolni być mieli do czci dla mężów w zagrodzie prywatnej, w zaścianku, a nie potrafili ich znosić na stanowisku wyższém, publiczném? Czyby w organizmie społeczeństwa polskiego miała być nagromadzoną taka nadmierna ilość zapachu czci i uwielbienia obok równie nadmiernej ilości energii inkwizytorskiej i za wiści, że ten zbyteczny nadmiar wezbranych prądów temperamentu naszego musi bezwiednie — bądź co bądź wylać się koniecznie na zewnątrz przy lada nadarzonej sposobności? Czy społeczeństwo nasze miałoby odznaczać się zmysłami tak wadliwie nastrojonemi, że tylko zapach kadzidła pogrzebowego zdoła działać tak ottrzeźwiająco, tak po ludzku na całą umysłowość naszą?

Liczne przykłady tego dziwaczego, nie wytłomaczonego zjawiska w dawniejszych, nowszych i najnowszych dziejach naszych, zdawałyby się niemal przemawiać za temi upokarzającemi hipotezami!

Przyczyny zaś tego chorobliwego nastroju umysłów, szukalibyśmy w odziedziczonych wadach narodowych, które mniej więcej cechują wszystkie stronnictwa nasze, o ile w dzisiejszych warunkach o jasnej chorągwi stronnictwa mowa być może; ale najjaskrawiej występują w obozie, który liberalnym się zowie. Tutaj odzywa się jak najpotężniej niewykorzeniona skłonność do oderwanej doktrynerskiej kontemplacji, której brakuje szerszych poglądów, a natomiast przeważa w niej jednostronna pedanterya, zapominająca dla rzeczy drobiazgowych nietylko o zadaniach ogólnych, ale nawet i o tém, co w danej chwili jest koniecznym. Z tą skłonnością, dedukcyjną w naturze a indukcyjną tylko w pozorach, łączy się druga, bardzo szkodliwa, bo ponętna i nader zaraźliwa, mianowicie: skłonność nietylko kwestyonowania, ale lekceważenia tego, co dobre i już osiągnięte dla mniemanego i spodziewanego, choćby bez żadnych danych, czegoś lepszego, często nawet wcale nie określonego. Miarą dojrzałości obywatelskiej może tylko być poczucie obowiązków względem wszystkich warstw, względem wszystkich składników organizmu narodowego, które nie rozpraszać i kłócić, ale kojarzyć i skupiać powinny wszystkie swoje siły, aby zachować i rozwinąć swoją indywidualność społeczną. Dla tego potępić należy jaknajgłośniej każde stronnictwo, które szuka jedynej dźwigni i siły swojej w rozbudzaniu niechęci elementarnych, niedojrzałych warstw narodu przeciwko pracy poważnej, przezornej

ludzi dobrej woli dla tego tylko, że w szeregach tych rzekomych konserwatystów, znajdują się w znacznym zastępie reprezentanci warstw wyższej sfery życia towarzyskiego. Taka parafiańszczyzna pseudodemokratyczna obok urojonej doktryny abstrakcyjnej, prowadzi do pedantyzmu, który dla pierwszego lepszego wzoru zagranicznego, jaki sobie wytworzono, żąda, ażeby każda warstwa społeczna była jedynie podrzędnym narzędziem nie powiem woli i życzeń narodowych, lecz chwilowych prądów namiętności, staré i sporów prywatnych, arogancyi i pychy osobistój. Zamiast tedy szukać zachęty i dźwigni do pracy publicznej w miłości, w niekłamanej poczuciu obowiązków obywatelskich, uciekamy się, naśladowując jeszcze i dziś najgrzeszniejszych rokoszan historycznych, do podmuchiwania jeśli nie otwartej nienawiści, to przynajmniej podstępnie ukrywanej zawiści, tak, że każdą sprawę publiczną strącamy na stanowisko intrygi prywatnej!

Wobec takiego położenia rzeczy, należałoby dołożyć najusilniejszej pracy, aby się jaknajprędzej podźwignąć z tak chorobliwej sytuacji przez gruntowniejsze wychowanie młodszych pokoleń i przez wszechstronniejszą naukę dziejów powszechnych i ojczystych, dawnych i najnowszych czasów, bo tylko za pomocą głębszych sumiennych studyów, można osiągnąć w danej chwili trzeźwiejszy pogląd na ogół interesów narodowych, niemniej i na wartość charakteru pojedynczych ludzi. Sąd sprawiedliwy o ludziach publicznych, sąd o mężach stanu nie zamącony żadną postronną, próżną ambycją samolubstwa lub niskiej intrygi, można sobie uformować tylko na gruncie oczyszczonym z chwastów nieuctwa i maluczkiej, rokoszowej pychy. Względ na ideę sprawiedliwości niemniej i na interesa dobra ogólnego nie pozwala podcinać lekkomyślnie dźwigającą się zaledwie powagi obywatelskiej, występującej w sprawach publicznych,—nie pozwala rzucać kamieniem potępienia na mężów, podejmujących dzieło ważne czy to na polu nauk i literatury, czy téż na polu ogólnych interesów społecznych dopóty, dopóki nie zbadamy gruntownie i wszechstronnie zadania i interesów danej chwili bez rekryminacji przeszłości, równie jak i bez niepomiarkowanych illuzji co do przyszłości!

Nie możemy w tem miejscu pominąć milczeniem znaczenia prasy, której pan Kępieński zarzuca w epoce Rzeczypospolitej krakowskiej agitacją lekkomyślną, podkopującą powagę i znaczenie najwyższego w owej Rzpltej urzędnika.

Zadanie niemniej i odpowiedzialność moralna prasy, zwłaszcza codzienniej, jest wśród namiętnego krzyżowania się pojęć—religijnych i naukowych, społecznych i politycznych danej chwili bardzo wielka a wpływ jej wymownego głosu na masy ogromny. Obowiązek obywatelski wznosi ją wśród takiego położenia rzeczy do godności namaszczenia prawie kapłańskiego, które nie miota lekkomyślnie gromami potępienia dla podżegania lub dla zaspakajania ślepych instynktów gromadnych tłumów. Schlebianie lekkomyślnie chwilowym prądom

pochłaniających się namiętności danej chwili, równie jak zamykanie oczu na nietajone powszednie wybryki ambicyi lub zawiści osobistej, potakiwanie urojonym pretensjom samozwańczych wielkości, staje się w takich razach zbrodnią nie tylko osłabiającą, ale targającą łańcuch organicznego rozwoju dobra publicznego. Na polu poważnej obywatelskiej publicystyki nie ma miejsca dla zacieklej inkwizytorów, powołujących przed trybunał namiętności chwili tych, co z urzędu lub stanowiska obywatelskiego podejmują interesa dobra publicznego;—nie ma tu miejsca dla sędziów, pohopnych do miotania wyroków nieusprawiedliwionych a stanowczych, nieodwołalnych przeciwko mężom pracą publiczną właśnie dopiero zatrudnionych, bez zbadania gruntownego wszystkich momentów spraw publicznych, bez zgłębienia ich związku z konstelacją interesów ogólnych nie tylko państwowych w ciaśniejszych granicach, ale i europejskich, ogólnie cywilizacyjnych. Potępiając bowiem, lub wielbiąc bez tej przezorności bohaterów chwili i to właśnie wtedy, gdy do najtrudniejszych dzieł dopiero przystępują, narażamy się na słuszny zarzut lekkomyślności, naśladującej młodzieniaszków niedoświadczonych, którzy dla zabawy otaczają byle bałwan aureolą światła sztucznego, albo też obrzucają pociskami błota każdą zaledwo rozwijającą się chorągiew! Narodowi szczytającemu się kilkowiekową cywilizacją, narodowi mającemu doświadczenie bogatych dziejów własnych, nie przystoi taka igraszka z ludźmi pracy publicznej,—nie przystoi taka igraszka z najświętszymi interesami ogółu! Trzeźwy pogląd na świat i życie ocenia sprawiedliwie wszystkie momenta pracy obywatelskiej i nakazuje składać przy zgonie wdzięczne hołdy tylko tym, co silni poparciem rozumnego ogółu podczas swojej działalności publicznej, cieszyli się i za życia szacunkiem powszechnym.

W epoce Stanisława hr. Wodzickiego, prezesa Rzeczypospolitej krakowskiej, nie znajdowało się jeszcze społeczeństwo polskie na takim stanowisku pojęć obywatelskich. Czy dzisiaj, przy realniejszym napozór kierunku myślenia, otrząsnęliśmy się dostatecznie z owej nader szkodliwej wady, na to niechaj odpowiedzą okoliczności, wiążące się z przygodami życia i z uroczystością pogrzebu zmarłego roku zeszłego Józefa Szujskiego.* *

J. K. Plebański.

PIORUNY KSIĘCIA WOJEWODY.

Z OPOWIADAŃ SZAMBELANA.

PRZEZ

Kajetana Kraśzewskiego.

Pani Jadwidze z Benisławskich

BARONOWEJ MANTEUFFEL-SZOEGE

W DOWÓD SZACUNKU

PRZESYŁA

Autor.

I.

Eripuit coelo fulmen...
(*Z nagrobku Franklina*).

Opiekun mój JMĆ Bartłomiej Niepokojczycki, starosta stucki, oddał mnie był naprzód do szkoły naszej miejscowej księży Jezuitów, gdzie ja wszelako rok tylko na „Gramatyce” bywszy, przeniesiony zostałem przez tegoż opiekuna i dobrodzieja mojego do szkół w Nieświeżu; a to z téj racy, że mi się srodze bił w palcaty, w czym mi nie

lada kto sprostał. Uznał więc JmPan starosta we mnie pewną do wojskowego stanu inklinacją, a że w Nieświeżu założył był właśnie JO. ks. Karol Radziwiłł, od przysłowia: „panie kochanku” zwany, wojewoda wileński, szkołę kadetów, w której regularnie trzydziestu uczniów z okolicznej młodzieży swoim utrzymywał sumptem, tam więc, jako dla innych, otwierała się i dla mnie do krescytywy najpewniejsza droga.

W Nieświeżu przeto i szkoły całe przeszedłszy i pierwsze, za manudukcją JmPana Devila alias De Ville, komendanta fortecy Nieświeskiej, na Marsowej drodze stawiając kroki, przebyłem z górą lat dziesięć ¹⁾.

O JW. wojewodzie nie mało ten i ów pisał, ile, że pan to był humoru osobliwego i potentat nie zwykłej miary, a u nas na Litwie bez mała nie król; że nie powiem, iż w istocie więcej, w tej tu stronie, znaczyl od samego monarchy przez tysiączne i niewyczerpane dobrodziejstwa, przez hojność, dary i zapomogi, które wkoło siebie sypał, oraz przez fundacye różne, wojska, fabryki i szkoły wolą jego i kosztem dla powszechnego dobra założone i utrzymywane. Ale ci, co pisali i mówili o nim, podawali to tylko, co się w księciu jawném okazywało, co widział każdy, jakim on chciał lub „potrzebował” okazywać się ludziom; rzetelnie wszelako kryła się w nim strona inna, ledwie kilku tylko osobom, gruntownym politykom i najbliżej zaufanym znana. Takimi byli hetman Klemens Branicki, Michał i Tadeusz Rejtanowie (koledzy od lat dziecińczy księcia, jednym duchem z nim ożywieni) i kilku może jeszcze wybranych ²⁾, dalsi jednak, najserdeczniejsi nawet przyjaciele, ale już lżejszego umysłu, jako naprzykład JmP. Leon Borowski, komornik słonimski i wielu innych do tajemnic księcia nie byli wcale przypuszczeni. W życiu wojewody przez grubą, znaną wszystkim powierzchnią, przebija nieraz dziwnie ów blask tajemnej strony charakteru i działań jego; ztąd te osobliwsze sprzeczności, ztąd tak rozmaite a niezgodne z sobą, podawane o nim relacye. Te wszystkie jednak napozór tak sprzeczne barwy, z odkryciem owiej grubej z umysłu i z potrzeby przez samego księcia narzucanej zasłony, zlewają się w jeden blask objaśniający wszystkie kroki, wszystkie „przyjaźni i nienawiści” jego, i oblewają jasnym światłem postać wojewody, który nieugięty i niezłamany, jako i obaj bracia jego ducha, Rejtanowie, całe życie i mienie do ostatniej chwili poświęcił jednój myśli tylko, służenia ojczyźnie.

¹⁾ Osoby, miejsca i wypadki w niniejszém opowiadaniu, podane są ściśle prawdziwe.

Przypisek autora.

²⁾ Ciekawe te i nieznanne szczegóły i wiadomości o księciu, podaje jeden z zaufanych hetmana Kl. Branickiego dworzan, który w misjach dyplomatycznych wysyłany wielokroć do Nieświeża, pomiędzy r. 1763—1786, bawił tam po kilka tygodni—(notaty rękopiśmienne współczesne) z archiwum w Romanowie.

Przyp. autora.

Matka księcia, Wiśniowiecka, z wielkiego rozumu i nauki nawet znana, chciała dać synowi wychowanie świetne, ile, że i zdolności w nim okazywały się niepospolite; ale przy tych zaletach jego, charakter bujny a twardy, z ciężkością do pracy nałamywać się dawał. Korzystał więc z nauk nie wiele; nie tak mało jednak, jak niektórzy niechętni z umysłu podają. Po łacinie bowiem umiał tyle co każdy inny szlachcic z tego czasu ¹⁾, po francuzku i niemiecku nie mówił nigdy, mając wstępną nieprzełamany do wszelkiej obczyzny, że znał jednak te języki „nie zbitym dowodem” są własnoręczne listy jego, w młodości do rodziców pisane, znajdujące się dotąd w archiwum Nieświeskiem ²⁾. Książę usamowolniony wcześniej, otoczony a podszczuwany przez szalejącą młodzież, wartogłową i zawadyaków, puścił się zrazu na życie hulaszce, liczne nawet popełniając bezprawia, z których sownie nieraz wykupywać się musiał.

Ciągnęło się to aż do sejmu konwokacyjnego w r. 1764, gdzie książę pierwszy raz w ważniejszej politycznej występuje roli. Od téj chwili zmienia się już tryb jego życia, przekonania polityczne zaczynają się w nim wyrabiać, ale jeszcze chwiejne i nie dość pewne. Pierwsze tułactwo daje mu niejaki wskazówki. Po powrocie do kraju w r. 1766 w najlepszej wierze przyjmuje dostojęństwo marszałka pamiętnéj konfederacyi radomskiej 1767 r. Rychło wszelako spostrzeżę jak został zdradzonym i jaką narzucono mu rolę; tu otwierają się oczy księciu, a obrażony w najdroższych uczuciach, jak był twardego a nieczłonnego umysłu, przedsiębierze walkę, którą już prowadzi przez całe życie, w jedynym celu uwolnienia kraju od wpływów zewnętrznych. Podtrzymując konfederacyę barską całemi siłami, stosunkami i funduszami, jakimi mógł rozporządzać, tuła się po obcych krajach przez lat dziewięć, kolosalne ponosi ofiary, nie dostając od rodziny ani złamanego halerza, wspomagany tylko przez wiernych sług i przyjaciół. Powraca wreszcie, zwyciężony... ale nieugięty ³⁾; całą usilność teraz, pracę i dochody łoży na pomnożenie siły zbrojnéj; zakłada szkołę artyleryi i całą szlachtę litewską pod pozorem polowania, nieustannie prawie trzyma w polu i na koniu. W takich niby zabawach księcia, towarzyszyło mu zwykle 600—800 szlachty konno i zbrojno, zmieniając się kolejno, tak, że w istocie rzeczy było to na każde zawołanie gotowém pospolitém ruszeniem.

Nie mogło to nie zwracać uwagi tych, co w kraju rządzili. Rze-

1) Modlitwy wszelkie w tym języku z agendki albo z pamięci zawsze odprawiał.

2) Kotłubaj. Galerya.

3) Dobra Białoruskie po pierwszym rozbiore zabrano księciu w oddalonych prowincjach, chciano mu zwrócić za pewne ustępstwa, ale propozycyę tę odrzucił. Dobra Białoruskie księcia składały się z trzech całych powiatów i dwóch miast Nowel i Siebież w województwie Połockiem.

czą więc jest pewną, że księcia ciągle trzymano na oku; każdy krok, każde słowo jego wiadome były tym, którym niezłomna wytrwałość jego stała na zawadzie. Książę też wiedząc, że jest nieustannie śledzonym od chwili powrotu do kraju w r. 1778, jawnie i rozgłośnie zdaje się usuwać od polityki; bawi się tylko niby i poluje. „Od tej daty, ani dzień pierwój,” zaczynają się jego sławne owe dykteryjki, baśni i kłamliwe opowiadania, zawsze i nieodmiennie gdy jest w licznym otoczeniu i jakoby na otwartej scenie—ale wtenczas tylko. Między czterema pewnymi ścianami i w cztery oczy z najbardziej zaufanymi, książę był zgoła innym nie do poznania człowiekiem; smutny nawet i zamyślony często, zajęty był jedną myślą tylko, która całe życie jego pochłoneła.

Takim był istotnie książę wojewoda wileński; powszechność tych tajemnic nie znała, ale pewnym jakoby przecuciem wiedziona, widząc przytém co czynił, otaczała go poważaniem i miłością, na jaką nie zasłużyłby nigdy, biorąc jedynie w rachubę wybryki jego lat młodzieńczych.

Nie dziw więc, że na Litwie oczy wszystkich były głównie na osobę księcia zwrócone, że pamięć o nim przetrwała wiek cały i długo jeszcze nie zginie; jako nie dziwić się też, że i ja wspomnienia moje z owych czasów, pomimo innych tyle sławnych autorów, odżywić pragnę; bo kto znał Nieśwież za księcia, jako ja, com tam nie mały czas strawił, ten już go nie zapomni i do samej śmierci, a na całe życie będzie miał dość materji i wątku do opowiadania.

Owóż, jakom rzekł wyżej, siła pisano o księciu; luźne wszelako narady o nim samym, dają tylko cień osoby, na podobieństwo owych nowomodnych, tak zwanych sylwetek, które nasz pan profesor Moranti, z czarnego papieru zgrabnie nożyczkami wycinał. Aby zaś mieć pojęcie czém i kim był wojewoda w istocie, trzeba go widzieć we własnym jego otoczeniu, wśród ludzi, porządków i obyczaju całego ówczesnego nieświeskiego dworu.

Było natenczas u nas niemało domów magnackich i wielkich i znacznych; jako to: Sapienhów, Potockich, Czartoryskich, Branickiego hetmana, królewskiego szwagra w Białymstoku, ba, i sam dwór królewski; ale nie wiem, zali z nich który mógłby z radziwiłowskim stanąć w paragonie. Chyba jeden hetmański, lubo dużo mniej liczny, całe jednak piękny, ile, że kształtował się na zagraniczny francuski modelusz; hetman zaś, jako *supremus dux*, miał przy swoim boku i rycerstwa niemało. Dwór królewski rzecz wiadoma, dość obsadny i jak przystało wspaniały, ale pomieszczony w mieście, nie znaczny był wśród mnogiej ludności, gdy radziwiłowski sam sobą stał—a rościł się w nim jak w mrowisku. Więc kiedy hetman miał swoje chorągwie, miał je też i książę, a bodaj czy nie sowiciej obsadzone. Samej piechoty było pięć kompanii po sto pięćdziesiąt ludzi; milicya nieświeska, takąż słucka, pod dowództwem majora Pepiniego, węgry; cztery bataliony strzelców pod Drużyłowskim majorem; złota chorąg-

giew ułańska, którą dowodził rotmistrz Jankowski, nuż kozacy pod Kamińskim, dragony i artylerya. Komendantem zamku w Nieświeżu był JMPan Devil, sas rodem, najwierniejszy sługa księcia a pod nim dowódców dwóch braci, JMPanów Farcinelli de Larzac, francuzów ¹⁾, ludzi gładkich, wesołych i urodziwych, którzy u białychgłów niemającym cieszyli się powodzeniem. Artyleryą dowodził także francuz Dufort, człek już nie pierwszej młodości, bystry, wielkiej fantazyi, a w rzemiośle swém wyćwiczony i biegły jak mało; ale miał jedną wagę, że za kołnierz wylewać nie lubił. Nieraz téż i na lekcye w naszym korpusie kadetów przychodził pod dobrą datą; miał wszelako głowę i pamięć tak wyśmienitą, że gdy był podchmielony, jeszcze się bardziej zapalał i mówił jak z książki, tylko go słuchać było a chwycić wyrazy, bo mu gęba żywo jak kołowrotek latała. W naszej téż szkole uczył jeszcze Belmont, a Moranti rysunków.

Całe to wojsko swoje i artyleryą i kadetów oddał JW. wojewoda później Rzeczypospolitej na usługi, a pomimo ogromnych kosztów na to wszystko łożonych, nietylko nie uchylał się od owego dziesiątego grosza na sejmie uchwalonego, ale pilnował owszem najmocniej, aby ów, niepraktykowany dotąd podatek, ściśle i rzetelnie ze wszystkich dóbr jego został obliczony i do skarbu Rzeczypospolitej w regularnych ratach wnoszony.

Na dworze nieświeskim, bądź w zamku samym, bądź w mieście, bawiło zawsze wiele osób z rodziny księcia, którą on ugaszczał ciągle i serdecznie kochał, a przyjaciół, domowników, dworzan i służby wszelakiej moc była niezmierna; tychby i wyliczyć niepodobna prawie. Dodać tu jeszcze należy i gości, których każdego dnia przyjeżdżało osób kilkanaście, w znaczniejsze zaś festyny, po sto, dwieście i więcej, jak się zdarzyło. Na obiad, który musiał być zawsze punktualnie na godzinę pierwszą podany, nigdy niewiadomo było ile osób przybędzie, a kuchmistrz Turzyński, co go książę, a za nim i inni żartobliwie Cajetanem zwali, nie mało miał z tém kłopotu. Obfitość jednak była zawsze taka, że znaczna część jadła ze stołu na niższą służbę schodziła i to już było na miejscu umówioném i wiadomym powszechnie zwyczajem, że każdy brał na talerz dwa razy tyle niż mógł zjeść, aby hajducy i służba nakarmili się téż dosyta. Talerze, półmiski, wazy i wszelka stołowa zastawa, okrom szkła, była zawsze srebrna. Gdy pewnego razu JMP. Ignacy Rulikowski, podczaszyc bełzki, przybył do Nieświeża, przed samą barską konfederacją, z tajemnym od wojewody krakowskiego Wacława Rzewuskiego poselstwem, spytał go przy obiedzie książę:

— Powiedzże mi wacpan, panie kochanku, na czém tam u wojewody jadacie?

¹⁾ Syn jednego z nich w połowie bieżącego stulecia mieszkał w majątku Zahorze (gub. Grodzieńska, pow. Prużański) zupełnie spolaczały, tysiące opowiadał szczegółów o Nieświeżu.

— Na porcelanie—odrzekł zapytany.

— Oho! — ozwał się książę, pokręcając głową — porcelana, to magnacka rzecz!

Tu, gdy skończył właśnie jeść, oddając talerz hajdukowi, upuścił go niby przypadkiem na ziemię.

— No, widzisz wacpan, upadł i cały; ja, panie kochanku, zaubogi jestem, żebym mógł na glinianych farfurkach jadać!

Książę Hieronim, przyrodni brat wojewody, mieszkał również w Nieświeżu, w mieście, gdzie pałac zajmował; służby utrzymywał niewiele a Niemców najwięcej, ile że młoda księżna była niemką Tour et Taxis ¹⁾ z domu. Był tam w służbie jakiś murzyn, Ali nazywany, na dziwowisko dla ludzi, przed którym nieraz chłopci, żegnając się, uciekali; ten się później ożenił z córką jednej wdowy, mieszczanki z Nieświeża, a JMPan Borowski, co im dziecko do chrztu trzymał asekurował, że się urodziło „karosrokatę.“

Siostra księcia wojewody, generałowa Morawska, chociaż wraz z mężem miała niby rezydencją swoją w Zauszu, prawie ciągle wszelako przebywała w zamku z liczną asystencją rezydentek, pańien dworskich i respektowych, nad którymi stara JMPani Wichertowa przełożęństwo trzymała. Ale od strzał Kupidyna żadna pono egida białych-głów zasłonić nie może, ani argusowe oczy do strzeżenia ich na nic się nie przydadzą. Dla tego żaden miesiąc nie minął, żeby się jakieś na zamku nie odprawiało wesele, ile że sam książę swatać, obdarzać nowożeńców i z tej racji sute wyprawiać festyny nadewszystko lubił. Jedne więc szły zamąż, gdy inne na ich miejsce razwraz przybywały, a dwór zawsze był pełny i gwarno jak w ulu.

Druga siostra wojewody, Rzewuska, chorążyna W. Ks. Lit. rozłączywszy się z mężem, żyła w ciszy klasztornej u Benedyktynek nieświeskich; tam ją niekiedy książę odwiedzał, ona wszelako w zamku nie bywała nigdy. Córki jej JMPani Platerowa, kasztelanica trocka z Rudawki i JMPani Rdułtowska, chorążyna nowogrodzka ze Snowia, jako też JMPani Łopotowa, obożnina W. Ks. Lit. i Worcellowa, córki generałowej Morawskiej, oraz trzecia siostra księcia Ferzenowa, primo voto Brzostowska, wojewodzina infancka, często, mało nie ciągle na dworze księcia przesiadywały i uczestniczyły we wszystkich, tak w Nieświeżu jako i w Albie wyprawianych zabawach.

Na zamku kapela z sześćdziesięciu muzykantów złożona, grała dzień w dzień, do obiadu i do wieczery, w teatrze i na asamblach wieczornych, nigdy czasu do próżnowania nie mając; kapelmajstrów było czterech: Holand, Narkiewicz, Cipriani i Caselli, w teatrze zaś, oprócz aktorów, trzymał książę dwudziestu chłopców i dwadzieścia

¹⁾ Nazwisko księżnej piszą jedni Turn i Taxis, inni Tours et Axis, jedno i drugie mylnie, pisać należy jak podajemy Tour et Taxis (Alm. de Got.)—Główna rezydencja ks. Hier. była w Białej Podlaskiej.

dziewcząt do baletu, którym przewodniczył włoch, baletmistrz Petinetti ¹⁾; ten, choć był dość korpulentny i mięszszy, w tańcu ledwie że nie po powietrzu latał i jak puch lekki się zdawał. Ztąd też jeden ze starszych kucharzy księcia, Światłowski czy Rubkiewicz niepomnę, który w ciastach celował, gdy wymyślił jakąś babę wielkanocną nadzwyczaj subtelną, dziurkowaną a lekką, nazwał ją babką petinetową, i za ten sekret od naszych pań gospodyń nabrał dukatów nie mało; znaną też jest ona podziś dzień na Litwie pod tém samém nazwiskiem. W balecie nie brakło wiece urodziwych, foremnych i na podziw zgrabnych tancerek, a jedna z najlepszych i najpierwszych Saplikiewiczówna, o której niżej się powie.

Koni jezdnych, cugów poszóstnych i poczwórnych, pod landary, karety, furgony i szarabany, pod siodła i juki, czyli do ciągłego na stajniach użytku, stało z górą trzysta, krom mułów kilkudziesięciu i kilkunastu wielbłądów; koniuszym zaś był JmPan Józef Kamiński, którego powszechnie „charkajem“ zwano; że miał głos ochryply, jakoby mu zawsze w gardle coś się gotowało.

Z dworzan księcia dawnych, niby emerytów a rezydentów przedniejsi byli: kniaź Mirski, kawaler stary, romansowy, na gitarze grywał, przyspiewując teksty i piosnki różne, których umiał bez liku, polskich, zmużdskich, białoruskich, najczęściej gdy był nieco podchmielony; zawsze jednak dobroduszny i słodki, w drogę ludziom nie włożył i zwykle na uboczu się trzymał; Paszkowski i Romanowski niegdys pierwszej ręki rębacze; Kamiński Jan, brat koniuszego Charkajły; Eydziatowicz, podczaszyc smoleński, słuszny; chudy i zawiędły, zapalony myśliwiec, z pistoletów o zakład wystrzeliwał tuzy i kralki; narzecie zaś ów Chocianowski, prawdziwie osobliwszy twór ludzki: statury średniej, dość gruby w sobie, plecy miał nad wszelką miarę rozrostę, ręce i nogi haniebnie wielkie a szerokie, głowę ogromną o potężnym nosie i wąsy mało nie do pasa. Miał być nadzwyczajnej siły, jak powiadano, i mógł pić ile kto wlał, bez żadnej zmiany humoru i temperamentu, a choć więcej do jakiegoś hippopotama niż do człowieka podobny, że matki nim dzieci straszyły w całej okolicy, łagodny był jak baranek, wesoły, uczynny a poczciwy wiece; wszyscy, że był tak szpetnym, żartowali zeń często, a on śmiał się wraz z innymi, lubiony też był od całego dworu. Pochodził pono z Kowieńskiego, bez rodziny, sam jeden na świecie, do księcia tak się przywiązał, że byłby się dał za niego na kapustę posiakać. Opowiadano, iż razu pewnego gdy spostrzegł go król Jegomość na ulicy w Warszawie, jadącemu przy karecie paziowi, JmPanu Janowi Szlubowskiemu, kazał zapytać, ktoby to był? A kiedy paż domiósł, że szlachcie mieni się być dworzanimem wojewody wileńskiego, na to król miał odrzec z uśmiechem: „powiniennem się być domyślcć, że to jest sługa księcia Karola.“

¹⁾ Syn jego przed rokiem 1830 w Warszawie udzielał lekcji tańców.

O niższej służbie nie mówię, bo tój było bez liku; marszałkiem zaś dworu za mojej pamięci, po powrocie księcia już z powtórnego tułactwa, a za ustąpieniem Klimaszewskiego, został JMP. Sobański; nie miał on ani tego dowcipu i kortezyi ani tój prezencyi co pierwszy, gdyż mały był, czarniawy a szczupły, ale surowy i chmurny zawsze, żelazną ręką trzymał cały dwór książęcy. Wojewoda go pono nie bardzo i lubił, a w srogości mitygować musiał, wszelako dla wielkiego porządku funkcyi nie odbierał.

Co do gości, było ich zawsze siła, jakom pierwój mówił, ale między nimi znajdowali się tacy, którzy mało nie ciągle przebywali w Nieświeżu, bo ich książę żadną miarą nie puszczał do domu; a gdy z nich wymawiał się który pilnemi sprawami, nieraz je swoim plenipotentom i komisarzom załatwiać kazał; ale to nie każdemu przypadało do smaku, często więc ktoś taki od gościnności księcia i chyłkiem wymykać się musiał. Nie mówiąc już tedy wcale o JMPanu komorniku stonimskim, Leonie Borowskim, który był intimus księcia i nie wyjeżdżał prawie z Nieświeża, jako tóż o JMPanu Wołodkowiczu, co się później z siostrzenicą wojewody, panną Brzostowską ożenił, przesiadywali często i długo Morawski, brat generała, Wendorf, Mitternowscy, Mackiewicz, Czyż, Mogilnicki i innych nie mało.

Przybywali tóż nieraz i po dni kilka bawili dawniejsi słudzy i dworzanie, którzy folwarki od księcia albo w zastawie albo w dożywociu trzymali. Tak tóż i opiekun mój JMP. Niepokójczycki, starosta słucki, jako zasłużony u księcia, dostał był w Słuczczyźnie na dożywocie folwark Bołoczyce, na które gdy skrypt odbierał, przymówił się, czyby owego dożywocia nie można prolongować było i na syna jego, w pieluchach naówczas jeszcze zostającego, Adasia. Na co odrzekł śmiejąc się książę: „Poczekajże waszmość, panie kochanku, po co się tak spieszysz? Adaś jeszcze ospy nie miał.”

Tu przynajmniej były niejakié zasługi, ale bardzo wielu dworaków, którzy często żadnych nie mieli, z dobroci a hojności księcia wyciągali korzyści; jak pod czas bowiem a pod humor, miał serce tak miękkie, że nikomu prawie odmówić nie umiał. Tracili na tém nie raz ci właśnie, którzy prawdziwe a rzetelne położyli u księcia zasługi, a dla subtelnosci swych sentymentów, czyli respektując swój honor, a w sprawiedliwości ufni, woleli milczeć i czekać, nie chcąc uniażać się i przypominać księciu, albo dopraszać się tego, co się im słusznie należeć mogło.

Z liczby tych właśnie był mój jeden powinowaty, JMP. Michał Domański, który przez dziewięć lat peregrynacyi i tułactwa księcia po całej niemal Europie, od r. 1769—1778, czyli do powrotu wojewody, wszędzie i zawsze mu towarzyszył, tysiączne dał dowody przywiązania i niezachwianej niczem wierności. W niebezpiecznych nieraz a delikatnych, wielkiej przezorności i prawości wymagających misyach posyłany, zawsze sobie dać rady potrafił; na tentacye nawet i zdrady wystawiany, czysto i szczęśliwie wychodził i sprawę w myśl

księcia przeprowadzić umiał. Sam też wojewoda szanował go wielce i cenił wysoko, że jednak JMP. Michał umysłu był poważnego, całe życie księgami się bawił, w towarzystwach hucznych nie gustował, a przypominać się i narzucać nie lubił; ztąd, książę zawsze licznem otoczony gronem, pomimo wszelkiej estymy, mniej o nim pamiętał; bo na świecie jak w tłumie, kto się nie pcha naprzód, ten w tyle zostaje.

Gdy wojewoda z peregrynacji powrócił, co jakoś w końcu lipca r. 1778 nastąpiło, zanim jeszcze zrujnowany zamek wyrestaurowano, lubo cały dwór w ciasności wielkiej mieścił się w pałacu miejskim, po dworkach i szczupłych domostwach, cała Litwa niemal, nie zważając na te niedogodności i impedymenta, dzień jak noc na powitanie jego spieszyły. Natenczas też, dworzan dawnych, plenipotentów, komisarzy i przyjaciół, którzy zostawali w kraju, przybiegło już siła na usługi księcia; JMPan Domański przeto, który wraz z Radziszewskim na owę mizerną jakoby bannicy tyle lat najwierniej służył, został się na uboczu i byłby może na długo osiadł na koszu, gdyby zaraz pierwszego dnia po przybyciu, sam książę nie zalecił był seryo JMP. Bernatowiczowi, żeby mu natychmiast wyznaczono folwark jaki w dożywocie.

Tymczasem peregrynacja przez lat dziewięć księcia wojewody, straty przez wojnę w zamkach, miastach, wsiach i dobrach jego poczynione, najbardziej zaś ogromne koszta, które tak wytrwale do ostatniej chwili dla podtrzymania upadającej konfederacji łożył, obciążyły też owe dobra książęce takimi długami, że je tylko nieobliczona Radziwiłłowska fortuna, bez znacznego uszczerbku, znieść mogła. Sam bankier Saturnus z Wrocławia, za sumy dostarczone księciu, trzymał już w garści niemal całe dobra zabłudowskie, słuckie i nieświeskie; znacznych też sum trzeba było na wykupno sreber i klejnotów, pozastawianych w Budzie, Pradze, Wenecyi i Amsterdamie. Interesa były trudne i zawikłane; nowe dochody dopióro zbierać się zaczynały. Myślał więc JMP. Domański, jako sługa i towarzysz wierny, że nie czas było inkomodować księcia, i coby inny pewno na jego miejscu uczynił, kuć, jak to mówią, żelazo póki było gorące.

Sekretarzem i pryncypalnym plenipotentem wojewody, był p. Bernatowicz, człowiek uczciwy i w naukach, a szczególnie w językach tak biegły, że, poznawszy go Lucchesini, ambasador pruski, wierzyć nie chciał, iżby JMP. Bernatowicz za granicę kraju swego nie miał się nigdy wydaleć. Gdyby wszelako Bernatowicz był i samym geniuszem, nie mógłby podołać nawałowi spraw wszelkich Radziwiłłowskięj fortuny; takąż więc samą funkcją spełniał i p. Mikuć, za czasem zaś i Radziszewski, co był w obcych krajach z księciem, a pod nimi było jeszcze komisarzy różnych i plenipotentów bez liku. Wszyscy ci ichmoście ledwie że znali Domańskiego, który w Nieświeżu dawniej nie bywał, a pochodząc z Brzeskiego, zabrał się był do konfederacji z Bierzyńskim, kiedy ten był w Białej; gdy zaś nawałsawszy się,

pokieroszowany pod Białymstokiem, dostał się do generalności, dopiero go ksiązę wziął do swego boku. Ci więc panowie plenipotenci, dostawszy rozkaz wyznaczenia Domańskiemu dożywocia, znając go mało, w nawale ówczesnych spraw zawikłanych, nie namyślali się długo, rzucili mu co z brzegu i, niby akomodując się do woli pańskiej, natychmiast księciu do podpisu podali. Był to zaś w słuckim od wielkiego folwarku Chrzanowa dependujący, zaścianek Szulaki, w którego wydzieleniu miał pono jakiś interes plenipotent, podręczny JMP. Bernatowicza, niejaki JMP. Juskiewicz, który ten akt pisał. Domański zaś, ani pytając, wziął co mu dali, a otrzymawszy z kancelaryi JMPana Mikucia intromisyą do owych hojnie wydzielonych Szulaków, gotował się do odjazdu.

Tu, dla wyjaśnienia rzeczy, musimy się wstecz obrócić, gdy jeszcze JW. wojewoda z całym swym dworem w cudzych krajach bawił. Była więc tam z nim razem, lubo nie przez wszystek czas peregrynacyi, i JW. pani generałowa Morawska z liczném, jak to lubiła mieć, otoczeniem i kilku respektowemi pannami, między którymi téż znajdowała się i wychowanka, a ulubienica generałowej sierota bez ojca i matki, panna Karolina Paszkowska, z Lanckorońskich gniazda, krwi nieladajakiéj, dziewczyna wprawdzie uboga ale perfekcyi, urody i piękności rzadkiéj, przyczém miała i wielką stateczność umysłu i niejakaś wrodzoną, choć w młodych latach powagę, które to przymioty przy edukacyi, jaką na dworze pani generałowej otrzymała, uczyniły z niéj osobę zgoła niepoślednią; że gdyby była mniej stateczną, mogłaby, jako niedźwiedzniki niedźwiedzia, kogoby sama chciała, na pasku prowadzić. Ale panna Paszkowska nosiła się tak wysoko, że do niéj byle kto ani z ladajakiém słowem przystępować nie śmiał, i tak mniemam, że i na królewskich pokojach pewnieby się nie zgubiła.

Tam więc w cudzych krajach na dworze księcia, znaleźli się JMPan Michał i panna Karolina razem; a wiedziéć trzeba, że jako Paszkowskich tak i Domańskich domy z dawien dawna w brzeskiém województwie miały swoje siedliska. Pan Michał zaś jeszcze pacholęciem będąc, spotykał kędyś razy kilka pannę Karolinę, kiedy jeszcze dziewczką była ledwie od ziemi odrosłą. Od owych czasów długie lata minęły, że się jedno z drugim ledwie poznać mogli, czyniąc sobie dawniejszych czasów i wypadków a miejsc i ludzi reminiscencye, które, nie wiem dodać, że działo się to na obczyźnie, gdzie choćby podobak z wielkopolaninem, zawsze polakowi brat, a cóż dopiero jeśli z jednych stron pochodzą! Tak tedy stanął między nimi ów vinculus szczeréj przyjaźni, która z dnia na dzień przy poznawaniu się bliższém rosnąc a potężniejąc, tém bardziej między młodymi, jako Bożą wolą, zwykle a ludzką koleją, musiała się w afekt serdeczny przemienić.

Spostrzegli to i pani generałowa Morawska i ksiązę; ten zaś,

jak wiadomo szczególnie w swataniu ludzi mając upodobanie, chciał im też zaraz, *stante pede*, wyprawić wesele; ale nagłe przejazdy i gorące sprawy konfederacyi, jako też różne misye, które JMP. Domański w interesach księcia sprawować musiał, nie dozwalały zamiaru tego doprowadzić do skutku. Nadto, po wspólnej naradzie, jak pan Michał tak i panna Paszkowska uznali oboje, że należało im pierwiej porozumieć się i z krewnymi swymi i o przyszłości myśląc, zapewnić sobie dach jakiś i kawałek chleba, co jedynie za powrotem do kraju dopełnionem być mogło. Wszystko więc na dalszy czas prolongowano, a jeśli jakie *pacta stanęły*, te były chyba w cichości między młodymi postanowione.

Tak się rzeczy miały gdy cały dwór księcia po długiej peregrynacyi stanął w Nieświeżu,

Cała Litwa, jak wiadomo, upominała się na sejmie 1776 roku gorąco i natarczywie o amnestyą dla księcia i oddanie mu dóbr wszelkich, również jak godności, które przedtém piastował; posłowie wszystkich ziem i powiatów w instrukcyach i laudach sejmikowych punkt ten surowo a w szczególności zalecony mieli. Można przeto łącno imaginować sobie, jaki ruch powstał, gdy wieść gruchnęła stugębna, że księżę stanął już w starożytnej swych przodków siedzibie. Prócz siostr księcia i całej niemal rodziny, kto mógł tylko i kto zdołał, bogaci i ubodzy, magnaci i szlachta na powitanie jego do Nieświeża spieszyli. Przez tygodni kilka w mieście i okolicy gwar i ruch był jakoby na jarmarku jakim, odpuście albo sejmiku. W pałacu od rana do nocy czekały na gości zastawione stoły a muzyka i salwy z dział i ręcznej broni towarzyszyły nieustannym wiwatom.

Domański tedy wpadłszy w ten gwar i zamęt został na uboczu, ciesząc się wszelako z jednej strony nadzieją rychłego już dojścia zawczasu ułożonych ślubów, z drugiej, radując się ze szczęśliwego, pod egidą księcia powrotu z onęj włóczęgi wstrony rodzinne, gdzie co krok i co chwila spotykał krewnych, znajomych i dawnych przyjaciół. Tak też między wielu innymi natknął się zgoła *insperate* i na JMPana Tadeusza Czudowskiego, miecznika Słonimskiego, który przybył do Nieświeża z żoną i dwiema córkami; a wiedzieć trzeba, że Jejmość Pani miecznikowa była cioteczną matką Pana Michała. Stosunki to były dawne i wielce serdeczne; ucieszyli się miecznikostwo niezmiernie ujrawszy krewniaka, o którym od lat dziewięciu już i słuch był zaginął; witano go jakoby z innego świata przybywał. Jakoż, i tak było rzetelnie; boć to JMPan Michał mało nie uniwersum całe spenetrował, snując się z księciem razem, albo i sam, wysyłany będąc wzdłuż i wszerz Europy; począwszy od Czech i Morawy, zwiedzając Węgry, Saksonią, Francyą i Włochy, a nawet na Multanach będąc i na Wołoszczyźnie, a wreszcie i w samym Stambule, dokąd też jeździł z listami księcia wojewody. Nuż go więc wypytywał o tych tam stronach i ludziach, o przypadkach i ewentach różnych, a zwłaszcza też panny, z których młodsza, Ewusia, urodziwa wielce, figlarna,

a ciekawa i śmiała, jak wzięła JMP. Michała w obroty, nie miał od niej ani chwili spokoju.

Dopatrzyła się tego panna Paszkowska na asambalach wieczornych w pałacu, gdzie miecznikostwo przez dni kilka bywali, i biorąc za płochość te niewinne JMPana Michała rozmowy, mocno to do serca przyjęła; ale nie rzekłszy nic, postanowiła, jakto mówią, pięknem za nadobne odpłacić; i przyszło jój to bez trudności, bo do niej, jako muchy do miodu, garnęła się młodzież. Kręcił się tam właśnie Pan Antoni Tarasowski, towarzysz husarski, panna więc, lubo to jak się zdaje na przekorę tylko czyniła, jego sobie obrawszy, jak to chłop był pokaźny, poczęła mu dość jawnie preferencyą oddawać.

Trzeci to już bal był w pałacu, na którym znajdowali się Czurowscy: książe otoczony przyjaciółmi i domownikami, starszymi zwłaszcza, gdy już w materji publicznej rozmowa się wyczerpywała a ten i ów jakiś concept rzucił, rad był gościom niezmiernie i przy rzęsiстых kielichach, niesłychane dziwy prawie poczęło owych cudzych krajach, po których tak długo peregrynacją odprawiał i o przygodach osobliwszych jakie tam go spotykały. W drugiej sali, obok, brzmiała muzyka, tańczono ochoczo. JMP. Michał w one płąsy nie wiele się bawił, ale rad był z każdej okazji, aby widzieć się i pomówić z narzeczoną. Choć go więc szczebiotliwa krewniaczka, Ewusia, na wesolej przytrzymawała gawędce, wrywał się jój kilkakroć, szukając oczyma panny Karoliny i ze zdziwieniem spostrzegał zawsze, że jak dnia wczorajszego tak i dziś, ów JMPan Tarasowski nieodstępnie jój asystował.

Przykre jakieś uczucie ogarnęło pana Michała; zrazu jakby gniew, żałość i oburzenie; jako człowiek jednak stateczny zastanowił się nad tém głębiej i nie poczuwając się zgoła sam do żadnej winy a nie mogąc posądzić o płochość swojej narzeczonej, wytłómaczył to sobie lekkością i niejakiem JMPana towarzysza husarskiego zachwalstwem; jakoż z niejednej on awantury dla gładkiego liczka był znany.

Zdał więc zrazu na wesoło rozmawiającą parę spoglądał, chcąc się później na uboczu z Tarasowskim lub panną rozmówić; nie wytrzymał jednak, krew w nim kipieć zaczynała, zbliżył się więc do rozmawiających.

— Państwo się, widzę, wesoło bawicie—zapytał z przymuszonym nśmiechem,

— Bardzo—odrzekła sucho, panna.

— Cha! cha! — zaśmiał się szerokiem gardłem Tarasowski — czemu się nie mamy bawić? Gdzie jest dwoje, tam do zabawy trzeci zgoła niepotrzebny.

Na te słowa zczerwieniał pan Michał, ale się zmitygował.

— Tak waszmość myślisz?!—rzekł dobitnie, a rzucając na kawalera pogardliwe spójrzenie, zwrócił się do panny Karoliny:

— Czy i pani to potwierdzasz?

— Coż to może wacpana obchodzić?—odrzekła panna.

— Mnie?—mówił p. Michał—a, prawdziwie . . . dziwne to za-
pytanie!

— Dziwić się WPan nie potrzebujesz—odrzekła panna—jak
ja się nie dziwię, że i pan tak się wesoło od przyjazdu do Nieświeża
zabawiasz.

— Ja? zabawiam się!... przepraszam...

— Cha! cha! cha!—przerwał rubasznym śmiechem pan towa-
rzysz—nie przepraszaj waszmość, nie gniewamy się...

Tu już cierpliwości panu Michałowi zabrakło.

— Mój panie—rzekł, głos nieco podnosząc—nie wesel się, bo
nie waćpana przepraszam, ani nawet do waćpana gadam.

I zwrócił się odchodząc dalej.

Ruszył się na krześle Tarasowski, ale panna, widząc co się świę-
ci, wstrzymać go zapewne musiała.

Domański tymczasem, wzburzony, rzuciwszy rozmawiającą pa-
rę, skierował się do drugiej sali, zkąd wiwaty i wesołe dolatywały
śmiechy.

Tu, rej wiódł ksiązę jegomość, w złotym humorze otoczony gro-
nem biesiadników.

U końca długiego stołu, siedział właśnie w szerokiém a wygo-
dném krześle; postać i tuszę miał okazałą i majestatyczną prawie;
twarz duża, przeciągła, nos długi, trochę garbaty, rudawy wąs opuszczał
się z nad ust grubych i odętych, na których igrał uśmiech drwiąco-
żartobliwy, stosujący się do lekko przymrużonych oczu; stanowiło to
jednak dziwną sprzeczność z całą postacią księcia, ze spokojnie pod-
niesioną głową i resztą twarzy, która zdawała się największą powa-
gę wyrażać. ¹⁾

Ksiązę lubo na codzień ubierał się bardzo skromnie, choć zawsze
schludnie, w dymowy kontusz i takąż zieloną kurtkę latem, a w podob-
ne ubranie lecz sukienne zimą; do gości wszelako, albo na festyny
lubik występować bogato i strojnie, czyli to w mundurze swoim albań-
skim, żupan niebieski a kontusz barwy słomianej, lub też w mundu-
rze województwa wileńskiego, jako i teraz właśnie. Miał więc na
sobie granatowy kontusz z przedniego holenderskiego falendyszu
z karmazynowemi wyłogami i żupan również karmazynowy z altem-
basu w złote drobne smugi, spinka i guziki rubinowe, oraz bogaty pas
perski, co się wszystkimi barwami tęczy połyskiwał.

JMPan Michał Rejtan, że to był gospodarz zawołany a poufa-
ły księcia, bo wychowywał się z nim razem jako i brat jego Tadeusz,

¹⁾ Portret księcia współczesny, olejny, niezłego pędzla a nadzwyczaj
charakterystyczny, znajduje się w zbiorach autora w Romanowie, pochodzi
z Białej na Podlasiu, Kadziwiłłowskięj niegdys rezydencyi.

pytał właśnie wojewody, czy tam gdzie w cudzych krajach widział piękne majątki i czy szlachta jest bogata?

— Szlachta? panie kochanku—powtórzył książę—z kądże ci to, mój panie Michale przyszło do głowy? Co tam za szlachta! szwabę, panie kochanku; w Czechach... piwowary; w Węgrzech... masztalerze i winiarze; we Francyi... kucharze; we Włoszech... cukierniki! albo jeszcze i gorzej! We Florencyi, panie kochanku, poznałem jakiegoś grafa Ricci, mówiono, że to jest wielki familiant, a to, panie kochanku, on i nazwisko ma od tego, że na swoim folwarku całą perceptę wyciąga z takiego ziela, co się ricinus nazywa i, z przeproszeniem na purgans daje! No, i za ręce mnie ścisnął, a ja, panie kochanku, jak się o tém dowiedziałem, trzy dni mnie potem w brzuchu coś burczało!

Tu, gdy się wkoło śmiać poczęto, książę tymczasem pociągnął z kryształowego, dużego kielicha spory łyk lekkiego reńskiego wina, bo już natenczas był węgierskie zaniechał i ręką wąsy otarłszy ozwał się znów:

— Jednak, panie kochanku, muszę to przyznać, że mi się dość podobała Wenecya; miasteczko niczego; jest jeden kościół piękny i pałace nieszpetne; ale to wszystko, panie kochanku, jak nasze bobry... moczą w wodzie ogony, a niechlujne jak żydy i cebulą śmierdzą. A ta cała jakoby republika i senatory, to wszystko łyki! Jakoż, panie kochanku, i ten sam pan Doża nie lepszy. Poznałem się z nim dobrze; wieczorami co dzień grywaliśmy sobie w maryasza do puli; a żonę ma, panie kochanku, sekutnicę kapryśną, co go codzień zimną wodą oblewa.

— Tam też poznałem się z jedną syreną, która do mnie co wieczór z morza wypływała; bardzo przyjemna była osoba! Ogadano mnie później, panie kochanku, że z nią ślub jakoby wziętem; ale ja wiem na pewno, że tę plotkę puścił pan starosta Ziółowski ¹⁾ z tój racyi: Raz do mnie w piątek powiada Doża, „wiesz co wojewodo, każemy sobie na wieszczę rybki nałapać;“ a że ja, panie kochanku, jak asaństwo wiécie, pasyami lubię patrzeć kiedy ryby łowią, więcem go namówił i poszliśmy na brzeg morza przyglądać się na to spectaculum. Jąda tedy, panie kochanku, rybacy, zarzucili sieci raz... nie ma nic, zarzucili drugi raz... nie ma nic, aż za trzecim razem ciągną że niewody trzeszczą, dopływają niedaleko brzegu, wyciągają na łódź—coś się ogromnego rzuca, rozchylają... panie kochanku... obstupii! Patrzymy aż to... biskup morski, pontificaliter, w infule i z pastorałem!—kubek w kubek, panie kochanku, jak nasz Szafraniec! ²⁾. Zmieszaliśmy się oba z panem Dożą; on mi szepcze do ucha; „czy prosić go na wieszczę, czy nie prosić, bo niewiadomo czy będzie ryby

¹⁾ Michał Pac, później starosta kowieński.

Przyp. aut.

²⁾ Tak książę zawsze nazywał Massalskiego, którego cierpieć nie mógł, i nie bez racyi.

Przyp. aut.

jadł"; a tu tymczasem ów biskup odwraca się do mnie i zaczyna palcem grozić. „Ej, mój wojewodo—prawi—ja wiem wszystko... bałamucisz mi synowicę, ale daj pokój, bo z tego nie będzie nic: a za karę, jeszcze półtora roku będziesz się wałęsać pomiędzy tymi głupimi szwabami, nim do Nieświeża powrócisz.“ Na mnie, panie kochanku, pchły pozdychały, zląkłem się haniebnie; tymczasem lud, niebożęta, poklękali na brzegu, suponując że on im jakąś oracyą prawi morskim językiem; więc ów biskup, panie kochanku, zwraca się i benedykując, odzywa się już po łacinie z wielką powagą, „mirabilis est Deus in terra, sed mirabilior in mari;“ a wtém, panie kochanku.... plusk! w wodę.. i tyleśmy go i widzieli.

Otóż — kończył książkę — ztąd i cała plotka poszła, bo niktby był o téj syrenie, panie kochanku, nie wiedział; ale starosta rozpaplał i jeszcze, amplifikując rzecz, dodaje jakoby ona później sześć beczek śledzi urodzić miała.

Gdy w gronie otaczającym księcia śmiano się i bawiono, tymczasem JMP. Tarasowski po odejściu pana Michała, pozostawszy z panną, chciał przerwana rozmowę nawiązać na nowo, ale mu się już to wcale nie wiodło. Panna Paszkowska z wesołej stała się poważną i zadumaną i zbywała kawalera krótkimi tylko a zinnymi słowami. Wstał więc zachmurzony a gniewny i skierował się ku drugiej sali, szukając oczyma swego przeciwnika; jakoż, najrzawszy go niebawem rozmawiającego w kółku znajomych, przystąpił żywo.

— Mości panie Domański—rzekł z miną junacką—mamy z sobą do pogadania.

JMP. Michał, głowę nieco podniósłszy popatrzył nań pogardliwie.

— Co waćpan masz do powiedzenia—odrzekł—tego nie wiem, ale ja czekałem właśnie waszmości z ostrzeżeniem, żebyś się na cudze dobro nie kwapił, bo panna Paszkowska jest moją narzeczoną.

— Narzeczoną?—powtórzył, nieco zdziwiony towarzysz, ale po chwili dodał lekceważąco—e! co mi tam! póki nie poślubiona, każdemu droga wolna.

— A ja mówię waszmości że nie wolna—rzekł głos już podnosząc pan Michał—nie wolna, bo ja na téj drodze stoję.

— Tak!—wybuchnął Tarasowski—a! to się rozprawimy.

— Owszem, choćby zaraz.

Tu znajomi poczęli mitygować zwaśnionych, zrobił się niejaki huczek, szczęściem, że zdala od głównego stołu, nadbiegł téż i pan marszałek Sobański; całe to grono winem i sprzeczką rozgrzane wytoczyło się przed pałac.

Noc była lipcowa ciepła, miesięczna i jak dzień prawie jasna.

Napróżno przyjaciele i znajomi starali się zwaśnionych pogodzić, albo rozstrzygnięcie sprawy do jutra odłożyć, żadne perswazyje na nic się nie przydały i zapaśnicy zaraz, eo instante, na placu, pozorcawszy kontusze, wzięli się do szabel.

Walka trwała nie długo; JMP. Michał nie darmo był konfederatem, a choć dla spraw księcia w ostatku więcej w politykę bawić się musiał, wprawy jednak nie postradał wcale i miał rękę potężną. Lubo więc junaka udawał JMP. towarzysz husarski i wąsami straszzył, a nawet silnie nacierając z początku, ciął gdzieś wedle ramienia, nie szkodliwie pana Michała; wnet jednak dostał po łbie raz tak potężny, że gdyby nie ruch jeden szczęśliwy, w bok, od którego się Domańskiego szabla obśliznęła, byłby tam z pewnością na miejscu pozostał. Skończyło się to potykanie wszelako pomyślnie na obciętej jeno nad uchem skórce i ogłuszeniu, od którego się immediate Tarasowski z nóg zwałił. Rzucili się wszyscy, sądząc że zabity, ale się wnet uspokojono i sprawę całą na razie pocichu zatarto, aby nie psuć zabawy i księciu się nie narazić.

Przycichło to więc, jak makiem siał; a JMPan Domański, tegoż wieczora, przekonany wrzekomo o niestałości swój narzeczonej, księcia tylko samego pożegnawszy, nazajutrz, a raczej w nocy jeszcze, bo nadedniem, z Nieświeża wyjechał.

Udał się więc naprzód do brata swego młodszego w Brzeskiem mieszkającego, któremu w r. 1768 do konfederacji idąc, ojcowiznę puścił i miał u niego na prowizyi półtora tysiąca dukatów lokowanych; z tych tedy 500 na nową gospodarkę wzięwszy i nie zabawiwszy tam nad dzień jeden, ruszył pod Słuck na objęcie przyszłej siedziby, owych Szulaków wydzielonych mu tak łaskawie przez generalny zarząd dóbr księcia.

Wszystko to załatwił JMP. Michał prawie w ciągu tygodnia, rzucając się jakoby w gorączce, uderzony niespodzianym ciosem, który w jednej chwili i jednym zamachem zdawał się niszczyć najpiękniejsze jego, wypastowane przez całe lata, nadzieje. Złamał go i jakby cały świat przed nim zawarł ów nieszczęśliwy i zgoła nieprzewidziany wypadek. Cały duch jego i wszystkie uczucia zdawały się skupiać i ścieśniać do jednego, w głębi serca zamkniętego i ukrytego ogniska boleści, tém cięższej, im ona większą stanowiła sprzeczność z różowemi wspomnieniami tak świeżej przeszłości; a co ciężej jeszcze, że i obrazy z tych dni, choć tak niedawno minionych, z pod władzy wyobraźni nawet usuwały się coraz bardziej mgłą zmaconego ducha przysnute.

Obrzydł mu świat i ludzie, i rad był, cieszył się niemal, zdążając w Słuckie, że mu z dóbr księcia nie dano jakiegoś folwarku, ale ów „zaścianek,” po którego nazwisku sądząc, miał prawo spodziewać się jakiegoś cichego a odludnego ustronia, w którémby mógł, jak żółw w swój skorupie zasklepić się, nie widzieć i nie słyszeć co się wkoło niego dzieje.

Do podniesienia jeszcze tych uczuć nie mało się też przyczyniły i polityczne wypadki w kraju, a upadek sprawy, której JMP. Michał wraz z księciem bronił do ostatka. Dziś, widząc rolę swoją skończoną i zawiedzione wszelkie nadzieje, chciałby był chyba zostać rośliną...

kamieniem, niczém! Z takimi uczuciami ludzie albo sobie we łby strzelają albo się zamykają w klasztorze. Na pierwsze, nie pozwalały p. Michałowi prawa Boskie, które czeił święcie jako szczéry „barszczanin“ a sodalis marianus; klasztor zdawał mu się jeszcze zaludnym, wolałby był chyba pustelnią i chciał ją znaleźć w owym zaścianku.

Jakoż, w tym razie przynajmniej, los mu jaknajszczęśliwiej usłużył.

Zaścianek zwany Szulaki, dependencyą był znacznego folwarku Chrzanowa, i stanowił również niegdyś przytułek, erygowany umyślnie przez księcia hetmana Rybeńkę, dla którego z zasłużonych dworzan Radziwiłłowskiego domu.

Kącik to był prawdziwie odludny i zapadły wśród borów; niewielki, kilkadziesiąt morgów ledwie wydartej na pola nowiny i wonnych łąk leśnych obejmujący. Sam dworek tulił się u brzegu gaju, rzucanego jakoby kępa jaka wśród tej całej polanki i sianożęci przyległych; zwieszały się nad nim potężne konary lip starych i brzóz białych powiewnych, które zmieszane razem, a miejscami gęstą podszyte leszczyną, osłaniały ów dworek od zimnych wiatrów z północy i dawały karm a przytułek pracowitym pszczołom w dość sporej poza domem pasiece. Ciasno ogrodzone podwórko, zamykało w sobie nieliczne, niskie, o strzępiastych strzechach gospodarskie zabudowania: domek, chatkę dla czeladzi, obórki, stajnię, parę szop i gumno, a przy samej już bramie piętrowy lamusik i studnia z żurawiem. U wjazdu, pobożny snać Radziwiłłowski stary emeryt, postawił krzyż z męką Pańską, dziś już omszały i zeczerniały, otaczając go czterema świerkami, które rozrósłszy się bujnie, wysoko już strzeliły pod niebo.

Dzień się miał ku schyłkowi, kiedy JMP. Michał do zaścianka dojechał, a rozejrzawszy się wkoło, tak był rad z tego zacisza, że zdało mu się, iż jak Litwa szeroka, niczy na ową dobę lepszego dla siebie dobrać nie potrafił.

W progu powitał go niski, gruby a krępy, z siwą czupryną i równo przy ustach obstrzyżonemi wąsami, stary ekonom, pan Sopoćko; skłonił się i w żołnierskiej postawie, milcząc, zdawał się oczekiwać, co mu nowoprzybyły zwiastuje.

Zwrócił się ku niemu pan Michał.

— Waćpan jesteś podstarościem tutejszym?—zapytał.

— Tak jest, proszę łaski pańskiej — odparł ekonom — Antoni Kościeszka Sopoćko do usług wielmożnego pana.

— A ja jestem Domański, mam intromisyą do tego zaścianka.

— Chwałaż Panu Bogu, że wielmożny pan przybył! — zawołał Sopoćko, ręką z ukłonem sięgając do kolan JMPana Michała — jest o tém dyspozycya ze skarbu, ja tu już codzień wyglądałem wielmożnego pana, bobym téż, bez urazy, i o sobie rad coś wiedzieć; święty Jan już minął... a ja, ot tak i nie wiem...

— Bądź waćpan spokojny, — przerwał mu Domański—pan Mi-

kuć zapewnił mię, że jesteś człowiek uczciwy, więc jakieś gospodarzył dla skarbu, tak i dla mnie będziesz. Masz waćpan żonę?

— Mam wielmożny panie, i dwoje dzieci.

— No, to tylko jeden kładę warunek, żeby żona waszmości dla mnie téż była gospodynią i dawała jeść; bo ja mam z sobą tylko, ot, tego wyrostka co go aspan widzisz; no, i woźnicę; za tę usługę wynagrodzę i będziem żyć jak Bóg przykazał.

Uśmiechnął się uradowany pan Sopoćko.

— Dziękuję wielmożnemu panu kiedy taka łaska jego; służyć będę wiernie, ja tu każdą miedzę znam, bo już bez trzynaście lat, od śmierci nieboszczyka starego Łopacińskiego, chorążego, co tu mieszkał, gospodaruję. A zględem jadła, co się tknie mojej żony, to upewniam wielmożnego pana, że moja baba tak warzy co kuudy panie!, że lepij i sam Turzyński, nieświeski kuchmistrz, nie potrafi. Tu, proszę łaski pańskiej, raz ksiązę z polowania wstąpił bardzo głodny, kuchnia nie pospieszyła, bo konie woźnicę potłukły, zląkwszy się strzelania; więc moja baba naprędcie jak zrobiła jajecznicy z kiełbasą, to ksiązę zjadł całą mię, dał jěj dwa dukaty, a potēm opowiadał łowczy pan Kamieński, że ksiązę pan mówił, co mu się ta jajecznica bez trzy dni przypominała! o!

Tu Sopoćko głową pokręcił i palec podnosząc w górę, dodał:

— To panie, musiała być jajecznica!

Tymczasem zdejmowano ze skarbnika paczki, sepety i węzełki podrózne, a JMP. Michał, poprzedzany przez ekonoma, zwrócił się z ganku do domu dla obejrzenia mieszkania.

Sień z wyjściem na drugą stronę na dwie równe części rozdzielała domstwo; z obu stron znajdowało się dwie izby z alkierzami, ta tylko była między niemi różnica, że na prawym boku był téż i piec kuchenny; przezorny zaś Sopoćko, lubo pierwěj cały domek zajmował, czekając teraz na nowego pana, scisnął się na téj stronie, oczyściwszy i porządnie wybieliwszy mieszkanie na lewo. Izdebki były dość schludne a jak dla samotnika aż nadto przestronne. Rupieci téż JMP. Domański nie miał z sobą wiele: garderoba, makat kilka, rynsztunki rycerskie, parę strzelb i gardłaczy, gdyż był zawołanym myśliwym, oraz paka ksiązek jako rzecz, którą i nad polowanie nawet przekładał; oto i wszystkie sprzęty, z któremi przybywał; nadto para koni wozowych, jeden wierzchowy i jeden dla pachotka, stanowiły na początek gospodarstwa, cały inwentarz pana Michała.

Folwarczek, po obejrzeniu okazał się tak małym, że na nim szlachcic z rodziną nie bez trudności chyba wyżywićby się potrafił. Ale Domański był sam jeden, a fundusik własny, który posiadał, mógł zapewniać mu przy tym już gotowym chlebie, byt niezależny. Ustrońie to zaś, tak mu się podobało, tak mu przypadło do smaku, że jak był znękaný na duchu a ciszy i samotności żądny, postanowił zamknąć

się w tój pustelni a losu zdradzieckich i zmiennych unikając kolei, wyrzec się ludzi i całego świata.

Czy godziwém jest samolubnie z pola walki schodzić, jeśli ona jest nieodzownym ludzkiego życia warunkiem? Czy w pełni lat i sił młodocianych można się wyrzec świata i całej, może najświetniejszej przyszłości? Niewiadomo ażali te pytania zadawał sobie Domański. Nieraz, w rozżaloném sercu bierze człowiek jakąś determinacją, często i niebaczną, bo rozum ludzki nie zawsze się z więzów serca wyzwalać może; ale czas i wypadki częstokroć téż łamią i najsilniejsze postanowienia, a przyszłość zawsze jest przed ludzkim wzrokiem zakryta.

(d. c. n.).

Z POD WAWELU.

VI.

Wieczorki Mickiewiczowskie. — Młodzież i jój programy. — Nasze wychowanie. — Związek nauczycieli szkół wyższych i projekt jego statutu. — Z akademii Umiejętności: Zjazd historyczno-literacki im. Kochanowskiego. Prace komisji językowej nad ortografią. — Broszurka p. Kappapiro o pisowni. — Koło artystyczno-literackie wobec spraw przekazanych mu przez I. Zjazd literatów i artystów. — Jego wieczorki i bal maskowy. — Ruch literacki: dziennikarstwo. Nowe pismo miesięczne: „Przegląd powszechny.“ — „Przegląd polski“ odrodzony, organem Uniwersyteckim. — „Przegląd literacki i artystyczny“ i wydawnictwa K. Bartoszewicza. — P. Kozmian i publiczność. — Sezon teatralny: Anczyca: „Jan III pod Wiedniem.“ — J. Blizińskiego „Uczuciowi“ i „Ciotka na wydaniu“ — K. Zalewskiego „Górą nasi.“ — J. A. Świącickiego „U wrót szczęścia.“ — Urbańskiego i Czerwieńskiego „Nieboszczyk.“ — L. Świdzkiego „Dzieciaki.“ — Ad. Bęlcikowskiego „Bal“ — Fr. Nischela „Wróżka.“ — P. Moreau „Sprzymierzeńcy.“ — Labiche et Duru „Soboty“ — Duru et Chivot: „Fortel Artura“ — Catulle Mendez „Dwie matki“ — Fabriciusa „Telegrafem.“ — p. Birch-Pfeiffer „Noc balowa.“ — Beaumarchais „Wesele Figara.“ — Z wystawy obrazów: Matejki „Wernyhora“ i trzy portrety. — Rossowskiego: „Wjazd Jadwigi do Krakowa.“ — Wolskiego „Ks. Józef Poniatowski pod Lipskiem.“ — Br. Abramowicza „Testament Zygmunta Augusta.“ — Krzesza „Bitwa pod Orszą.“ — Obrazki rodzajowe: Grocholskiego, Sokołowskiego, Herncisza, Wielogłowskiego. P. L. Bierkowska i sceny ludowe. — Portrety Grabowskiego, Merwarta, p. Eydziatowiczowej. — Studya: Reichama i Kruszewskiego. — Akwarele Kosaka, Fałata. — Rysunki Sokołowskiego i Stachiewicza. — Rzeźby: Welońskiego „Bojan“ — Roźniatowskiej „Zosia“ — Gujskiego biust Asnyka. — Pleszowskiego „Jan III.“ — Barączka biust mężczyzny. — Przebindowskiego medalion Mickiewicza. — Echa muzyczne i karnawałowe.

Zabierając się znowu do sprawozdań o życiu naukowym, literackim, artystycznym i społecznym w Krakowie, mieliśmy w pierwszej chwili zamiar wspomnieć przynajmniej o dosyć ważnych wypadkach we wrześniu r. z. (Jubileusz Jana III, zjazd literatów i t. p.), aby stworzyć nić, wiążącą dwa od siebie oddalone ogniwa. Spostrzegliśmy się

atoli, że to niepotrzebne, bo kochany Kraków nawet z tramwajem i odnogą kolei transwersalnej, z nowym budynkiem uniwersyteckim i projektowanymi skwerami na rynku; po dniach wrześnieowych zeszłego roku, pozostał zawsze ten sam.

Duch krytyczny tak potrzebny w nauce dla wyłuszczenia jądra prawdy rzetelnej, w życiu dla jasnego pojęcia celu i zadania, przeniósł się u nas na inne pole, i jawnszy się uczucia narodowego, poczucia jedności, wspólności i tradycyi przeszłych wieków, chciał je rozłożyć na pierwiastki, a kiedy te w owęj analizie jak atomy zapachu się ulotniły, zawołano „przejrzeliśmy!“ sądząc, że wszystko teraz w nagiej odsłania się prawdzie. Krytyka bezwzględna przeszłości dziejowej głoszona pismem i żywem z katedr słowem, przeniknęła młode niedojrzałe umysły i pomieszała je najzupełniej. Ujrzano w niej kamień filozoficzny, który teraz stał się własnością wszystkich tak łatwo, tak bez mozołu a tyle wieków darmo go szukano! Więc my geniusze — oni idyoci!

Podobne młodzieńcze zapały i urojenia dumne, zwyczajne wiekowi niedojrzałemu, przebacza się i przyjmuje z uśmiechem w nadziei, że one w toku życia przemijają; przebacza się je atoli wtedy, gdy się objawiają w gronie samej młodzieży i nie mają cechy zuchwałej arogancyi. Tymczasem w dwóch ostatnich latach reprezentanci młodzieży, korzystając ze sposobności wystąpienia publicznego w przemowie na wieczorku Mickiewiczowskim, wystąpili z ogłoszeniem przekonań swych politycznych, mieniąc się być wyrazem ogółu akademickiej młodzieży. „Przodkowie nasi—mówią oni—prowadzili politykę serca, my trzymać się będziemy tylko polityki rozumu; o ni krew przelęwali w obronie wiary i ojczyzny, my „pracą organiczną“ (?) stworzymy sobie byt; o ni stracili ziemię ojczystą, my ją zdobędziemy na nowo!“ A więc wy niedołęgi, marnotrawcy,—my mocarze, bohaterzy! Co my to nie wy!

Smutném zatém musiało być wrażenie słuchaczy, którzy zgromadzeni na uroczysty wieczór ku uczczeniu pamięci wielkiego poety, zamiast usłyszeć coś o nim, usłyszeli program polityczny prezesa Czytelnicy akademickiej, jako reprezentanta młodzieży. Politykomania naigrawszy się z powagą nauk takich jak filozofia, historia, prawo, ekonomia w książkach i na katedrach, ogarnęła i skoszławiła młode umysły, które zamiast zwrócić się ku badaniom naukowym, błądzą po labiryntach komunatów wątpliwéj wartości i frazeologii nader szkodliwéj!

Smutniejszą zaiste od tego jest myśl, że ta młodzież niebawem znacznie czynnie polityczne swe ideały wcielić, wystąpiwszy na arenę publiczną. To też nie dziw, że ozwały się w prasie głosy potępiające podobne wystąpienie reprezentanta młodzieży; ale prócz głosów „nie-solidaryzujących się“ z tém przemówieniem, pewnie większa część stu-

chaczy zachowała w głębi oburzenie, jakie wywołać musiała zuchwałość formy, w jakiej rzecz swą prezes Czytelni wyluszczył. Najsmutniejszym zaś jest rozdwojenie między młodzieżą akademicką, a właściwie rozdzielenie się na partye; mniejszość lepsza, nie widząc środka porozumienia się, ani nie mogąc głową muru przebić, ma podobno w osobne złączyć się Koło i nie mieć nic wspólnego z Czytelnią. Między wicbrzącymi elementami ma być najwięcej najmłodszych, niedawno gimnazjalistów, którzy najłatwiej krzykaczom uwodzić się dają; podobno zresztą i grunt moralny, jaki wynieśli ze szkół średnich, nie bywa zawsze jednakowy i taki, jaki być powinien. Młodzież szkół średnich (dzięki nowszym teoryom pedagogicznym, przenikającym członków władz i gron nauczycielskich) uczy się zawczasu lekceważyć przełożonych i starszych, rezonować o wszystkim i wszystkich oceniać. Dodajmy do tego brak w większej części dobrego prowadzenia w domu, pobłażanie wykroczeniom i bardzo mierną cnotliwość, jakiej przykłady codziennie dzieci widzą, a potrafiemy utworzyć sobie mniej więcej rzeczywisty obraz zasad, podług jakich wychowanie u nas się prowadzi. Trwoga ogarnia na myśl o przyszłości, która na barkach takiej młodzieży spoczywa...

Od młodzieży niewielki skok do jej kierowników—nauczycieli.

W ciągu 34 lat nowego ustroju szkół średnich w Austrii, nauczyciele szkół tych w Galicyi przebyli niejedną fazę, aż zaprowadzeniem w szkołach języka ojczystego jako wykładowego, rzeczy stanowczo zmieniły się na lepsze. Wszyscy nauczyciele—szkół średnich i ludowych—połączyli się wówczas w jedno Towarzystwo pedagogiczne, które osobliwie w pierwszych latach swego istnienia, uwzględniając równorzędnie potrzeby jednych i drugich, było zbawiennym ogniskiem duchowego światła. Odkąd jednak Towarzystwo pedagog. a przedewszystkiem jego pismo „Szkoła“ stało się wyłącznie organem szkół ludowych, uczuli nauczyciele szkół średnich brak duchowego łącznika i stąd to od lat kilku tu owdzie kiełkowały pomysły założenia Towarzystwa nauczycieli szkół średnich. W roku zeszłym pierwsi nauczyciele lwowscy dali dobry przykład. Aby nie zrywać z Tow. pedagogicznem utworzyli kółko w tém Towarzystwie i uchwalwszy dla siebie regulamin, wezwali grona nauczycielskie na prowincyi celem łączenia się w kółka podobne a następnie zcentralizowania się w sekcji Tow. pedag. Ale zaledwo parę miesięcy upłynęło i śladem tego kółka utworzyło się podobne w Przemyślu i u nas tworzyć się poczęło, zabroniło Ministerstwo oświaty podobnej sekcji w Tow. pedag. z powodu rzekomego przekroczenia statutu. Nie pozostawało tedy nauczycielom gimnazjalnym nic innego, jak tylko utworzyć odrębne Towarzystwo. Myśl ta znalazła poklask ogólny i jak nas zapewniają z kompetentnej strony—miano już uchwalić projekt statutu, i regulamin dla oddziałów na prowincyi. Z udzielonego nam łaskawie drukowanego „projektu“ wyczytujemy, że Towarzystwo przyjmuje nazwę

„Tow. nauczycieli szkół wyższych“ z siedzibą w Krakowie. Celem jego jest:

a) popieranie rozwoju szkół wyższych;
 b) udzielanie wzajemnej pomocy członkom Towarzystwa tak moralnej jak i materyalnej (?).

Środkami do osiągnięcia tego celu ma być:

a) omawianie spraw dydaktycznych i pedagogicznych;
 b) odczyty; c) wnoszenie do Władz memoriałów i petycji w sprawach szkół wyższych; d) rozpisywanie konkursów w zakresie pedagogii i metodologii; e) zawiązanie i utrzymywanie stosunków z podobnymi Towarzystwami krajowymi i zagranicznymi;

f) założenie muzeum pedagogicznego, tj. zbioru pism pedagogicznych, przyborów szkolnych, tudzież innych przedmiotów służących do ułatwienia nauk (?);

g) wydawanie pisma jako organu Towarzystwa, poświęconego sprawom szkół wyższych;

h) wydawnictwo książek szkolnych i środków pomocniczych do nauki;

i) urządzenie wystaw szkolnych.

Towarzystwo zakreśla sobie szeroki (czy nie nadto szeroki?) zakres działania. Nie chcemy się tu przedwcześnie wdawać w krytykę każdego z osobna punktu; zaznaczyliśmy już powyżej niektóre znakiem zapytania.

Projekt rozesłano do wszystkich kolegów nauczycielskich w Galicyi, dla zgromadzenia potrzebnych uwag lub dodatków, poczem przedłożonoby go do zatwierdzenia Namiestnictwu; spotkano się atoli z takim niedowierzaniem, że prawdopodobnie sprawa ogólnego Towarzystwa nauczycieli szkół średnich odwlecze się na lat kilka jeżeli nie na kilkanaście, a tymczasem powstaną tylko miejscowe towarzystwa we Lwowie i Krakowie.

Nasza najwyższa Instytucja naukowa zwiastuje nowe święto narodowe: w dniach 28. do 31. maja ma się odbyć w salach Akademii Umiejętności zjazd historyczno-literacki imienia Jana Kochanowskiego, którego jak wiadomo rocznica zgonu 300 letnia w b. r. przypada. O przedmiocie tym obznajmiła już czytelników „Biblioteki“ redakcyja w dziale „Wiadomości bieżących“ zeszytu Marcowego r. b. Liczba referatów gotowych przechodzi już podobno dwadzieścia a jest nadzieja, że wzrośnie jeszcze w przeciągu tego czasu aż do terminu nadsyłania. W rozsyłaniu zaproszeń dostrzegają niektórzy pewnej jednostronności, której odpowiedzialność spada na inicjatorów zjazdu!

Jakkolwiek niedawno, bo dopiero we wrześniu roku zeszłego odbył się I-y zjazd literatów (bez literatów, jak ironicznie głoszono!) i artystów polskich w Krakowie, sądzimy, że zapowiedziany zjazd, mimo wyraźnej cechy zarozumiałego lekceważenia rzeczy dokonanych, tudzież ignorowania faktów tej natury, oddać może pewne korzyści spr-

wie badań historyczno-literackich polskich; zjazd bowiem literatów miał więcej cechę zjazdu dziennikarzy i publicystów i jako pierwszy tego rodzaju nie mógł być we wszystkich częściach gruntownie i z doskonałym programem podjęty. Ciekawych też podobno epizodów mieli być świadkami członkowie Komitetu urządzającego zjazd im. Kochanowskiego. Zapałano taką nienawiścią do wszystkich tych, którzy nie należą do szeregu „naszych“ że... że..

Wszystkich oczy zwracają się obecnie ku pracom komisji językowej Akademii Umiejętności, szczególnie na przedłożoną jęj przez redakcyą „Biblioteki Warszawskiej“ kwestyą ujednostajnienia pisowni polskiej. Lubo już półtora roku minęło od czasu, kiedy rzecz ta dostała się do Akademii, przecież sprawa ta nie prędko się jeszcze ukończy. Najpierw bowiem posłano referat p. A. A. Kryńskiego ścisłemu Komitetowi z trzech, a następnie dopiero z pewnymi powziętymi w tym komitecie uchwałami przedłożono go komisji językowej, która paragraf po paragrafie przerabia. O ile zdołaliśmy zasięgnąć wiadomości, rezultat prac nad tym przedmiotem ani uczonych ani publiczności szerszej zadowolnić nie potrafi. Kiedy bowiem grono literatów i uczonych warszawskich referat p. A. Kryńskiego oparty na podstawie naukowej, przedłożyło Akademii Umiejętności, czyniło to zapewne tylko w tym celu, aby zyskać albo potwierdzenie naukowych prof. Kryńskiego rezultatów, albo jeżeli się ten gdzie z naukowymi poglądami pominął, w tym kierunku naukowe otrzymać uzupełnienie, a potem bez restrykcyi proponowane w ortografii zmiany przyjąć w piśmiennictwie i dziennikarstwie, choćby nawet z poświęceniem własnych przekonań i nawyknień, bo rzecz została przez najwyższą instytucyą naukową w ten sposób poleconą. Tymczasem, o ile wiemy, Akademia Umiejętności inaczej rozumiała swe zadanie i tak w komitecie ścisłszym, jak i w komisji postanowiła trzymać się zasady, że to co uchwała ma obowiązywać tylko wydawnictwa Akademii; mimo to nietylko zaprosiła do grona radzących ludzi niefachowych, lecz takich którzyby reprezentowali i inteligentną publiczność, ale kieruje się w wielu sprawach wbrew naukowym faktom zwyczajem dotychczasowym. Cóż za wynik będzie obrad, opartych na takich zasadach? Oto uchwały powzięte będą nosić na sobie dziwny charakter pozorowania naukowego popstrzonego utartym zwyczajem. Jeżeli głos publiczny żądał rozstrzygnięcia kwestyi ujednostajnienia ortografii polskiej ¹⁾ od Akademii, to ufał jęj umiejętne mu charakterowi i dla ułatwienia i przyspieszenia sprawy podał jęj substrat naukowy. Nie uzyskawszy spodziewanej uchwały, będziemy się nadal samowolnie błąkać po różnych manowcach glosofilów i niepowołanych reformatorów.

Jeżeli Akademia uchwaloną ortografią w swych zaprowadzi wy-

¹⁾ Powody wystąpienia redakcyi „Bibl. Warsz.“ zob. w „Bibl. Warsz.“ z r. 1883 T. III. str. 468 i 469 cf. T. II. str. 327. cf. r. 1884 Zesz. Marcowy str. 488.

dawnictwach, narazi się niezawodnie na poważne zarzuty uczonych, którzy nie rozumieją, jakim sposobem Akademia Umiejętności mogła ulęc nieumiejętnym argumentom i dlaczego przez dziesięć z górą lat przestrzegając (wprawdzie nie dosyć konsekwentnie) ortografii przyjętej, nagle za impulsem literatów warszawskich uznała ją za złą, i postanowiła zmienić na nową nie uzasadnioną naukowo. Akademia zamiast tedy ustalić ortografią, wprowadzi zamęt nietylko w swoje wydawnictwa, ale i w publikacje literackie.

Jak wiadomo w dotychczasowych wydawnictwach Akademii używano zawsze pisowni naukowej wyrazów przyswojonych, mianowicie przez—i ja,—yja. Szanowny Prezes tak się zżył z tym sposobem pisania, że kiedy opozycya wystąpiła z swojemi argumentami, nie dał się przekonać i przegłosowany ulegając, założył jeszcze swe veto w osobnej broszurce pt. „O pisowni —ija,—yja w wyrazach przyswojonych“ rozdzielonej między członków Akademii ¹⁾. Walka ta o jotę przypomina nam podobne spory podwakroć już przez naszych gramatyków podejmowane, bo jeszcze w roku 1812 przez Szopowicza, Felińskiego i Jana Śniadeckiego, a około roku 1865 przez ks. Malinowskiego i prof. Małeckiego.

Przeciwko pisowni m ó c, l ó c itp. wystąpił w osobnej broszurce pseudonym Kappapiro ²⁾ i dzięki jego wystąpieniu pisownia ta zwyciężyła. Kto bowiem miał jeszcze jakie skrupuły, ten znalazł właśnie w broszurce p. Kappapiro najlepszy dowód, że nieczysta to sprawa, która do tak lichych ucieka się—adwokatów. Brak podstaw elementarnych w gramatyce, najfałszywsze pojmowanie zjawisk językowych, arogancja w argumentowaniu i pomiatanie badaniami naukowymi, zdyskredytowały do reszty tę sprawę. Komu ciężko rozstać się z pisownią m ó d z, l e d z, niechaj ma szłuszny żal do p. Kappapiro, i niech westchnie nabożnie: „Panie broń nas od takich przyjaciół...“

Zjazd literatów polecił Koło literacko-artystycznemu sprawę peryodycznych ogólnych wystaw dzieł sztuki polskiej, celem obznajomienia amatorów z ruchem artystycznym; następnie sprawę „Pomocy,” towarzystwa literatów i artystów polskich, ku niesieniu ulgi członkom, dotkniętym ciężką chorobą, oraz wdowom i sierotom po członkach pozostałym. Dotychczas tylko co do drugiej kwestyi, zdobyto się w przeciągu pół roku na uchwalenie statutu „Pomocy“ — ponad to nic więcej nie zrobiono. Zresztą Koło chroniczną jakąś niemocą złożone; najlepszymi chęciami ożywiony wydział nowo obrany w maju, zwykle w miarę powiększania się upałów letnich—chłodnie, aby więcej się nie rozgrzać! Koło niby de facto istnieje, ale o niem mało

¹⁾ W zeszytce niniejszym w dziale piśmiennictwa drukujemy gruntowny rozbiór pracy J. Meiera, o której tu mowa, przeto skróciliśmy znacznie ten ustęp kroniki podwawelskiej, za co przepraszamy Sz. autora. *Red.*

²⁾ Przyczynki do sprawy pisowni polskiej... Kraków 1883.

kto wie, prócz kilku starych emerytów, którzy codziennie około godziny 11 przed południem przychodzą do Koła po to, aby pozbięrawszy ze stołu najświeższe dzienniki, udać się z nimi do ubocznego pokoju; jedną część ich przysiadłszy, inną studują od wezwania do prenumeraty aż do ostatniego inseratu! Południem pustki, po południu sporadyczni pojawiają się goście, aby przy czarnej kawie co „przejrzeć.” Wieczorem około godziny 6 pojawia się podskarbi z czarną księgą kasową, i ogląda się na wszystkie strony, czy kto przypadkowo kilkumiesięcznymi zaległościami nie zechce zapełnić pustej kasy; wkrótce nadchodzi i prezes, uśmiechnięty, serdeczny, wita na około i jest witany, przedstawia, zawiązuje rozmowę, sam poznaje nowych i starych sobie przypomina, witając uściskiem i głośnymi całusami, stara się tradycyjną utrzymać gościnność i szczerłość. Środowe wieczorki tém się jeszcze od powszednich różnią, że na zaproszenie czyje, ktoś zaimprovizuje jaką deklamacyjkę, inny co zagra, ktoś anegdotkę opowie, poczem znaczna część wynosi się do sali jadalnej, gdzie przy kolacyjce i szklaneczce, pogwarka się toczy mniej lub więcej ożywiona i ot—„jakoś wieczór schodzi...”

Posiedzenia wydziału odbywają się czasem, najczęściej dla zamianowania nowych proponowanych członków nadzwyczajnych, czyli t. z. popiérających; członkiem takim może być każdy „porządny“ obywatel, których téż liczba wzrasta w miarę jak członków zwyczajnych t. j. literatów i artystów ubywa. Z członków założycieli nie wielu zostało, inni usunęli się lub wyjechali, a tak wkrótce „Koło literacko-artystyczne“ przemieni się w rodzaj reursy „porządnych“ ludzi, a taka może liczyć na powodzenie, bo któż dziś nie jest „porządnym?“

Oby mogło „Koło” wrócić do pierwotnej tradycyi i stać się znowu ogniskiem literatów i artystów; oby zechciało brać inicjatywę w sprawach artystyczno-literackich i budzić zajęcie dla literatury i sztuki w publiczności, jak to w statucie pięknie wyrażono; oby mogło już raz wejść pewną nogą na drogę wydawnictw pożytecznych a nie podkopywać kasy wydawnictwem „Albumów“ z funduszu uzyskanego z balu!

A propos balów — i tego roku odbył się na dochód Koła bal, tylko już nie kostiumowy, historyczno-archeologiczny, ale poprostu „maskowy.“ Obudził on poniekąd tradycyą dawnych balów maskowych przez intrygowanie wielu osób listami i biletami dowcipnymi, które charakterystyczny roznosił listonosz. Kostiumy były wprawdzie nadto różnorodne i nie wiele z gustem, ale bawiono się dobrze do rana, a dochód z balu znaczny podda znowu walnemu zgromadzeniu sposobność do uchwalenia wydania jakiego albumu, a zachowania w tece ilustracyi do „Balladyny“ Roztworowskiego i zaniechania konkursu literackiego.

Ruch literacki wogóle u nas słaby—dziennikarstwo tylko wegetuje. Stary „Czas“ wzmocnił redakcyą kilku nowymi członkami,

a na czele postawił prof. St. Smolkę, który chcąc temu dziennikowi przywrócić lepszą dawną tradycyą, poświęca mu wiele sił i czasu, co niestety nie może być bez wielkiej szkody dla nauki historii polskiej. Ta zmiana częściowa redakcyi wpłynęła téż korzystnie na „Czas,” w którego żyłach czuć w rzeczy samój często nieco krwi młodej; ale ostatecznie musi takie „zatrudnienie“ ludzi powołania i obowiązku naukowego przynosić szkodę katedrze i nauce. I tu znowu staje się polityka—i to powszedniego gatunku—tym molochem, co pożera ludzi do innój pracy powołanych.

„Reforma“ zawsze ta sama; w części politycznej broniąca interesów autonomicznych kraju, poruszająca żywo najpotrzebniejsze kwestye, w części literackiej zaś monotonna i nudna, w kronice zaniedbana. A przecież w gronie redakcyi nie brak imion znanych w literaturze i ludzi prawdziwie zdolnych. O „Gazecie krakowskiej“ wiemy tyle, że podobno istnieje i nie wypuszcza z rąk swych wielkiej polityki, przedewszystkiem—węgierskiej, dla której z nowym kwartałem podobno format powiększa... Żyje z dnia na dzień, i jest zawsze tém, czém ją kto chce mieć, służąc dobrodziejom...

Między pismami literackimi zanotować nam wypada pojawienie się nowego miesięcznika a raczej metempsychozę „Przeglądu lwowskiego“ w „Przegląd powszechny.“ Ks. E. Podolski był pierwszego redaktor, po kilkunastoletniej walce w dobrej sprawie, ustąpił znużony walką z niedoborami, a w prawa jego weszli OO. Jezuici, którzy, nazwawszy Przegląd „powszechnym,” oddali jego redakcyą ks. M. Morawskiemu. W trzech wydanych zeszytach, które stanowią tom I, znać dążność do reprezentowania literatury naukowej, na gruncie cywilizacyi i oświaty katolickiej.

„Przegląd polski“ suąć zagrożony konkurencyą „Przeglądu powszechnego,” odrodził się z Nowym Rokiem z wielką dla siebie i czytającej inteligentnej publiczności korzyścią. W słowie od redakcyi umieszczoném na czele zeszytu grudniowego r. z. wyrzeka się polemiki, której dotąd hołdował, a sądząc, że czasy się nie zmieniły, postanowił rozwinąć i podnieść stronę naukową pisma przez skrzętne śledzenie stanu nauki i literatury w kraju i zagranicą. Ku temu celowi zaprosił do komitetu redakcyjnego profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego pp. Bobrzyńskiego, Kleczyńskiego, Morawskiego, doc. Jerzego Mycielskiego, ks. Pawlickiego, d-ra Smolkę, M. Sokołowskiego i Zakrzewskiego, którzy oświadczyli, że prace swe popularno-naukowe tylko w tém piśmie umieszczać będą. Naczelnymi redaktorami pozostali i nadal jego założyciele prof. St. Tarnowski i p. St. Koźmian. Wskutek tego odrodzenia się, zeszyty tegoroczne oprócz różnorodności i doboru treści, odznaczają się bardzo obszerną a pożyteczną kroniką literacką i nader ciekawymi artykułami, jak np. prof. Morawskiego „Studia i notaty z dziejów odrodzenia w Polsce“—Prof. Czernego „Tonkin“ i „Sudan,”—D-ra Hanusza „Kilka słów o sanskrycie.“—Prof. Tarnowskiego „O dramatach Schillera;“ nadto dalszy ciąg

opowiadania Aëra „Ostatni krzyżowcy“ i przekład rymowy „Hermana i Doroty“ Goethego, dokonany przez d-ra T. Ziembę. W ogólności w tej formie i objętości jaką przybrał, może się stać „Przegląd“ nader pożytecznym ¹⁾.

Nie możemy tego powiedzieć o dwutygodniku p. K. Bartoszewicza, „Przegląd literacki i artystyczny“, który lubo trzeci rok istnienia rozpoczął, czyni to z wysiłkiem i zapewne czuje usuwający mu się grunt pod nogami. I inaczej tóż być nie może. Minęły czasy, kiedy chcący czytać, w braku pisma chwytali co było i jakie było; dziś wobec konkurencyi pism starannych, ilustrowanych, punktualnych, istnienie pisma bez planu, o nieregularnym terminie wydawania numerów, pisma mającego dobre chęci, bardzo dobre nieraz pomysły i karmiącego czytelników przeważnie nadziejami i zapowiadaniem nowych rubryk — musi być problematyczne. W części literackiej oprócz kilku dość zgrabnych wierszyków E. Prusa i nowelek Blizińskiego i Bałuckiego, zresztą rzeczy mierniej wartości, przedruki lub tłómaczenia, artykułów literackich bardzo mało, dział sprawozdań krytycznych ubogi; w części artystycznej sprawozdania teatralne nie mają cechy ani estetycznej analizy, ani jasnego pojmovania zadań sztuki, muzyczne zaś są po prostu powtarzaniem banalnych frazesów i technicznych wyrażań, którymi sprawozdawca usiłuje pokryć brak głębszego wykształcenia muzycznego. Rubryka sprawozdań z wystawy obrazów oddawna zamknięta, dodatek rycin nie regularny i nie jednostajny, nieraz nawet bez wyboru: robi wrażenie chwytania tego, co się nasunie pod rękę. Jedyłą siłą przyciągającą przeważnie miejscowych prenumeratorów i powodującą pokup pojedynczych numerów, stanowią kroniki redaktora, o charakterze satyryczno-polemicznym, w których obok tryskającego nieraz żywym strumieniem dowcipu, znajdujemy bystry pogląd na stosunki lokalne. Zdaje się nawet, jakoby redaktor głównie dla swych kronik, mimo braku poparcia u publiczności, wydawał swój „Przegląd;“ pismo jakieś inne, oglądając się na osobistości nieraz dotknięte w kronice, nie mogłoby jej umieścić bez obciążenia, tu zaś niezależny redaktor, to co napisze wydrukuje, sam za siebie tylko odpowiadając.

Po wydaniu dzieł Słowackiego, Kochanowskiego, Krasickiego (razem tomów 14) wydał p. K. Bartoszewicz z kolei „Momusa“ Żółkowskiego i „Satyry“ K. Opalińskiego. To ostatnie zdyskredytowało nieco wydawnictwo, bo łudziło ciągle obietnicami rychłego ukazania się z druku, a tymczasem zawsze zawodziło. Wprawdzie prenumerujący nic na tém nie stracili, owszem zyskali staranne wydanie i słowniczek archaizmów, ale mimo to nie ustało nieukontentowanie, bo

1) Od profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego oczekujemy zachowania czystości języka i dobrych terminów szkolnych, dlatego obrażają nas wyrażenia takie, jak: Indyc tylne i przednie, zamiast: przedgangesowe i zagangesowe. *Red.*

płacący chce mieć i dobrą rzecz i w oznaczonym czasie wydaną, a tego ostatniego brakuje zawsze wydawnictwom p. Bartoszewicza. Rozzerwany na wiele stron, krząta się wprawdzie, ale podołać nie może; czy nie lepiej wobec tego byłoby obmyślić z góry rzecz, mającą się wydawać, a potem dopiero wziąć się do pracy z przygotowanym materiałem, jak oczekiwania abonentów zawodzić. Ponieważ dziś publiczność humor lubi czerpać z książek, zatraciwszy go w życiu, ogłosił przeto p. B. po pomyślném wydawnictwie „Momusa” prenumeratę na „Perły humoru polskiego,“ Starając się o możliwą punktualność w wychodzeniu zeszytów, (których ma być 12) pomija systematyczny i obmyślany na podstawie pewnego planu układ; co się gdzie wyczyta przypadkowo humorystycznego, dawnego lub nowszego, ludowego lub literackiego uważa się za „perłę“ i umieszcza w zbiorze, choćby to nawet była tylko zabawna anegdotka. Wprawdzie „varietas delectat“ ale nie wszędzie i nie wszystkich; p. B. więc o tém, ale zdaje mu się, że takim tylko bigosem potrafi zepsute publiczności podniebienie połechtąć. Sądzimy, że wydawnictwo podobne powinno mieć oprócz efemerycznego i literackie znaczenie, tymczasem wobec tego zasłużyć mu na nie trudno.

Nawet przyjaciele p. Koźmiana, dyrektora sceny naszój, twierdzili z początkiem bieżącego sezonu, że wobec sił drugorzędnych, jakie przeważnie składają personel teatralny, nawet p. Hofmanowa ani p. Szymański nie uratują sztuki poważniejszój, i że teraz teatr krakowski zamieni się niezawodnie w szopkę prawdziwą, do którój tylko chciwi „hecy“ zaglądać będą. Nie wiedzieli snąć co p. Koźmian w głębi duszy kryje a w umyśle waży; nie wiedzieli, że zamyśla jedném pociągnięciem pióra wszystkim sądom o nim jako o dyrektorze teatru i o teatrze raz na zawsze zamknąć usta; nie wiedzieli, że niebawem z pod Jowiszowego pióra wypadnie grom na publiczność samą i na krytykę teatralną, które razem wzięwszy, nazwie delikatnie i innymi słowy ale po prostu hołotą i zażąda publiczności „teatralnie wykształconój,“ któraby jak „monarcha w teatrze panowała.“ A wtedy?!

Podobnym paradoksom jak „dajcie mi tabakierę, a postaram się o nos“ słusznie sprzeciwiła się publiczność przez usta p. E. Lubowskiego i J. I. Kraszewskiego¹⁾. „Teatr kształci i wyrabia publiczność—odpowiada Kraszewski—„teatr musi mieć na celu kształcenie ogółu, dla którego jest przeznaczony— a w pamięci wszystkich przedsięwzięwców i piszących dla teatru powinno stać godło nad proscenium teatru królewskiego w Kopenhadze: „Ej blot til Lyst!“ (nie dla samój rozrywki)!“ Trzeba „mieć chęci dobre, iść w kierunku prostym, pragnąć postępu i gorliwie pracować,“ zaniechać „sztucznego ogrzewania, podniecania, krzepienia,“ bo te „działają chwi-

¹⁾ Patrz „Echo muzyczne i teatralne,“ nr. 1, 4, 5, 8.

lowo tylko jak te lekarstwa, które kosztem ogólnych sił na krótko je wzmagają, aby w przyszłości strawić,“ a wtedy będzie i publiczność. „Dzieła istotnie piękne, wykonywane z poszanowaniem sztuki, z sumiennością, z przejęciem, będą miały siłę atrakcyjną. Nie ściągają tłumów ciekawych i namiętnych nagle, lecz one tylko tę publiczność stworzyć potrafią, która jest tak pożądanym czynnikiem, a całość sama się złoży...”

Mimo to nosił cały bieżący sezon teatralny w Krakowie cechę przeważnie rozrywkową. Rozpoczął się pod dobrą wróżbą, bo w czasie obchodu pamiątki odsieczy wiedeńskiej, przedstawieniem obrazu historycznego Wł. L. Anczyca „Jan III pod Wiedniem.” Oceniano go wielokrotnie i z różnego punktu widzenia; rezultat wszystkich rozrządzeń ten pozostanie, że jakkolwiek obraz ten daleko pozostaje poza „Kościszką,” tego samego autora, ma przecież w epizodach wiele piękności, które mu zapewniają trwałe powodzenie; dowodem tego zapewnienie każdorazowe teatru, ilekroć „Jan III” ukaże się na afiszach.

W nielicznym szeregu sztuk oryginalnych swojskich stawiamy dwa nowe utwory Józefa Blizińskiego „Uczuciowi” (2 akt) i „Ciotka na wydaniu” (1 akt). Znany autor „Pana Damazego” chciał przedstawić w pierwszym utworze (któryby mógł słuszniej nazywać się „Egoiści”) takie typy w naszym społeczeństwie, które pod pozorem ofiarności i dobroczynności egoistyczne swe cele osiągnąć pragną. Pan radca Kochalski oprócz córki Kamili ma siostrzenicę w domu Zosię, która ma znaczny majątek. Jako opiekun rządzi radca majątkiem i kupuje wioskę, głosząc atoli, że to wioska jego; pragnie bowiem córkę wydać lepiej za mąż, a sam—ożenić się z sierotą. Generałowa zaś, znajdująca się w jego domu, pragnie pod pozorem spadku znacznego dla siostrzeńca Floryana, uzyskać dlań dobrą partycję w osobie córki radcy, Kamili. Wzajemne oszukaństwa wychodzą na jaw,—Zosia daje, za przyzwoleniem narzeczonego Karola połowę majątku Kamili, z którą żeni się Floryan, odrzuciwszy odczepne ciotki generałowej, skoro oddała swą rączkę Achillesowi Grzmockiemu ex-porucznikowi. Komedia ta, lubo dobrze zbudowana, nie odznacza się ani dowcipem, ani trafniemi rysami charakterów; postacie niewieście osobiście są dosyć blade. Nie może też wytrzymać porównania z innymi utworami tego autora.

Zato „Ciotka na wydaniu” jest perełką w swoim rodzaju, którą zwłaszcza u nas grą swoją podniosła p. Wojnowska. Młode małżeństwo, August i Emilia używaliby pewnie niezamąconego szczęścia miodowych miesięcy, gdyby nie ciotka Filomena, stara panna bogata, której przez wzgląd na spodziewany spadek i na rentę roczną niepodobna z domu usunąć. Ciotka ta zaś zazdroszcząca małżonkom szczęścia, stara się ich wszelkimi środkami poróżnić, obudzając hydry zazdrości i podejrzeń w sercu żony Emilii. August prawie zrozpaczoony. Przyjaciel jego Hilary, stary kawaler, partner ciotki w maryażu, zdaje mu się być jedynym narzędziem ratunku. Zmyśla więc

przed nim, że ciotka w nim zakochana, przed ciotką, że Hilary do niej wzdycha i doprowadza do tego, że ku obu stron wspólném zadowoleniu, ciotka idzie za Hilarego usuwając się z domu.

Tyle humoru, ruchu, życia a prawdy zamknąć w jednoaktowej komedyjce potrafił tylko Bliziński. Kulminacyjnym punktem jest maryasz, nieporównany maryasz, podczas którego Hilary rozmitowuje się coraz więcej w Filomenie.

Benefisowem przedstawieniem p. Hofmanowej była komedia K. Zalewskiego „Górą nasi!” Po odegraniu téj komedyi tyle pochwał rozbiegło się na wszystkie strony, że bezwątpienia nawet ci w Warszawie, co jéj nie widzieli, mają o niéj należyte wyobrażenie. Autor nie mogąc ocenić rzeczy na rzeczywistych stosunkach krajowych, a nie znając zdaje się, choćby galicyjskich, osnuwa rzecz na fikcyjném ubieganiu się dwóch kandydatów o posadę prezydenta miasta — Pompera żyda, bankiera sprytnego, który nie przebiera w środkach, i Kuryatowicza skromnego i cichego, który wszystko stracił dla kraju, i nie kandydowałby nawet, gdyby nie inni, którzy go do tego popychają. W rzeczy saméj na tle współzawodnictwa można najsmadniej uwydatnić ludzkie charaktery. Tam gdzie przyspieszona akcja potrzebną, gdzie zabiegi o dopięciu celu osłaniają bez słów zamiary i zasady, gdzie namiętności grają wybitną rolę, pokazuje się człowiek takim, jakim jest, a nie jakim się przedstawia w salonie lub biurze, kółku rodzinnym lub przyjacielskim. To też nie dziw, że p. Zalewski wyzyskał tę kanwę, wydobył z tego tła takie żywe postacie, że wydają się nie obrazem, ale płaskorzeźbą. Tworząc komedią nie słów i opowiadań, ale czynów, charakterów, stanął w rzędzie najznakomitszych dramaturgów.

Ta plastyka charakterów ułatwiała artystom zadanie. Wyszczególnił się między nimi p. Frenkiel, p. Podwyszyński—ostatni artysta poraz wtóry zaangażowany do Krakowa, po dłuższym pobycie w Poznaniu, a tego nabytku prawdziwie zazdrościć mogą Krakowowi inne sceny.

Skorośmy rozpoczęli od oryginalnych sztuk polskich, wyczerpmy cały ich dotychczasowy repertuar.

Wkrótce po komedyi p. Zalewskiego ujrzelśmy jednoaktowy dramat p. Jul. Ad. Świącickiego p. t. „U wrót szczęścia.” Kolizyi i akcji tu nie wiele — inwencya prosta polega na kokieteryi Heleny, która szlachetnego i kochającego ją młodzieńca zarówno zwodzi, jak i Artura zużytego cynika; ztąd też słuszną odnosi karę, tracąc obydwóch. Piękność utworu p. Świącickiego leży głównie w zgrabnym i potoczystym dyalogu, napisanym językiem pięknym, nierzadko poetycznym; to też dlatego przeszedł ten utwór bez uczynienia wrażenia głębszego, ponieważ publiczność nie przywykła słyszeć podniosłych myśli ze sceny, słucha ich obojętnie i ziewa, bo—się śmiać nie może.

Nowa spółka lwowska pp. Urbański i Czerwieński, chciała na wzór spółek paryzkich stworzyć całość w komedyi trzyaktowej p. t. „Nieboszczyk.” Dlaczego „Nieboszczyk” skoro żyje, tylko pozwala w siebie wmówić śmiertelną słabość? Sztuka nosićby powinna raczej

tytuł „Emancypowana,” ale autorowie nie chcąc używać tego tytułu, wziętego w liczbie mnogiej do komedyi przez Bałuckiego, uciekli się do błahego pobocznego faktu. Ale mniejsza o tytuł—co chce właściwie ten utwór? O ileśmy zdołali wyrozumieć, pragnęli autorowie podnieść na nowo sztandar emancypacji kobiet i przedstawić w pannie Kamili Trapczance, genewskiej doktorce medycyny, typ jedyny w swoim rodzaju—w realizmie wyidealizowany. Kosztem innych błędnych zresztą postaci wysunęli ją na pierwszy plan i nadawszy jej ostre rysy, ostre ruchy, mężki krok i mężki sarkazm, uczynili wprost niesympatyczną. Może i to prawda, że właśnie kobiety w ostateczności wpadać zwykłe i że taka emancypowana tak właśnie a nie inaczej kaznodziejskim tonem prawiłaby perory mężczyznom jak p. Kamila, i równie jeździła na jarmarki; ale my przywykliśmy tak dalece widzieć w kobiecie i kochać to, czego nam braknie: słodycz, delikatność, wdzięk, urok i poezją, że postać p. Kamili jest nam poprostu wstrętną, i emancypacją w tej formie zupełnie dyskredytuje.

Komedia ta zresztą i fakturą i dyalogiem niepoślednia, przez tendencją niewyraźną i cel chybiony, ukazała się raz na naszej scenie i stała się—nieboszczykiem, który kto wie, czy jeszcze zmartwychwstanie.

Z wesołych jednoaktówek oryginalnych wspomnieć nam jeszcze wypada o L. Świderskiego „Dzieciakach” i Ad. Bełcikowskiego „Balu.” Najpierw o ostatniej.

P. Bełcikowski autor „Mieczysława II” i wielu poważnych dramatów historycznych i komedyi, czy pozazdrościł sławie p. Bałuckiego, czy też kryty od dawnych czasów utwór młodocianego czasu próby chciał wydobyć na jaw, dość że przedstawił „Bal,” w rodzaju balu w „Domu otwartym” Bałuckiego, z tak popularnymi dziś w Warszawie Fikalskimi. Ale że ani rodzaj jego talentu, ani zasób dowcipu nie odpowiedział chęciom, utwór ten jak meteor błysnął i zgasł, zaćmiwszy dymem na czas jakiś poważnego autora i poetę.

„Dzieciaki” L. Świderskiego są jedną z najlepszych prac tego autora, bo najwięcej oryginalną i najwięcej dramatyczną. Linia, podłotek par excellence chce być koniecznie kochaną; znalazłszy na schodach liścik miłosny, odnosi go do siebie i domyśla się w jego autorze Munia, nad którym ma opiekę jej dziadunio. Ale Munio jest autorem listu tylko innego,—żąda on bowiem od opiekuna pozwolenia na obstawanie sobie u krawca nowego tużurka. Linia sądząc, że on przychodzi prosić o jej rękę, wprowadza siebie i jego w arcy pocieszoną kolizję, kiedy wreszcie wszystko wychodzi na jaw i ona widzi się skompromitowaną—urojeniem. Autor wlał tyle humoru naturalnego w ten mały obrazek, namalował tak zręcznie typ podlotka i niedorostka, że prawdziwie nie ująć, ani nie dodać nie można. Tak jak są, te trzy postacie stanowią pyszną grupę, która obrazkowi p. Świderskiego zapewnia trwałe powodzenie.

„Wróżka” Niszela była pierwszą w tym sezonie przełożoną sztuką

ką. Co spowodowało jej wybór?—trudno odgadnąć, chyba potrzeba przedstawienia rzeczy nowój a brak właśnie nowości. Nudniejszych bowiem patetyczno-dramatycznych tyrad nie słyszeliśmy na scenie, i choćby „wróżka” Małgorzata jeszcze raz tak była tragiczną i uległa prześladowaniu, z trudnością zyskałaby naszą sympatyą, i nie wyjaśniłaby przyczyny, dlaczego ją autor właśnie wybrał za przedmiot do udowodnienia, że ludzie tych, którzy ich czémkolwiek przewyższają, prześladują aż do śmierci, którą zwykle powodują. Efektów utworowi nie brak, ale zużytych; zresztą chwilowe powodzenie mogła sztuka uzyskać tylko przez grę p. Kałużyńskiej, która siła się ile mogła, aby być tragiczną.

Nowości francuzkie przyniosły nam niezłą komedią p. G. Moreau, (nieznanego zresztą autora) p. t. „Sprzymierzeńcy.” Na tle salonowych intryg i walk o rękę bogatej panny, o którą się dwaj rywale ubiegają, popierani przez swoje „sprzymierzone”—osnuł autor gładką całość artystyczną, okraszoną salonowym dowcipem i pełną humoru. Tego rodzaju utwory odpowiednie do sił istniejących wychodzą zwykle dobrze z pod ręki reżysera, zwłaszcza jeżeli w rolach salonowych znajdują się p. Hofmanowa i p. Sobiesław.

Antitezą prawie, co do strony moralnej są „Soboty,” pp. Labiche et Duru—soboty, tak różne w rozmaitych epokach życia ludzkiego. Zakazany owoc smakuje—toż i p. Hermoze z p. Leonem Jacotel spędzają miłe „soboty,” wczasie gdy p. Hermoze kłępują związki małżeńskie. Inaczej wyglądają te „soboty,” gdy wdówka p. Hermana zaślubiła ukochanego i—poczęła go nudzić, a nudzić tak straszliwie, że „Divorcions!”—zawołała oboje i tak, jak w znanėj komedyi W. Sardou rozwiedli się; zateśknawszy atoli za sobą, potajemnie i pociesznie znowu urządzają sobie „soboty,” które ich łączą. Pomysł to nie oryginalny jak widzimy, ale dał sposobność spółce znanėj do utworzenia scen żywych, zręcznie zestawionych, do rozsypania dowcipu nieraz zbyt słonego, ale dla zepsutych podniebień pożądanego.

Na granicy między komedią a farsą stoi „Fortel Artura” pp. Duru et Chivot potrzebny bohaterowi p. Arturowi do „odkochania” baronowej, która mu przeszkadza. Fortel to powszedni i lichy—przebrać się w suknie lokaja, a dać lokajowi swoje,—ale pp. autorowie francuzcy umieją na lada drobnostce osnuć całą tkaninę, wprawdzie pajęczych bardzo sytuacji, kolizyi, dowcipów i zbliżywszy postaci główne do karykatur, wywołać śmiech serdeczny, którego się u nas szczególnie pożąda w teatrze, aby się „zabawić.”

Z tego względu pojmujemy, dlaczego podobala się płaska farsa Fabriciusa „Telegrafem,” która jest przez trzy akty konglomeratem głupstw, szalonych błazeństw i przesadzonego komizmu, nie pozwalających się pchamować od śmiechu.

Poważniejszego kroju jest nakoniec obraz historyczny p. Catulla Mendez p. t. „Dwie matki,” osnuty na tle naszych stosunków z końca zeszłego stulecia. Brak znajomości dziejów i stosunków społecznych ośmiesza utwór p. Mendeza przed publicznością polską; modny

bowiem prąd w literaturze francuzkiej, posiłkowania się typami polskimi lub rosyjskimi naprowadził go na sposób zawiązania silnej kolizyi obowiązków krwi, ale mu zarazem nie podał sposobności do zapoznania się z aktualnymi stosunkami, i w sferze intuicyi i fantazyi go pozostawił.

Z wznovionych utworów wspominamy p. Birch Pfeiffer „Noc balową“ utwór bardzo słaby i głośną komedią Beaumarchai'go „Wesele Figara“ na dochód p. Arwina.

Pominęliśmy i w oryginalnych i tłómaczonych utworach te, które w tym samym czasie lub nie wiele później poznała Warszawa, jak np. Jordana „Słomianego człowieka“ i „Przy Kolei“—Kościelskiego „Prelegenta“ i Gawalewicza „Bibińskiego“—Staszczyka „Wiare, miłość i nadzieję“ Schobera „Podróż po Warszawie“—Fr. Rüsa „Rodzinę Furiozów“—sądząc, że szanowni czytelnicy albo sami je znają albo z pism warszawskich obszerniejsze czytali sprawozdania.

Patrząc bezstronném okiem na cały ten repertuar, obejmujący w przeciągu niespełna pół roku do 30. sztuk nowych lub wznovionych, wyznać musimy, że praca artystów teatru krakowskiego jest podziwienia godną, zwłaszcza jeśli zauważymy, że są tacy, bez których żadna nowość się nie obejdzie jak np. pp. Szymański, Podwyszyński Sobiesław. A jeżeli z jednej strony jestto pracą nad miarę, czy z drugiej można choćby przypuścić, aby artysta taki mógł wystudyować w zupełności powierzoną mu rolę, i czy młodsi i adepci sztuki mogą stosownie czynić postępy? Teatr krakowski był w rzeczy samej ongi szkołą dramatyczną polską, ale wtedy, gdy w nim królowali pp. Rychter, Ładnowski, Benda,—panie Modrzejewska, Hofmanowa i Parznicka; dziś jest on tylko przedsiębiorstwem zużywającym i wyzyskującym środki do osiągnięcia swego celu. To też nie dziw, że artyści lepsi, młodsi pragnąc się kształcić a nie związani żadnymi stosunkami z Krakowem, ulatują z niego chętnie, skoro się tylko nadarzy sposobność.

Że dyrekcya ma na celu tylko ściąganie liczne publiczności do teatru bez względu na jęj moralną korzyść, świadczy o tem repertoar złożony wyłącznie z lekkich komedyi i fars, nieraz (jak „Telegrafem“ i „Podróż po Warszawie“) bardzo niskiego rzędu. Schlebianie takie gustom niewybrednym znarowionej publiczności rozpoczęło się wybitnie w miesiącach jesiennych, kiedy przez pewien czas gościł w mieście naszym cyrk Kembsera, w którym dyrekcya ujrzała niebezpiecznego współzawodnika i wszelkimi sposobami starała się ściągnąć do siebie cyrkową publiczność, degustując jęj cyrk przedstawianiem, że budynek niebezpieczny, konie brzydkie i clowny nie zabawne... A propos owych clownów słyszeliśmy (za autentyczność atoli ręczyć nie możemy) że p. Koźmian miał zamiar zaangażować ich do swęj trupy dla tem łatwiejszję z cyrkiem konkurencyi, ale stanęła temu na zawadzie techniczna przeszkoda, a mianowicie zbyt szerokie szpary w podłodze scenicznję, przez które przesypywał się ulubiony clownom

piasek i—błoto... Dla niedoszłej do skutku umowy postanowił p. K. w swoim personalu pielegnować w tym kierunku objawiające się talenta...

Publiczność inteligentna zawdzięcza parę poważnych wieczorów tylko benefisom artystów. Oto p. Hofinanova wprowadziła komedią Zalewskiego „Górą nasi“ a p. Podwyszyński wznowił nie mniej dobrą a może poniekąd i piękniejszą tego samego autora: komedią „Przed ślubem“—panna Kałużyńska odgrzebała Szujskiego „Halszkę z Ostroga“ a p. Arwin Beaumarchais'ego „Wesele Figara“.—Gdzie gust dyrekcyi wkracza jak np. w benefis protegowanej p. Sułkowskiej, tam pojawiają się znane szopki jak „Ubodzy w Paryżu“.

W obec tego stanu rzeczy niepodobna nawet postawić sobie zapytania, dokąd przy podobnym kierunku sceny zajdziemy i dlaczego kraj znaczną na swe fundusze sumą popierać ma podobne przedsiębiorstwo...

W małej salce Sukiennic zwanéj „Langierówką“ udekorowanéj gustownie i przybranéj kwiatami, wystawiono Matejki odrestaurowane „Kazanie Skargi“ po prawéj, a po lewéj zaś stronie niewielki najnowszy obraz „Wernyhora“. Ci którzy tak przywykli do chwalenia wszystkiego co z pod pędzla Matejki wyszło, że ujrzeliby niezwykle piękności nawet w bohomazie, byleby z monogramem tego mistrza, prawią o niezwykłym wrażeniu, jakie „Wernyhora“ wywołuje w widzach, widzą spotęgowane zalety pędzla, siłę, kolorytu itd. słowem superlatywy oklepanych frazesów. Słyszac te sądy, stanęliśmy nprzedzeni przed obrazem i nie wiedzieliśmy w piérwszój chwili co więcéj podziwiać, czy naiwność czy małpiarstwo i bezmyślność tych heroldów. Obraz niewielkich rozmiarów przedstawia Wernyhora w postaci siedzącej: jedną ręką przysłania czoło, druga jest wyrazem gwałtownego giestu. Na kolanach leży jego świtka, u stóp lira. Z prawéj strony podtrzymuje go jedna postać, jeden Zaporoziec uzbrojony patrzy wni ciekawie, a bliżéj w całej postaci siedzący starosta Kaniowski spisuje przepowiednie; poniżéj mały chłopiec uzupełnia grupę. Po lewéj u dołu siedzi nieruchomy i w dal zapatrzony pop, powyżéj klęcząca młodyca z wyrazem przestachu i podziwu wpatrzona w Wernyhora nachyla się ku niemu, za nią młojec stojący i kilka na dalszym planie osób. Nad głowami nietoperze—scena przy pełni księżyca, który tuż nad głową Wernyhory całą tarczą błyszczy—Nie możemy się wdawać w krytykę tego dzieła, ale to nadmienić musimy, że Wernyhory wyraz wydał się nam raczéj przestachem, gwałtowném wzburzeniem, niż zachwyceniem wieszczą, który przewiduje przyszłość. W braku perspektywy księżyc wydaje się przylepionym tuż nad jego głową jak lampion oświecający grupę; bo gdyby w należytym perspektywicznym oddaleniu był poza głową Wernyhory, jakim sposobem grupa osób i przedmioty znajdujące się przed Wernyhora bliżéj ku widzowi, mogłyby występować w takim oświetleniu i w pełni światłocienia,

i gry barw. Wszak z drugiej strony słońce ich nie ozłaca, boć nie-
toperze siedziałyby jeszcze w kryjówkach a nie unosiły się nad głowa-
mi osób. Otóż to zaniedbanie warunków fizycznych przy przedsta-
wieniu sceny w blasku księżycy a w oświetleniu dziennym, uważamy
za błąd kardynalny, który tylko tego nie uderzy, kto widzieć nie chce.

Odwrociwszy się w drugą stronę, wpatrywaliśmy się długo w „Ka-
zanie Skargi.“ Co za różnica we wszystkim, w traktowaniu całości
i szczegółów! Kiedyśmy potem spojrzeli jeszcze na „Wernyhore“
wydał się nam jeszcze słabszą kreacją. Czy nie za śmiałe było to
zestawienie naprzeciw siebie dwu tych obrazów?

Trzy portrety: dwu pańienek (jedna czy obiedwie córki mistrza?)
i syna małego na koniu ustawione w środku ku wchodowi. Jedna
blondynka, druga brunetka występują obok siebie jakby dla kontrastu,
zamykając w sobie wszystkie zalety Matejki w portretowaniu i—wady
w zbytecznym uwydatnianiu muszkułów.

Chłopczyk na koniu jest bardzo miły, tylko koń—niech nam
mistrz wybaczy—jest tylko manekinem. Nogi rozstawione (może
przez zapomnienie) jak u kobylicy, głowa spuszczone jak u zerwane-
go konia pociągowego.

Jak wiadomo, pracuje obecnie Matejko nad „Wjazdem Joanny
d'Arc do Rheims.“—Ma to być jakieś mistyczne wcielanie idei wielkich,
jakaś allegorya, symbolika... Czyż talent mistrza miałby się mieć ku
schyłkowi?

Talent Matejki przeszedł w spuściźnie na dwóch jego najzdol-
niejszych uczniów Wł. Rossowskiego i J. Krzesza. Uprzejmości pier-
wszego zawdzięczamy miłą chwilę, jakąśmy spędzili w jego pracowni
przed blizkiem ukończeniem wielkich rozmiarów obrazu „Wjazd Ja-
dwigi do Krakowa.“ Lewym brzegiem Wisły jedzie Jadwiga na ko-
niu w orszaku duchowieństwa i dygnitarzy, który się grupuje około
i poza królową po lewej stronie obrazu. Po prawej, więcej na drugim
planie widać uroczystą procesję duchowieństwa krakowskiego z ce-
chami, spieszącą na przywitanie wnuka ostatniego Piasta. Lud ciśnie
się naokoło, aby słynną z wdzięków i urody młodziutką zobaczyć
królową; brzeg Wisły zapełniony ciekawymi, wierzba nabrzeżna omal
się pod nimi nie unie, a tuż pod nią przybija łódka rybacka z ro-
dziną mieszczańską; młody rybacki chłopak, w sukmanie krakow-
skiej, ciągnąc wici, wspina się na brzeg. Tło stanowią w perspe-
ktywie baszty Wawelu i kościołów wieże, w pierwszym rzędzie Ma-
ryackiego. Z całego obrazu wieje uroczysty spokój; wszystka uwaga
skupia się około królowej, która na pięknym rumaku siedząc w zło-
cistej sukni i z koroną na skroni, otoczonej rozpuszczonymi włosami
kruczymi, tworzy wspaniałą i sympatyczną zarazem postać. Twarz
piękna o wydatnym profilu zdaje się uśmiechać uciechą na widok nad-
ciągającej procesji z Krakowa. Darmoby się rozpisywać o zaletach
tego obrazu, który prawie do ostatniej linii, do drobnego szczegółu
wykończony, imię twórcy „Skazanój“ pewnie opromieni.

W sposobie traktowania przedmiotu i przedmiotem samym wię-
cój się zbliża do Matejki p. Krzesz, którego „Bitwę pod Orszą“ (1508)
na kilka dni wystawioną mieliśmy sposobność oglądać. Nie jestto
właściwie bitwa, ale przeprawa przez rzekę tegoż nazwiska. Dziarskie
postacie wojowników, ruch i życie, przedstawione świetnie, ale pod-
nioślejszego nie odnosi się wrażenia.

Z salonu Tow. przyjaciół sztuk pięknych mamy do zanotowania
kilka uwag o znajdujących się w nim dziełach. Historyczne malar-
stwo, reprezentowane bardzo słabo i to tylko właściwie przez jeden
obrazek W. Wolskiego „Ks. Józef Poniatowski pod Lipskiem“ bo drugi
p. B. Abramowicza „Zygmunt August dyktujący testament“ zbliża
się raczej do rodzajowych. O jednym i o drugim nie wiele da się po-
wiedzieć; p. Wolski widocznie nie wyraźnie miał uformowany pomysł
w głowie, kiedy się zabrał do jego wykonania,—p. Abramowicz zaś
przedstawił w całej okazałości swój talent dekoracyjny, ale ponad to
nic więcój. Fotel, na którym Zygmunt August półleżąc spoczywa,
dywan, którym pokryty stół—suknia na królu i pantofle, szuba piszą-
cego Augustyna Rotundusa, wójta wileńskiego—wszystko, aż do gu-
zika i najdrobniejszego fałdu wystudowane i wykończone z praco-
witością, godną lepszego przedmiotu. Bo zresztą tak król jak i jego
sekretarz nie mają wyrazu takiego, jaki w podobnie uroczystej chwili
musi się na najobojętniejszej odmalować twarzy, ale patrzą się na
siebie jak manekiny. Twarz króla schorzała, całe ciało znać, że
wątkę, ale równie możnaby sądzić, że to pacjent, któremu lekarz za-
pisuje lekarstwo. Szczęściem, że artysta wyraźnie wypisał na perga-
minie Rotundusa: „My z Bożej łaski Zygmunt August król... i t. d.”

W rodzajowych obrazkach „Zamurowanie zakonnicy“ Grochol-
skiego, jest przedmiotem samym tak przykuwającym, że długo oderwać
się nie można od obrazu. Myśl przenosi się o kilkadziesiąt lat wstecz
i mimowoli przypominając sobie historią Barbary Ubryk, bolejemy
i cierpimy z piękną grzesznicą, która zdaje się nawet w murarzu
budzić litość.

Bardzo miłym jest obrazek Sokołowskiego „Polowanie na kac-
ki,“ W „Zaprzędaniu Józefa“ obrazie większych rozmiarów, artysta
ten dowiódł niemałego talentu, ale odsłonił i wady, osobliwie w kolo-
rycie.

P. Hercisz dał dwa obrazki: jeden „Na wadze,“ przedsta-
wiający ważącą się młodą kobietę, jest mimo sympatycznej twarzy—bez-
myślnym; drugi „Indygacya (sic!) u wójta“ ma więcój zalet; znać więcój
życia i znajomość ludu.

Wielogłowskiego „Z nowinami“ i „Konic na stepie,“ są przede-
wszystkiem nie złymi studyami tych szlachetnych zwierząt na tle kraj-
obrazu zimowego.

Do tego rodzaju zaliczyć musimy niezły obrazek Makarewicza,
przedstawiający burzę oddaloną w górach, miły obrazek M. A. Lu-
bieńskiej „Kopcuszek“ i pejzażowy widok p. Mroczkowskiego p. t.:

„W parku.“ Piotrowskiego „Na przedmieściu,“ nie odznacza się niczém.

Stanowczo się wyróżniają i myślą i sposobem malowane: Koza-kiewiczza „Nowoczesna Telimena,“ przedstawiająca zalotną dziewczycę, podnoszącą wśród traw leśnych sukienkę, aby pokazać zgrabną nóżkę przejeżdżającemu; i Krajewskiego „Szwaczki,“ epizod z dziejów niedoli i ciężkiej pracy.

Ludowe życie posłużyło kilku artystom za temat do obrazków o rozmaitej wartości. Alchimowicza „Niewinna zabawka“ dziewczyny ze stokrotką jest za konwencyonalna, Wankiego „Przed chatą,“ ma za temat zbyt zużyty motyw. Z przyjemnością przeciwnie zatrzymaliśmy się przed niewielkim obrazkiem p. L. Bierkowskiej „Nad wodą.“ Kobięta wiejska zabiera się przy brzegu rzeczutki do prania bielizny; na brzegu igrają małe dzieciaki, w głębi chata i stodoła w otoczeniu zieleni. Nie mówiąc o poprawnym rysunku, podnieść musimy naturalny pejzażu koloryt i miły ton, jaki od razu zyskuje widza. Zdaje nam się, że artystka pracowała nad tym obrazkiem *con amore* i wyzyskała znajomość ludu i poezją powszedniego, ale uroczego życia w zupełności. Widzieliśmy tej artystki różne studia typów ludowych, obok innych kompozycyi i śmiało możemy twierdzić, że pierwsze brały zawsze górę. Czy nie na tém polu powinnyby artystka szukać rozwoju swego talentu? Pole bardzo wdzięczne... Drugi obrazek tej samej artystki równie z życia ludowego p. t.: „Przy misce“ traktowany z humorem, posiada nie mniej zalet, ale może zbyt realistyczny.

Między portretami góruje jak zwykle Andrzej Grabowski w portrecie starszej kobiety i mężczyzny. Po nim należy się pierwsze miejsce Merwarta portretowi H. Modrzejewskiej i trzem zachwycającym, na drzewie malowanym sylwetkom damskim. P. Eydziatowiczowa wystąpiła z trzema portretami, z których żebrak może najlepszy; dama młoda i chłopiec są wprawdzie „jakby malowani“ ale bez wyrazu.

Reichama dwa studia: Żydówki marokkańskiej i Paryżanki, cełują trafną charakterystyką i świetnym kolorytem; p. Kruszewski dał również studia dwu dziewcząt, które malowane słabo i do tego niefortunnie obrane jako modele, bo brzydkie, podobać się nie mogą.

Akwarela Kossaka „Hasło i odzew“ do poematu J. Bołozza Antoniewicza, jest piękną tego utworu ilustracją, może nawet od niego piękniejszą; Fałata „Zinudzinki strojące się w niedzielę do kościoła,“ są bardzo miłe i każą podziwiać talent tego akwarelisty.

Rysunki kredką i sepią Sokołowskiego i Stachewicza—pierwszego: „Zebracy przed kościołem podczas i po nabożeństwie,“ drugiego allegoryczna „Noc“ są w swoim rodzaju arcydziełami.

Rzeźba jak zwykle kryje się po kątach. Nie wielu mając przedstawicieli, szczerpło się przedstawia ale za to w niepoślednich utworach. Welońskiego „Bojan“ jest wspaniałą kreacją, w której talent artysty spotę-

gował się niepomiernie; protoplasta lirników ukraińskich siedząc na pniu, uderza w struny gęśli jako akompaniament pieśni o czynach wielkich książąt Rusi. U stóp jego postać młodego pacholęcia wpatruje się weń jakby chcąc przejąć natchnienie, co przez wieszczka przeciska się usta.

Zosia z „Pana Tadeusza“ doczekała się ilustracyi w gipsie. Panna Roźniatowska przedstawiła ją na parkanie, z papilotami nad czołem i w negliżyku—zupełnie wiernie do słów poematu wymodelowała postać bez zarzutu: szkoda tylko, że twarz przedstawia się za staro.

P. M. Guyski wykuł odrazu w marmurze biust poety Asnyka (Ely'ego). Kto zna tę sympatyczną twarz, z głęboko osadzonymi marmurzącymi oczyma, ten musiał być uderzonym tym nadzwyczajnie trafnie uchwyconym wyrazem twarzy i mistrzowsko wykutym biustem.

Pleszowskiego biust Jana III mimo starannego wykończenia nie ma charakterystyki wybitnej i przedstawia Jana III. w młodszym wieku, aniżeli mógł być zostawszy królem.

Skończoném dziełem jest наконец biust mężczyzny w terrakocie p. Barącza, zdjęty z jednej znaniej postaci krakowskiej. W Salce wstępnej oglądaliśmy również w bardzo gustownych ramach medalion Mickiewicza wyrzeźbiony w tym samym kawałku drzewa. Podobieństwo rysów zupełne, sposób wykonania bardzo delikatny. Autorem jest p. Przebindowski.

Na zakończenie kilka słów o koncertach i karnawale.

Sezon muzyczny był bardzo obfity i produkcyje niepowszednie i przez niepowszednich przedstawiane artystów. Panna Reszkówna i p. Mierzwiński rozpoczęli go we wrześniu, panna Janothówna przyłączyła się godnie do téj pary i kilkakrotnie budziła entuzjazm melomanów. Potem dał dwa koncerty p. Barcewicz, przesunęła się i p. Artôt z p. Padillą i Schaellingiem, odwiedził nas znowu p. Z. Noskowski, a nakoniec w ostatnim czasie zachwyił Sarasate. W porównaniu z ubiegłymi laty ruch ten muzyczny przedstawia się najpokaźniej i jest może objawem podnoszącego się u nas wykształcenia muzycznego.

Karnawał tegoroczny lubo znacznie dłuższy od poprzedniego, zawiódł oczekiwania. Bale, które dawniej wrzały życiem, były obecnie dosyć słabo ożywione; domowe kuligi i pikniki nie miały cechy téj szczerój ochoty i wesołości jak dawniej. Miałożby to być symptomem zwrócenia się umysłów ku poważniejszym przedmiotom? Wątpimy. Niewątpliwie zaś wpłynęło na zubożenie ogólne ubóstwo lub potrzeba rachowania się z dochodami, boć przecież nie każdy chce dziś się bawić a jutro ostatnią rzecz kosztowną nieść do lombardu krakowskiego. Rachujmy się, rachujmy a—może będzie lepiej...

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA *).

Uroczystość akademicka: przyjęcie pana Pailleron. — „Francuzi w Polsce,” konferencya pana Jasiewicza.—Wystawa w muzeum botaniczném: ryby i zoofity odkryte na dnie morskiém.—„Historya uczonego przez nieuka.”—Postęp w zastosowaniu metod Hoëne Wrońskiego.—Obrazy pana Merwarta na wystawach w Bostonie i Nicei. — Apoteoza Gustawa Doré, przez pana Motty.

W drugiej połowie stycznia Akademia francuzka przyjmowała uroczystie p. Pailleron, w miejsce Ludwika Blanc; odpowiadał nowemu członkowi Kamil Rousset. Była to prawdziwa uczta akademicka: obaj mówcy przeszli powszechne oczekiwanie, każdy z nich wyszedł z właściwego sobie charakteru, i pokazał się z nowej, nieznannej strony. Pailleron utalentowany komedyo-pisarz, który umie pochwycić słabości serc i rozumów ludzkich i z taką oddać je werwą, ujrzawszy się pod kopułą pałacu Mazariniego, w obec posągów Bossueta i Kartezjusza, zmienił zupełnie ton, z żartobliwego stał się poważny, z ziemskich dróg, po których zwykle krąży, wzbil się rączym połotem w wysokie sfery idealnego piękna. P. Rousset przeciwnie, poważny biograf ministra Louvois, z wyżyn dziejowych zstąpił na deski teatralne i okazał się równie biegłym krytykiem scenicznych utworów, jak i znawcą serc ludzkich.

Piękne pole znalazł Pailleron do rozwinięcia krasomówczego talentu: miał ocenić zasługi Karola Blanc, najgłośniejszego z tegoczesnych estetyków we Francyi. W kilku gorących słowach opowiedział trudy i wysiłki chciwego nauki młodzieńca, zapory jakie tainowały mu drogę, długoletnie walki, zakończone świetnym tryumfem.

„Kiedy wstępujemy w życie, rzekł mówca, podobni jesteśmy zazwyczaj do tych wędrownych ptaków, co nagle wypuszczone z klatki, krążą długo pod niebem, szukając na widnokręgu przyszlęj drogi. Karol Blanc, szczęśliwszy od wielu, poznał natychmiast drogę swoją, poszedł nią śmiało i nie zboczył z niej przez całe lat czterdzieści.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za miesiąc marzec r. b.

Ani ubóstwo, z którym najprzód walczyć musiał, ani powodzenie w dalszych napotkane latach, ani świetne widoki, otwierające się przed nim wskutek politycznych przewrotów, nie zgoła nie zbiło go z tropu, ukochał sztukę, służył jej z zapałem, służył do ostatniego tchnienia.“

Karol Blanc był młodszym bratem Ludwika, znanego ekonomisty. Ojciec ich, powołany do Hiszpanii przez króla Józefa Bonaparte-go, zajmował tam wysokie stanowisko. Z upadkiem Napoleona zmieniło się położenie rodziny. W lat kilka potem matka umarła, ojciec dostał pomieszania zmysłów. Dwaj dorastający synowie musieli twarzą pracą zarabiać na chleb i przebojem wyrabiać sobie stanowisko. Ludwik, obdarzony różnostronną zdolnością rzucał się na rozmaite drogi, przepisywał akta, dawał korepetycje, pisał nawet wiersze, wieńczone po konkursach, ale szczególny pociąg wiódł go do polityki. Badał pilnie historią, pragnął zaciągnąć się do dziennikarstwa. Karol tymczasem, party niezwykłą siłą na pole sztuki, wszedł do pracowni Calamatta, później Pawła Delaroche. Nie został wprawdzie malarzem, ale nabrał teoretycznych wiadomości, które na polu krytyki dzielnie mu posłużyły.

Mieszkali obaj bracia w ciasnej izdebce na poddaszu. Czasami zabrakło lekcyi, protektorowie opuścili Paryż; wtedy ubóstwo zmieniło się w najstraszliwszą nędzę, tém dotkliwszą, że wychowani w dostatkach, kryli się z nią jak z grzechem. Gotowi byli nieraz rzucić pióro i zabrać się do rzemiosła, lecz brakło im na to odwagi. Grosz krwawo zapracowany, starczył ledwie na odpędzenie głodu. Trzeba było samym gotować obiad, a co gorsza samym kupować prowianty. Jakże tu wyjść na ulicę, jak spojrzeć w oczy ludziom, w podartych butach i dziurawej odzieży? Karol poświęcał się dla brata, on szedł zawsze na pieńszy ogień. Zakochany w sztuce, znosił odważnie nędzę. Ludwik przeciwnie zżymał się przeciw społecznym ustawom, przeklinał ślepotę powszechną, marzył o reformach, pragnął zaprowadzić nowy porządek w świecie.

Powoli jednak, widnokrąg zaczynał się rozjaśniać; bracia po twardych próbach, stanęli nakoniec o własnej sile. Trafnie Pailleron charakteryzuje osobistość starszego. „Ludwik Blanc, mówi on, był zarówno literatem jak politykiem, a co więcej był idealistą. Żarliwy uczeń J. J. Rousseau, należał do tej szkoły wymownej i sentymentalnej, zanadto francuzkiej niestety, która pragnie bardziej poruszać niż przekonywać, a której deklamacya zastępuje miejsce argumentów, głaszcząc raczej ucho pięknym słowem, niż przemawiając do zdrowego rozumu.“ Przyszedł on w swoje porę. Było to w r. 1840, w czasach romantyzmu politycznego. W obec społeczeństwa porwanego jakimś ogólnikowym humanitaryzmem, jął przedstawiać teorye, oparte na bezwzględnej sprawiedliwości; wówczas to rozpoczął szermierkę przeciw rządowi Ludwika Filipa, która podjęta przez pisma i dzienniki, wstrząsała tronem, i sprowadziła przewrót r. 1848. Ludwik Blanc

pochwycił wtedy władzę, lecz drogo okupił chwilowy tryumf, dwudziestoletniem wygnaniem.

Karol, oderwany od brata, z którym nigdy się nie rozłączał, uczuł dokoła siebie wielką próżnię. Zapełnił ją systematyczną pracą: porzucił wtedy pędzel, oddał się z zapałem estetycznym badaniom. Wystąpił naprzód z biografią Ingesa i Rembrandta, następnie wypracował dzieło wielkiej wagi: „Historią malarzy,” olbrzymie muzeum, obejmujące wszystkie szkoły od czasów Odrodzenia do dni naszych; każdą epokę autor poprzedza wstępem, pełnym filozoficznych poglądów. Wstęp do „Historii malarstwa holenderskiego,” uważany za arcydzieło. Wyżej jeszcze stawia Pailleron późniejszą pracę p. t.: „La grammaire des Arts du dessin,” którą Ludwik Blanc zbudował sobie najwspanialszy pomnik. Ocenienie nowego akademika zasługuje na szczególną uwagę: powtarzamy je za nim.

„Wielka ta praca składa się z dwóch części: w pierwszój Karol Blanc zebrał i ukłasyfikował z benedyktyńską cierpliwością i erudycją wszystko, co inni powiedzieli w tym przedmiocie: w drugiej wyklada własną teorią estetyczną.

„Estetyka, mówi Pailleron, przysła do Francji z Niemiec, kraju ogólnikowych teorii, z tój ojczyzny ludzi praktycznych. W twórcy jój, Baumgartenie, a później w Schellingu i Schillerze, nauka ta była tylko zbiorem mglistych i rozpierzchłych spekulacji, bez jednolitego wątku, bez myśli jasno wypowiedzianej. Ale w owych czasach Francuzi puszczali się niekiedy za Ren, w poszukiwaniu nowych idei. Mistrz francuzcy znaleźli tam świat estetyczny w stanie chaotycznego zamętu; jasnym umysłem przeniknęli go na wskroś, tchnieniem piersi własnej rozproszyli męty; dzięki im światło się stało; nebuloza rozbłysła gwiazdą.

„Wielu rzeczy dziś nam odmawiają, ciągnie mówca, nie mogą przecież zaprzeczyć nam jasności, ładu, logiki: to wrodzone zalety nasze, każdy rozumie nas gdy piszemy. Pod tym względem Karol Blanc jest krytykiem francuzkim, prawdziwie francuzkim, a do tego oryginalnym. Estetyka jego ma na celu ideał Boski, za podstawę bierze objawienie. Według niego, piękno, szczytność, są to pierwiastki abstrakcyjne, siły niezależne od człowieka.

„Sztuka jest religią, mówi Blanc, gdyż piękno jest odbiciem Boga samego. Wszelka prawda, obwinęta w piękną formę, pokazuje, a zarazem przysłania nam nieskończoność, odkrywa i pokrywa wiekuiste piękno.“ Piękno, mówi dalej, to gwiazda prowadząca ród ludzki: aby ją dojrzeć, człowiek musi spoglądać w niebo. Ideał, to boski prototyp wszelkich stworzonych istot. Żyje on w nas, jakoby wspomnienie widzianej niegdyś doskonałości, jakoby nadzieja, że ją kiedyś ujrzemy jeszcze.“ Co do szczytności, (sublime), ta zdaniem Blanka unosi się na zewnątrz nas, ponad nami; jeżeli człowiek osiągnie jój wyżyn, to chyba mimo woli, gdy dusza jego zadzwoni, potrącona chwilowo tchnieniem Bożem.

Nowy Akademik silnie pochwyca sztandar poprzednika, i w imię sponiewieranego idealizmu, wyrzuca z piersi gorzką skargę.

„Dałby Bóg, zawołał, abyśmy mieli więcej takich jak on, zagorzałych szermierzy, zwłaszcza w chwili dzisiejszej, którzyby zwrócili mogli z krzywych dróg zabłąkane talenta, i przyprowadzić zbuntowane talenta, i przyprowadzić zbuntowane jednostki do poszanowania tych praw, nieśmiertelnych jak prawda, prostych jak zdrowy rozsądek, a których jedyną winą, że świat mieni je od wieków sprawiedliwymi.

Niechby wyrzekli do tych rewolucjonistów sztuki, którzy gwałtowność biorą za siłę, nieuctwo mienią nowatorstwem, rachubę posuwają do zuchwalstwa; niechby wyrzekli do nich, że sztuka nie może obejść się zarówno bez nauki jak i bez smaku, że, dając poznać prawdę, powinna nie mniej przynosić i pociechę. Słowem: czynić wszystko igraszką temperamentu, wyrokować, że wyuzdanie nazywa się potęgą, grubiaństwo śmiałością, — sprowadzać w malarstwie obraz do szkicu, pod pozorem odebranego wrażenia, (impressyi), lub do karykatury, pod pozorem realizmu; zniżyć w literaturze wzniosłe badanie duszy ludzkiej do medycznych spostrzeżeń, jakiejś fantastycznej patologii; wymyślać ohydne brzydoty, podnosić plugastwa, rozgrzebywać bezceństwa, posuwać się na téj drodze aż do obrzydliwości, oswajając ogół ze stekiem cynicznych obrazów, odbierając mu wszelki wstyd, wszelkie poczucie godności własnej; zmieniając starą dewizę: „coraz to wyżej!“ na inną: „coraz niżej,“ czynić to wszystko, co czyni nowa szkoła, to jest nie rewolucya, ale zamach na sztukę!

„Lecz to przeminie, dodaje mówca, dziś już zaczyna przemijać. Po tym smutnym upadku nastąpi świetny odwet. Nie rozpaczajmy ani o zdrowym rozsądku, ani o wytwornym smaku w narodzie, któremu nie brak ani zdolności ani woli: brak tylko przewodnika i wysokiego celu. Wszystko to minie, przestańmy tylko patrzeć wyłącznie na ziemię, a ujrzym znow tę gwiazdę, o której mówi Karol Blanc, że musi przewodniczyć ludziom; aby ją dostrzedz potrzeba spojrzeć w niebo.“

Pan Rousset w odpowiedzi swojej, szczuplejsze miał pole do rozwinięcia znanego już daru wymowy. Rozbiera on szczegółowo komedye Paillerona, daje poznać tryskające z nich życie, panującą w nich myśl zdrową, głęboką znajomość serc i charakterów, a przytem wielkie obeznanie z tajemnicami sceny. Przebiega kolejno cały szereg sztuk, które w latach ostatnich, tak żywo zajęły publiczność paryżką i tyle wywołały oklasków, jak: „Fałszywe stadło“ „Drugi popęd“ „Deszczyk“ „Wiek niewdzięczny“ „Iskierka“ „Świat zabawy“; a na koniec „Świat nudów.“ W tych wszystkich komedjach, słusznie mówi p. Rousset, autor w jasnym świetle stawia zwykle kobietę, podnosi zdrowy jej rozsądek, a często gotowość do ofiary. W każdej niemal z tych komedyi, kobieta występuje w roli dodatniej, sprowadza na prostą ścieżkę mężczyzn, zbłąkanych po manowcach.

Dosyć tu przypomnieć w „Świecie nudów,“ tę poważną matro-

nę, księżnę Reville, która przenikliwością i praktycznym rozumem przyprawdza rzeczy do ładu.

W ostatniej jednak sztuce, Pailleron, tak zwykle względny dla kobiet, wziął je za cel ostrych pocisków, chłoszcząc biczem satyry objawiający się między niemi pedantyzm; przyklasnął mu p. Rousset, gdy zręcznie porównywał „Świat nudów,” z „Sawantkami” Moliera. Jest to zdaniem jego tenże sam temat, zastosowany do czasów naszych, z całą różnicą jaka zachodzi między siedmnastym a dziewiętnastym wiekiem. „Nauka, mówi Rousset, potrzebną jest, godną szacunku a nawet uwielbienia, z warunkiem jednak, iż nie pochłonie całkiem umysłów niewieścich pedantyzm naukowy, śmieszniejszy jeszcze od pedantyzmu literackiego. Jeżeli mężczyzna pedant nie pięknie się przedstawia, o ileż szpetniejsza postać pedantki. Celem komedii pańskiej uchronić kobietę od takiego zбочenia, i tym sposobem oddaje prawdziwą zasługę społeczeństwu. Wszelkie i liczne grożą nam dziś niebezpieczeństwa, ale i to niemniej od innych rzeczywiste i godne uwagi. Dzięki ci żeś zadzwonił na baczność.“

Ta uroczyście Akademicka, jak widzimy, mnóstwo poruszyła żywotnych pytań, nie jedną nasunęła tu pobudkę do dziennikarskich sporów. Czytamy już silną protestacją na rzecz naturalizmu w sztuce, przeciw idealistycznemu teoryom Karola Blanc, tak pięknie podniesionym przez Paillerona. Zwolenniczki bezwzględnej emancypacji powstaną też na pana Rousset, nazwą go zacofanym. Ogół jednak, przyklasnął gorąco obu mówcom, a głos powszechny uznał, że poważny świat Akademicki nie był wcale „Światem nudów,” jak się to czasem zdarza.

Na zebraniu Towarzystwa uczniów Batiniolskich, redaktor Buletynów tegoż Tow. pan Jasiewicz, odczytał ciekawą rozprawę o Francuzach, którzy różnemi czasy przebywali w Polsce i opisywali kraj nasz pod rozmaitym względem. Młodzi ziomkowie nasi, zrodzeni i wychowani we Francji, po większej części synowie Francuzek, połączeni z młodzieżą tutejszą węzłami krwi i szkolnego koleżeństwa, wzięli sobie za cel, wzmacniać tradycyjne związki dwóch ludów, i oddziaływać silnie przeciw prądom, które burzą dawny stosunek. Francuzi licznie zebrani na odczyt p. Jasiewicza, słuchali go z żywym zajęciem: świadczyły o tem powtarzające się raz poraz ich oklaski.

Prelegent rozpoczął od najdawniejszych czasów: przypominał naprzód federacją Samona, złożoną z franków i słowian przeciwko Awarom, następnie po wprowadzeniu religii chrześcijańskiej, pokazuje napływające z Francji do Polski duchowieństwo, szczególnie owych Benedyktynów Kluniackich, którzy osadzeni przez Bolesława Chrobrego w Tyńcu nad Wisłą, stali się tu pierwszymi krzewicielami cywilizacji.

Stosunki wzmacniają się coraz silniej. Kazimierz Odnowiciel, wychowany według legendy francuzkiej w Kluniaku, według późniejszej

szych wywodów w Leodyum, utrzymuje scisłe związki z Henrykiem I, królem Francji. Poślubiwszy za powrotem do kraju córkę Jarosława, księcia kijowskiego. ułatwia Henrykowi małżeństwo z brataną żony swojej.

Następują czasy krucyat. Syn Krzywoustego, Henryk, książę Sandomierski i Lubelski, walczy obok francuzów w Palestynie, później sprowadza Cystersów z Francji. Kazimierz Wielki zakłada pod Krakowem Akademią na wzór sorbońskiej wszechnicy, mistrzów do niej powołuje z Paryża.

Po śmierci ostatniego z Piastów Ludwik, król Węgierski, z rodu książąt d'Anjou, zasiada na tronie polskim: następuje po nim Jadwiga, godna prawnuczka Ludwika Świątego.

Promienie zorzy wschodzącej nad Polską za ostatnich dwóch Jagiellonów, odbiły się na całym europejskim widokregu; Francya pociągnięta ich blaskiem, zajęła się skrzętnie zbadaniem dziejów Polski. Wówczas to, w r. 1573, Blasy Viguenesse, ogłosił w Paryżu kroniki i annały Polskie, a Piotr Huillier wydał w przekładzie z łaciny na język francuzki: „Historią książąt i królów polskich,“ dzieło Herburt z Fulsztynu.

Po wygaśnięciu Jagiellonów, elekcyja Henryka III przybliży dwa narody, i pozwala im tem lepiej poznać się nawzajem. Poprzedza króla Jan de Montluc, biskup Walencyi, który zręcznemi zabiegami skłania sejm do obioru Walezyusza. W orszaku panów francuzkich przybywa z królem Guy du Faur, de Pibrac, uczony Gaskończyk: on jeden z pomiędzy wszystkich umie rozmówić się po łacinie z polskimi dostojnikami. Po ucieczce Henryka, tenże Pibrac sprawnie poselstwo w Polsce, staje w obronie króla w obec sejmu. Pibrac zostawił ciekawą relacją przygód swych i toczonych układów. Awanturnicze życie jego opisał Karol Paschal po łacinie w XVII wieku, a inny Guy du Faur Pibrac przełożył na język francuzki, to zajmujące dzieło.

Napływ francuzów do Polski zamienił się w prawdziwą powódź w połowie XVII wieku, kiedy kardynał Mazaryni, chcąc sobie zjednać Polskę, w czasach zapasów Francji z cesarstwem, doprowadził do skutku małżeństwo Władysława IV z Maryą Gonzagą. Liczny orszak dorodnych panien, z pierwszych rodzin francuzkich, towarzyszył królowej. Wiele z nich pozostać miało w Polsce. Marya Kazimira d'Arquin oddała rękę Janowi Zamoyskiemu, nim przyszło jej usiąść na tronie z Janem Sobieskim; Eugenia de Mailly, krewna Kondeusza, została małżonką Krzysztofa Paca, gdy znów Michał Pac pojął hrabinę de Lussi. Morsztyn i wielu innych panów zaślubiło również Francuzki.

Wielkie te panie dopomogły dzielnie królowej do wprowadzenia na dwór wytwornej ogłady. Język francuzki zapanował w warszawskim świecie. Garnęli się do Polski inżynierowie, artyści, architekci i rzemieślnicy. Budowano pałace, meblowano je na wzór paryzkich; kuchmistrze francuzcy zmienili stoł do niepoznania i obfitość

zastąpiono wytwornością. Wina francuzkie zajęły miejsce ulubionego dawniej węgryzna. Francuzi urządzili pierwsze poczty, na ulicach warszawskich krążyły francuzkie pojazdy, z francuzką na koniach uprzęgą. Moda francuzka zawróciła wszystkim głowy. Panie stroiły się w robiony i fryzury, panowie w szaty jedwabne, szamerowane złotem, jakie noszono w St. Germain, na dworze Ludwika XIV. Literatura francuzka zaczyna się rozpowszechniać; na teatrze dworskim ukazują się przekłady „Cyda“ i „Andromaki“, dokonane przez podkanclerzego Morsztyna.

Z powodu widowisk scenicznych znajdujemy tu przygodę, powtórzoną za Leonardem Chodźką. W r. 1664, król polski nadał francuzom, bawiącym w Warszawie, przywilej na przedstawianie w cyrku tryumfów, odniesionych przez wojska francuzkie nad armią cesarską. Jazda i piechota odbywała manewra; król francuzki siedział na pysznym tronie; szedł ku niemu smutno cesarz z koroną w rękę, miał ją złożyć u stóp zwycięzcy. Ale widzowie polscy, uzbrojeni w łuki i strzały, pragnęli bardziej jeszcze upokorzyć Rakuszanina; jeden z nich przemówił temi słowy: „Panowie francuzi! pojmałście w niewolę waszego i naszego nieprzyjaciela; nie dosyć na tém, on dziś ukorzy się przed królem, ale podejmie znów miecz, i krew popłynie znowu. Jeśli sami nie macie dość odwagi, ja załatwię rzecz za was.“ To rzekłszy umilkł, a widząc że nikt nie słucho rady, wypuszcza strzałę z łuku, przeszywa pierś biednego aktora. Inni widzowie naśladują przykład; strzały sypnęły się na scenę.

Opis to niewątpliwie przesadzony. Gdyby szlachta porwała za kord i dalejże rąbać Rakuszanów, nie byłoby w tém nic nadzwyczajnego, ale łuki i strzały w XVII wieku, zakrawają jakoś na anachronizm. Że jednak widzowie, nie przywykli do scenicznych widowisk, mogli odczuwać wrażenia żywiej niż je dziś odczuwamy, wcale nas to nie dziwi. Trudno zresztą kłaść ten wypadek na karb barbarzyństwa polskiego: są chwile, w których nienawiść bierze górę nad rozumowaniem w ludach wysoko nawet ucywilizowanych. W dwieście lat blisko po owęj przygodzie warszawskiej, wkrótce po ukończonych wojnach napoleońskich, kiedy nienawiść ku anglikom wrzała jeszcze w francuzkich sercach, przybyło do Paryża towarzystwo aktorów z Londynu, wystąpili z „Mackbetem“ czy z „Otellem.“ I cóż się stało? Oto widzowie sypnęli na głowy anglikom nie grad strzał, gdyż tych już nie było, lecz grad twardych czerepów i pecyn. Nie dosyć jeszcze: przy wyjściu z teatru przyszło do krwawej bójki. Niewinni aktorowie drogo przypłacili tryumfy Wellingtona pod Waterloo i gwałty Hudsona na wyspie św. Heleny. Kowal zwinął, ślusarza powieszono!

Smutniejszy jeszcze wypadek zdarzył się w Ameryce, w teatrze baltimorskim; przytacza go Stendhal. Grano „Otella:“ w chwili, kiedy murzyn dusi Desdemonę, żołnierz, stojący na straży, porywa za karabin: „Nie powiedzą, zawoła, że w obecności mojej nikczemnik

czarny zabił kobietę białą! I uniesiony gniewem, daje ognia; roztrzaskał ramię biédnemu aktorowi.

Z pomiędzy Francuzów przybyłych do Polski z Maryą Ludwiką, najwierniejszy obraz kraju naszego zostawił Le Laboureur, sekretarz królowej. Opisuje on podróż z Francyi do Polski, odbytą przy jej boku wraz z marszałkową de Guebriant. Pilny wzrok obraca dokoła, przysłuchuje się baczenie, wszystko zgłębia i sądzi... Dzieło jego „*Traité du Royaume de Pologne*,” pełne ciekawych szczegółów o życiu publiczném i domowém polskiego społeczeństwa. Opisuje elekcyę królów, koronacyjne obrzędy, hołdy składane Rzeczypospolitej przez wielkich wasalów, jak margrabię brandenburskiego; pogrzeby królewskie, obyczaje i zwyczaje szlachty, ich uczyty i zabawy. Oto opis pierwszej biesiady, wyprawionej dla francuzów z orszaku królowej.

„Mięsiwa miały pozór nadwyzczaj piękny i ponętny dla oka, ale ktokolwiek ich skosztował, już nie powtórzył próby; ztąd przyznawano francuzom niezwykłą wstrzemięźliwość. Polacy tylko zajadali smaczno, chwając wielką ilość korzeni i szafranu, których nie szcędzili kucharze. Na pasztetach złożonych z wierzchu, pomieszczone były zwierzęta lub ptaki, wyrzeźbione sztucznie, pokryte właściwém pierzem albo siercią. Widok ten bawił oczy, podczas gdy kapela, ukryta w końcu sali, zabawiła umysł i ucho. Deser składał się z cukrów i konfitur, jak również z jakiejś galarety, która nam wcale nie smakowała.“ (Mowa tu zapewne o kisielu).

„Obwiniają szlachtę polską o pijaństwo, mówi dalej Laboureur, nie można tego przecież nazywać pijaństwem, raczej przesadzoną gościnnością. Wino nie rodzi się w tym kraju, drogo zatem kosztuje. Sprowadzają je z Niemiec, z Francyi, z Hiszpanii, nawet z Grecyi, a najczęściej z Węgier. To ostatnie, lubo z ościenego kraju, niemniej drogie od innych, gdyż sprowadzać je trzeba na wozach, przez góry i parowy, z narażeniem na rabunek żołnierzy lub opryszków. Beczka wina kosztuje do dwustu talarów, a pięćdziesiąt osób wysuszy dwie przy uczcie, w czém im i służba dopomaga. Im więcej pijesz, tém lepiej zobowiążesz gospodarza; ten zaś przymusza gwałtem do kielicha, aby dać poznać, że dla gościa nie liczy się z wydatkiem.“

Dwór Maryi Ludwiki, małżonki dwóch Wazów, w ciągu lat dwudziestu zgórą, ściągnął wielu francuzów do Polski, a między nimi znakomitego sekretarza królowej, Piotra Les Noyers, autora znanego „*Portofolio*.“ Bardziej jeszcze ścieśniły się stosunki za Jana Sobieskiego i Maryi Kazimiery. Utrzymywał je potem Stanisław Leszczyński, najświetniejszy przedstawiciel polski we Francyi. Stanisław August, wychowanek wytwornego salonu pani Geoffrin, utrzymywał też aż do przesady francuzki polor w Warszawie. Mimo to wszystko francuzi, którzy nie pojmują światła poza obrębem kraju, a raczej stolicy swojej, wyobrażali sobie Polskę jako kraj barbarzyński. Dowodem na to list Delisla. Zwiedziwszy Polskę w r. 1780, poeta pisze z Warszawy do jednego z przyjaciół: „Wystawiałem sobie, że znajde

w tym kraju sarmatów, odzianych w niedźwiedzie skóry, z koszturym w ręku, prowadzących życie koczownicze; tymczasem z wielkim podziwem moim, znalazłem Ateny nad Wisłą!“

Delisle, jak wiadomo, bawił czas jakiś w Puławach, gdzie dwór księstwa Czartoryskich, wytwornością i smakiem nie ustępował najstynniejszemu salonowi paryżkiemu, z tej wyrafinowanej epoki; zwiedził zarówno Nieborów, piękną posiadłość księstwa Radziwiłłów. Odniesione wrażenia wyśpiewał w słynnym niegdyś poemacie „Ogrody.“

Pan Jasiewicz w ciekawej rozprawie swojej, wylicza kolejno artystów i przemysłowców francuzkich, którzy w końcu zeszłego wieku, osiadłszy w kraju naszym, przyczynili się do różnostronnego postępu tak w przemyśle jak na polu nauk i sztuk pięknych. Do tych należy słynny Lebrun, pierwszy profesor rzeźby w Warszawie, Ledoux, pierwszy założyciel szkoły tańca; Dubois, znakomity przyrodnik, autor kilku dzieł w przedmiocie historii i geografii kraju naszego, Mikołaj Chopin, uczony pedagog, ojciec słynnego Fryderyka.

Obok artystów i uczonych, którzy z nad Sekwany przynosili nam światło, inni pędzeni duchem ofiary, przynosili krew własną w pomoc szermierzom barskim. Autor zatrzymuje się nad działaniem Dumouriera, Viomenila, Choisyego i tylu innych, pokazuje bohaterские wysilenia ich w obronie Tyńca, Lanckorony i zamku krakowskiego.

Rzecz dziwna! tyloletnie związki, nie zniszczyły do reszty uprzedzenia w francuzach. Kiedy w r. 1806 armia napoleońska, dumna ze zwycięstw pod Jena, weszła tryumfalnie do Warszawy, wielki był jej podziw, na widok tych barbarzyńskich Polaków, którzy przecież nie różnili się od innych ludzi. O tém ich zdziwieniu świadczy ułożona wtedy piosenka, którą wojsko śpiewało chórem: dajemy ją w przekładzie:

Ja mniemałem że nad Wisłą
Wpadnę między antypody,
Uprzedzenie wnet rozprysło:
Cóż tu widzę? nasze mody!
Co tu słyszę? mowę znaną,
Wszędy polor, wdzięk uroczy,
Piękność kobiet ciągnie oczy,
Jak w Paryżu nad Sekwaną!

Blask ich oka mnie zachwyca,
O nich tylko śnić i marzę,
Cudna kibić,—gładkie lica,
Rozum z sercem idzie w parze.
Czar Warszawy niepojęty,
Myśl w zaklęciu moje trzyma,
Jak mnie ludzą jój ponęty,
Mam tu Paryż przed oczyma!

Pan Jasiewicz, powtarzamy raz jeszcze, żywo zajął tak polskich

jak i francuzkich słuchaczy. Wkrótce zapewne podejmiemy nowy temat: da poznać znakomitych polaków, którzy różnemi czasy przebywali we Francyi, a których działalność tak się rozwinęła w bieżącym wieku. Przyklaskujemy szczerze tym konferencyom; cel ich piękny i wzniosły. Któż obliczy, jakie plony wydać może ziarno, z wiarą i miłością posiane w bratnie serce?

Zarząd botanicznego ogrodu paryzkiego urządza w muzeum szczególną wystawę, równie ciekawą dla specjalnych przyrodników, jak i dla nieuczonego ogółu. Staje nam tu przed oczyma świat całkiem dotąd nieznan, zadający fałsz przysłowiu: nic nowego pod słońcem. Bo też w ów tajemniczy świat, który nam nauka po raz pierwszy ukazuje, promień słońca nigdy się nie przecisnął.

Wspominaliśmy w roku zeszłym o sprawozdaniu słynnego zoologa pr. Milne Edwards, z trzech wypraw naukowych na zachodnie brzegi morza Śródziemnego, i o ważnych odkryciach, dokonanych na dnie morskiem, które zdaniem dawniejszych przyrodników było wielką pustynią, bez śladów organicznego życia.

Rozprawa Milne Edwards'a wielkie sprawiła wrażenie i pobudziła rząd do silnego poparcia eksploratora, przezwanego nowym Kolumbem. Na żądanie ministra oświecenia, admirał Jaure Guiberry powierzył mu na trzy miesiące wielki żaglowiec Talizman: na nim to komisya naukowa puściła się z portu Lorient, wzduż wybrzeży hiszpańskich i afrykańskich, na brzegi wysp przyłądu zielonego, a następnie kanaryjskich i azorskich. Za powrotem Milne Edwards zdawał w Towarzystwie geograficznem sprawę z odbytej latem podróży, a potem zajął się skrzętnie uporządkowaniem wielkiej kolekcji zoologicznych okazów, wydobytych z nieznanych dotąd otchłani, głębokości od 1500 do 6000 metrów.

W sali wystawy pomieszczono ciekawe przyrządy, wykonane z umysłu na tę naukową kampanią. Są tam liny stalowe, i nowego rodzaju sondy, i łopatki bajecznej długości, które popchnięte w głąb morza siłą pary, za pomocą stosownego mechanizmu, pochwycają automatycznie i piasek i wszelkie żyjątka. Mapy rozwieszona na ścianach pokazują przebieg „Talismana“, inne dają poznać tajemnicze dno podmorskich przestrzeni. Na malowanych tablicach ukazane ryby i zoofity, z rzeczywistym ich kolorytem, jak się przedstawiały zaraz po ich dobytciu z wody.

Słoje szklane na półkach w ilości trzech tysięcy, obejmują niezliczoną moc okazów, ze świata zoologicznego, roślinnego i mineralogicznego, jakich dotąd nie widziało oko ludzkie. Fauna podmorska szczególnie odznacza się niesłychaną różnaitością i bogactwem.

Obok ryb zupełnie ślepych, żyjących w błocie, są inne, które oprócz rozwartych źrenic mają po nad oczyma dwie plamy fosforyczne, dwie prawdziwe latarnie rozświetlające im ciemną przestrzeń. Niektóre żyjątka składają się tylko z ogromnej paszczy i maleńkiego

ciała; pochłonięty łup składają w worek, umieszczony poniżej żołądka. Inne znów, drobnieciałem, mają nogi niesłychanej długości; kształty owych skorupiaków, polipów i ryb zmieniają się w najrozmaitszy sposób. Ich barwy niekiedy bardzo świetne, zachowują się do pewnego stopnia w alkoholu, lub przywrócone są środkami chemicznymi.

Kollekcyja gąbek bardzo oryginalna. Jedne z nich mają kształt wielkiego kapelusza: niektóre otoczone nitkami silleksu jakby jedwabiem lub delikatnym puchem. W dotknięciu nadzwyczaj są twarde i ostre.

Zapuszczono sondy koło wysp azorskich i przyładku zielonego na 6267 metrów w głąb morza; odkrycia te wielki znalazły rozgłos tak w całej Europie jak i w Ameryce.

Francya, dumna z przyrodników swoich, szczyci się i innym jeszcze Kolumbem, który odkrył nieznaną świat drobnouchnych, niedostrzeżonych okiem żyjątek, spełniających dzieło rozkładu i zniszczenia. Mówimy tu o wielkim fizyologu Pasteurze. W tych dniach właśnie ukazał się ciekawy jego życiorys, pod tytułem: „Historya uczonego przez nieuka,“ Bezimiennym autorem dzieła jest podobno zięć pana Pasteur. Nieuctwo jakie sobie przyznaje, to prosta mistyfikacya; nie małej bowiem potrzeba nauki, aby wywody dostępne tylko uczonym specyalistom, przedstawić w sposób jasny i zrozumiały dla ogółu czytelników. Tak jednak uczynił ów mniemany nieuk: pokazuje on cały szereg czterdziestoletnich odkryć wielkiego pracownika, któremi tak wzbogacił Francją, że jak mówi uczony anglik Huxley, on sam zapłacił za kraj swój pięciomiliardowy haracz Prusom.

Nie będziemy tu powtarzać za autorem, jakim sposobem Pasteur pokonał zaciętych zwolenników teoryi samorodztwa (*générations spontanées*); jak uchronił jedwabniki od zarazy, spowodowanej gnieźdzącemi się na nich żyjątkami; jak zabezpieczył wino od szkodliwej fermentacyi, jak zwalczył karbunkul, straszną plagę bydła i owiec, jak pracuje dziś z całym wysiłkiem nad pokonaniem wścieklizny. Poprzezajemy tylko na zaleceniu téj ważnej książki, tem cenniejszej w oczach naszych, że pisana z miłością i szczerem uwielbieniem.

Szczegóły z życia Pasteura, lubo toną w ogromie prac przez niego wykonanych, budzą jednak nie małe zajęcie. Widzimy tu jak ojciec jego, stary żołnierz napoleoński, potem ubogi garbarz, napędza pięcioletnie dziecko do książki, jak mu przepowiada, że będzie kiedyś profesorem w burgundzkim miasteczku Arbois, gdzie rozpoczął naukę. Spotykamy go później na kursach nauk ścisłych w Besançon, gdzie zawstydza i gniewa profesorów ciągłemi pytaniami, na które starzy rutyniści nie wiedzą sami jak odpowiedzieć.

Po ukończeniu szkoły normalnej w Paryżu, młodzian dostaje się wreszcie do Strasburga, tam wyklada chemią, a zarazem ściga okiem piękną panienkę, córkę rektora Akademii. Panienka odplaca mu wzajemnością, rektor nie sprzeciwia się związkom, wszystko

idzie najpomyślniej. Nadszedł dzień ślubu, czas jechać do kościoła, goście czekają w sali, brak tylko pana młodego. „Gdzież on,“ pytają wszyscy. On tymczasem zagrzebany wśród retort kończy w laboratorium ciekawą jakąś próbę.

Młoda małżonka nie wzięła tego przecież za dowód obojętności i dziś po latach trzydziestu, ze słodkim uśmiechem przypomina mężowi tę chwilę zapomnienia.

Miłość nauki nie wystudziła w sercu wielkiego pracownika uczuć rodzinnych i patriotycznych. Nieszczęścia Francyi w r. 1870 dobodły go boleśnie i poraz pierwszy w życiu, odebrały mu chęć i odwagę do pracy. Przeniósł się z żoną i dziećmi do miasteczka Arbois, zamieszkał w domku, gdzie przeżył dni dziecięce pod troskliwym okiem dawno zmarłych rodziców. Widziano nie raz jak płakał na wieść o nowych klęskach. W początku roku 1871. napisał do dziekana Akademii medycznej w Bonn, list pełen godności, odesłał z nim dyplom na doktora niemieckiego uniwersytetu, udzielony mu przed trzema laty.

Urodzony w roku 1822, Pasteur zachował dotąd całą potęgę umysłową, i niezmordowaną energią do pracy. Biograf dodaje też na ostatniej kartce: „szczęściem, książka moja wcale nie dokończona“ przybędzie do niej jeszcze nie jeden ważny rozdział!“

W końcu grudnia r. z. umarł w Paryżu znakomity astronom, członek Instytutu Yvon Villarceau. Kilkakrotnie już w kronikach naszych, wspominaliśmy imię tego uczonego, z powodu, że był gorącym zwolennikiem naszego wielkiego matematyka Hoene-Wrońskiego, i czynnym propagatorem jego genialnych pomysłów.

W roku zeszłym Villarceau odbył podróż naukową do Włoch. Gdy przebywał w Rzymie, profesorowie Cremonu i Brioschi, znani w świecie naukowym, badali go pilnie w przedmiocie prac Wrońskiego. Villarceau, dawał im ustne objaśnienia, a gdy powrócił do Paryża, posłał im memoriał, przez siebie napisany. Mamy w ręku odpowiedź profesora Cremonu, z daty 2 grudnia: otrzymał ją Villarceau na parę tygodni przed śmiercią.

„Odebrałem, pisze profesor, przysłany mi łaskawie memoriał. Uderzyło mnie w nim jasne przedstawienie metod Wrońskiego. To, co miałem zaszczyt słyszyć z ust pańskich, podczas wycieczki naszej z Rzymu do Neapolu i to co wyczytałem w jego wywodach, jest dla mnie prawdziwym objawieniem. Miałem przeciw Wrońskiemu uprzedzenia, wspólne zapewne z wielu geometrami. Oddałeś pan wielką przysługę nauce, wydobywając z niepamięci prace uczonego, tak zapoznanego w ogólności.“

Obok takiego uznania ze strony Francuzów i Włochów, widzimy wymowniejsze jeszcze uznanie uczonych angielskich. Przytaczamy na dowód wyjątek z listu pana Hobicka, dyrektora szkoły specjalnej Inżynierów w Lima (rzeszypospolitój Peru). List ten pisany

do pana Leonarda Niedzwieckiego pod datą 13 grudnia 1883 roku.

„Mogę zasłać panu przyjemną wiadomość, a to że w naukach matematycznych w wysokich sferach już są przyjęte pod nazwiskiem „Wronskians“ pewne formuły wyznaczników (determinants), tak jak już mamy „Jakobians“, „Hessians“,“

„W ważnem dziele „A Treatise on the Theory of Determinants“,“ przez Thomas Muir, nauczyciela matematyki w szkole wyższej w Glasgowie, wydanem w Londynie 1882 roku, autor daje nazwę Wronskians wyznacznikom i. t. d.. My zostawiamy na boku ich określenie, jako niedostępne dla nas, uważaliśmy tylko za obowiązek sprawozdawcy zaznaczyć ten postępek w uznaniu prac Wrońskiego, tak w różnych krajach Europy, jak niemniej w Ameryce. Chwała wielkich geniuszów spływa na naród, który ich wydał; powszechne też uznanie prac i zasług Wrońskiego nie może być dla nas obojętnem.

W sprawozdaniach z wystawy obrazów, nie raz już wspominaliśmy imię młodego artysty naszego, Pawła Merwarta, a patrząc na wytrwałą pracę jego i ciągły postępek, piękną zapowiadaliśmy mu przyszłość. Z radością też czytamy w amerykańskich dziennikach, że p. Merwart otrzymał wielki medal na międzynarodowej wystawie w Bostonie, za obraz, przedstawiający młodego Mojżesza, i inny jeszcze medal, za mniejszy rodzajowy obrazek „Alarm.“ Ten ostatni nabyty już został; Mojżesz wystawiony będzie w Chicago.

Na wystawie w Wersalu przysądzono również medal artyście naszemu za śliczny portret matki dziewczynki.

Sprawozdawca z „Journal des Artistes“,“ wyraża się z zapałem o dwóch obrazach, posłanych na wystawę do Nicei. Jeden z nich, portret poety Armanda Sylwestra, nazywa matłem arcydziełem. Wysoko też podnosi wielki portret matki artysty, wykonany bez sztucznych efektów, pełen życia i prawdy.

Obecnie p. Merwart wykończył do salonu portret wielkich rozmiarów znaney poetki francuzkiej, pani Ackerman, pesymistki w rodzaju Leopardgo. Nie znamy osobiście modelu, patrząc jednak na te surowe rysy, na zacięte usta, na czarne oczy niby dwa wypalone krateru, widzimy, że malarz przeniknął na wskroś tę duszę, która po rozpaczliwej walce z życiem, zamknęła się nie w olypijskim, ale raczej w budystańskim spokoju. Wszystko tu tworzy wyborną harmonią, i czarne tło obrazu, i czarna odzież podeszłej w lata poetki. Włosy śnieżne, podniesione w górę nad pooranem czołem, oryginalny wyraz nadają tej złowrogiój postaci. Przekonani jesteśmy, że ten portret ściągnie powszechną uwagę na majowej wystawie.

W rocznicę śmierci Gustawa Dorego, tygodnik paryzki „Le Monde Illustré“, postanowił oddać hołd mistrzowi, któremu przez lat wiele zawdzięczał głównie wziętość swoją. W tym celu powołał naszego młodego artystę, p. Motty, jednego z najzdolniejszych uczniów

i najgorętszych wielbicieli Dorego. Młody rysownik wykonał z niepospolitym talentem apoteozę mistrza.

W pośrodku wielkiej kompozycji wznosi się marmurowy grobowiec; na kamienną płytę wyryty napis: „Gustaw Doré.“ Po prawej ręce widzimy trzy główne postacie z Boskiej komedii: Wirgilego, Danta i Beatrycę. Śpiewak Enejdy, w wieńcu i todze rzymskiej, składa na grobie palmę nieśmiertelności. Dante w tradycyjnym kapturze, płacze, wsparty o ramię przewodnika swego: Beatrycę modli się, opromieniona aureolą. Przy Wirgilem stoi zadumany Don Quichot, okuty w żelazną zbroję, oburącz wsparty na mieczu; z poza niego Cerwantes patrzy dumnym okiem na apoteozę mistrza, który takim blaskiem otoczył jego arcydzieło. U stóp błędnego rycerza kłęczy pokornie Sancho Pansa, z rękoma złożonemi do modlitwy. Na pierwszym planie spostrzegamy rozpaczliwą postać Żyda wiecznego tułacza, z długą brodą, z kijem pielgrzymim. Nieco dalej stoi Chateaubriand, a przy nim Atala, konająca w objęciach Chaktosa, wyciąga rękę z palmą ku grobowcowi.

Po lewej stronie Lafontaine i Rabelais przynoszą bogate korony. Dwaj olbrzymi Rabelais'go Pantagruel i Gargantua, z orężem straszkany na znak żałoby, trzymają straż przy grobie. Dalej występuje Perault, wśród fantastycznych typów z „Oślej skóry“ i „Sinobrodego.“ Z cienia wychyla głowę Balzak, autor „Ludzkiej komedii.“ Pomiedzy dwiema grupami płacze Sztuka w postaci niewiasty w żałobie.

Poza grobowcem widzimy grupy proroków i patryarchów: Aryost wywołuje rycerzy fantastycznych z Rolanda, Milton duchy zatraczonego Raju. W głębi sptywają chóry promienistych aniołów, sypią na grób wieńce i palmy. Wyżej przez mglistą osłonę widać godła męki Zbawiciela i krzyż na wierchołku Golgoty.

Młody, a pełen talentu rysownik Motty, jest synem profesora z Poznania.

O UPADKU BANKU WŁOŚCIAŃSKIEGO W GALICYI.

NAPISAŁ

D-r Br. Ł.

Chociażby w ciągu bieżącego roku Galicya doczekać się miała jeszcze wielu ważnych wypadków pod względem społecznym, zawsze ten, który spadł na nas razem z Nowym Rokiem, to jest upadek Banku włościańskiego, zajmować będzie jeżeli nie pierwsze miejsce, to z pewnością jedno z pierwszych. Miesiące całe upłynęły już od upadku Banku włościańskiego, pierwsze wrażenie dawno się już zatarło, rzecz cała weszła na drogę spokojnego rozwikłania interesów, a jednak mimo to wszystko, wszędzie dotąd myślą i mówią o tym banku i następstwach jego upadku.

Mając zdać sprawę z całego przebiegu katastrofy bankowej, zaczynam od tego, co z dogmatyczną stanowczością powtarzał i powtarza cały ogół, w czém nigdy i nigdzie nie objawiła się najmniejsza różnica zdań, to jest od stwierdzenia faktu, że sam upadek Banku włościańskiego powitany został z serdeczną satysfakcją. Gdyby nie obawa, że rozwikłanie interesów upadłego zakładu odbije się niekorzystnie na dłużnikach, wiadomość o katastrofie byłaby w całym kraju przyjęta z taką radością, z jaką wita się ziszczenie gorącego życzenia. Nie jest to frazes żartobliwy, lecz najprawdziwsza charakterystyka, jeżeli się powie, że najlepszym i najchwalebniejszym aktem upadłego zakładu był właśnie—jego upadek! Gdyby to było nie skutkiem naturalnego rozwoju stosunków, lecz dziełem jednego człowieka, ten, któryby uchodził za sprawcę katastrofy, byłby w téj chwili najpopularniejszą osobistością w całym kraju.

Krótką historia powstania Banku włościańskiego jest tu niezbędną dla zrozumienia tego wszystkiego, co później w dalszych uwagach powiedzieć wypadnie. Bank włościański powstał w roku 1868 a impulsem do jego założenia było zniesienie niepodzielności gruntów

włościańskich i ustawodawcze przyznanie włościaninowi swobodnego rozporządzania własnością ziemską. Włościanin w ten sposób wyzwolony zupełnie z dawniej kurateli prawnej, która ojcowiznę jego usuwała niejako z wolnego obrotu, był istotnie dobrym materiałem dla nowej instytucji kredytowej. Założyciele Banku włościańskiego głośno zachwalali swoje dzieło, jako pewny sposób wydobycia włościanina ze szponów lichwiarzy wiejskich, żydów, którzy w rękę swém monopolizowali cały interes pożyczkowy z ludem wiejskim. Nie wszyscy w to uwierzyli, owszem, wielu poważnych ludzi już w pierwszej chwili ostrzegąco, że kredyt bankowy będzie stanowić wielkie niebezpieczeństwo dla ekonomicznie niedojrzałego włościanina. Ogół jednak brał rzecz tak, jak mu się ona na pierwszy rzut oka przedstawiała i przychodził do przekonania, że skoro włościanin zamiast płacić żydowi 100—200^o/_o, może uzyskać w Banku włościańskim pożyczkę na 12^o/_o, to bank ten stanie się dlań dobrodziejstwem. Samo brzmienie statutów, opartych na małym jeszcze u nas wtedy znanym a tak dobroczynnym zasadzie stowarzyszenia, zdawało się popierać zdanie optymistów. Dość przytoczyć dla ilustracji kilka postanowień statutów. Pierwszy zaraz paragraf tak wygląda w teorii, jakby ziszczony ideał zdrowego kredytu. Bank włościański „powstaje—tak opiewa ten paragraf—przez dobrowolne przystąpienie właścicieli mniejszych posiadłości do stowarzyszenia i ma na celu przez utworzenie zaliczkowych stowarzyszeń gospodarzy wiejskich, opartych na zasadach wzajemności i solidarności, dostarczanie właścicielom mniejszych posiadłości środków pieniężnych, do rozwoju gospodarstwa potrzebnych.“ Nie wyglądało to świetnie? Taki właśnie zakład był i jest dotąd bardzo potrzebny. Autorowie statutów nie skąpili jeszcze świetniejszych przyrzeczeń w dalszych paragrafach. W jednym z nich postanowiono, że fundusz rezerwowy doszedłszy do pewnej wysokości, ma „przyjąć na siebie w zupełności, lub częściowo koszta administracji zakładu, a przeto umożliwić zniesienie stopy procentowej pożyczek, udzielać pożyczek bezprocentowych, lub nawet zapomóg bezzwrotnych członkom, którzy przez znaczne klęski elementarne popadli w biędę, wreszcie opędzać koszta urzędzenia i utrzymania wędrownych szkół gospodarczych dla posiadaczy mniejszych posiadłości.“ To już wygląda nietylko świetnie, lecz nawet wspaniale; to na papierze nadawało zakładowi charakter instytucji humanitarnej, charakter tak wybitny, że pod tym względem z ostatnim Bankiem włościańskim, nie mógłby iść w zawody nawet założony przez sejm Bank krajowy, którego statuta nie zawierają tak daleko idących przyrzeczeń.

Wszystkie te postanowienia statutów mają dotąd cały walor prawny, a sam Bank włościański zaraz w kilka lat po rozpoczęciu czynności, ściągnął na siebie już nie zwykłą niechęć, lecz złorzeczenia i przekleństwa, jako jaskinia lichwiarska, wyzuwająca włościan z ojcowizny, w końcu nawet uroczyste anatema sejmu, który w trzykrotnie, z roku na rok powtarzanej uchwale wzywał rząd, aby wglądnął w zgu-

bną działalność instytucji, dopóki jeszcze można zażegnać niechybną katastrofę społeczną, to jest zniszczenie zdrowego stanu włościańskiego. Na kogoż spada odpowiedzialność za to monstrualne spaczenie charakteru instytucji, określonego w zacytowanych powyżej postanowieniach statutowych? Jużciż tylko na zarząd, który chociaż w łonie swoim posiadał do ostatniej chwili wiele osobistości szanowanych, dopuścił do tego, że podwładne organa prowincjonalne, agentury bankowe, sprowadziły zakład na manowce. Agenci Banku włościańskiego, w których wyborze zarząd centralny nigdy nie był wybredny, od razu postawili działalność swoją na równi z zwyczajnym interesem pożyczkowym, w którym pożyczający ma tylko na oku jaknajrychlejsze i najkorzystniejsze ulokowanie rozporządzalnych funduszków. Aby zawrzeć jaknajwięcej interesów i ciągnąć ztąd potem lata całe korzyści, pożyczano każdemu kto się nawinął, pożyczano od razu, bez oglądania się na cele pożyczki, a jak się teraz pokazuje, nawet bez upewnienia się o dostateczności hipoteki. Można sobie wyobrazić, jak chętnie siedł na ten lep nasz włościanin, już z natury lekkomyślny, niemyślący o pierwszej racie, a cóż dopiero o całym umorzeniu zaciągniętej pożyczki. Pożyczano każdemu, więc każdy pożyczał, jeden na cele rzeczywiście ekonomiczne, a pięćdziesięciu na wydatki jeżeli nie wprost marnotrawne, to w każdym razie w części bodaj zbyt znaczne. Zanim włościanin otrzymał pieniądze, opłacić musiał przedtém różne koszta wstępne na dokumenta, stemple i t. d., a jak mu potem wypłacono pożyczkę po kursie listów zastawnych (82 — 85^o/_o), pozostało w ręku mało co więcej nad połowę sumy dłużnej. Z tego część znaczna zostawała po szynkowniach w drodze do domu, a niejeden wracał do zagrody swojej tylko z odpisem skryptu dłużnego na sumę — pożyczoną i przehulaną.

Wiejscy lichwiarze, żydzi, których Bank włościański miał uczynić nieszkodliwymi, zacierali ręce na ten widok. Widzieli bowiem, że po chwilowej pauzie interes ich zakwitnie jak nigdy przedtém. Rachuba ta była zupełnie racjonalna. Pierwszą i drugą ratę mógł jeszcze dłużnik uiścić, jeżeli zbiór dopisał; z dalszemi ratami sprawa już była trudniejsza, bo gospodarstwo rolne nawet w ręku włościanina jego własną pracą prowadzone, takiego dochodu przynieść nie mogło, żeby wystarczyło na życie, podatek, ratę amortyzacyjną i wygórowany procent. Zaczęły się mnożyć zaległości, a w miarę jak Bank włościański pociskał sprężynę egzekucyjną, zaczęli się dłużnicy garnąć napowrót do lichwiarzy dawnych. Wyobraźmy sobie teraz, jak wyglądało to gospodarstwo włościanina, który na lichwę pożyczać musiał, aby zapłacić zaległe, wysoko oprocentowane, a nadto jeszcze lichwiarzką prowizją zwłoki obłożone raty bankowe! Że to wszystko mogło trwać lat kilkanaście, to przypisać można tylko niezwyklej abnegacji naszego włościanina, który był już zadowolony zupełnie, jeżeli tylko mógł nędznie wyżywić się na swojej ojcowiznie. Dopóki dzielenie gruntów było w pierwszej fazie, t. j. dopóki znaczniejsze gospodarstwa

rozpadały się na małe, jeszcze można było coś wydusić od dłużnika. W chwili jednak, gdy to dzielenie doprowadzono do absurdu, do pokawałkowania ziemi na miniaturowe gospodarstwa, niezdolne do wyżywienia najmniejszej rodziny, Bank ujrzał już pewną przepaść przed sobą, zwłaszcza po skonstatowaniu faktu, że licytacje gruntów zadłużonych nie wiodą do celu, lecz tylko powiększają koszta. Cel licytacji nie mógł być osiągnięty raz dlatego, że mała parcela, nie wystarczająca na podstawę egzystencji dla jednej rodziny, nie mogła stanowić przedmiotu łatwego obrotu, a powtórze dlatego, że nietylko żyd, lecz wogóle każdy obcy nabywca narażał się na niebezpieczeństwo. Włościanin wyparty ze swojej ojcowizny, staje się żebrakiem i zbrodniarzem równocześnie. Zbrodnię dyktuje rozpacz na widok nędzy własnej rodziny, na widok przybysza, zabierającego ojcowiznę. Kto zna przywiązanie ludu naszego do ojcowizny, ten będzie wyrozumiały na tę pochopność do gwałtownego postępowania z każdym przybyszem, odbierającym tę ojcowiznę. To przywiązanie ma charakter szlachetny, więc i występki, popełnione pod naciskiem takiego motywu, ma pretensją do pewnej pobłażliwości. Bank włościański pewnie nie dla tego przywiązania włościan do ojcowizny, lecz w własnym interesie musiał zmienić postępowanie. Kupował sam grunta na sprzedaż wystawione i pozostawiał na nich wywłaszczonego włościanina jako dzierżawcę lub rządcę z możliwością odzyskania straconej własności po spłacie długu. Obie strony żyły w iluzji; Bank spodziewał się spłaty, a tymczasem to, co wpłynęło, zaledwie pokrywało koszta; włościanin żył w złudzeniu, że jest dalej panem na swoim gruncie, a tymczasem ten grunt już prawnie doń nie należał.

Nie pomogły wszelkie zabiegi Banku włościańskiego, bo z każdym rokiem opinia coraz więcej burzyć się zaczęła, a gdy nawet sejm napiętnował zakład jako lichwiarza, gdy sądy po zaprowadzeniu ustawy o lichwie z urzędu zniżyć zaczęły pretensje bankowe, jakby pretensją jakiego pospolitego żyda-lichwiarza, Bank znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Na domiar sędziowie na prowincyi, widząc zgubne skutki działalności Banku włościańskiego i ogólne oburzenie, nie spieszyli się w regule z procesami przez Bank wytoczonymi. Wyobraźmy sobie teraz, jak wyglądały te procesa, ile lat one trwać mogły, jeżeli sędzia z najpowolniejszą pod słońcem, austryacką procedurą w rękę, uznał za obowiązek obywatelski i ludzki, nie spieszyć się wcale, lecz owszem traktować rzecz z namysłem. Lata całe czekać musiał Bank w niejednym sądzie na załatwienie drobnej kwestyi.

Rzecz naturalna, że wśród tylu i takich przykrych trudności w ściąganiu zaległych należności, wpływało do kasy bankowej coraz mniej, zwłaszcza w latach ostatnich, gdy wskutek peryodycznie powtarzających się klęsk elementarnych i niemal ciągłego zawodu w rezultatach zbioru, nawet zamożniejszy i punktualny włościanin nie zawsze mógł podołać zobowiązaniom swoim. Bank otrzymywał coraz mniej, a wydatki na administracyę, która zawsze była kosztowną,

jeżeli nie wzrastały, to pewnie nigdy nie zostały niższe do nieodzownej potrzeby. Dopóki Bank włościański miał jaką taką reputacją i wyższym procentem mógł przynęcać do siebie gotówkę na chwilową lokację za asygnatami kasowemi, łątał jak mógł obcym kapitałem potrzeby w chwili, gdy spłacać wypadło wylosowane listy zastawne i płatne kupony. Ale ta łątanina miała kres blizki, bo Galicya nie rozporządza taką masą gotówki, żeby dla niej szukać potrzeba aż niepewnej lokacji. Kasa oszczędności nie była nigdy tak zasypana gotówką, żeby musiała odmawiać przyjmowania, inne Banki z dobrą reputacją nie miały nigdy za wiele gotówki lokowanej, więc do Banku włościańskiego spieszyli tylko ci nieliczni, nieprzezorni kapitaliści, którzy łąkomili się na nadwyżkę jednego procentu w fruktyfikacji chwilowo rozporządzalnej gotówki.

Ponieważ, jak się wśród katastrofy pokazało, ogólna suma gotówki, ulokowanej w Banku włościańskim na asygnaty kasowe, wynosiła tylko niespełna 800,000 zlr., więc nie dziw, że i ta łątanina miała kres blizki. Trwała ona nawet zadługo, bo wielu znawców utrzymuje, że mimo to wszystko Bank włościański już dawno byłby uległ katastrofie, gdyby nie ta sztuczka, że dokonano cichaczem operacji, która pozwoliła rzucić na targ pieniężny krocie listów zastawnych z rachunkowem tylko, ale nie hipotecznem pokryciem. Miano bowiem do kapitału dłużnego dopisać raty zaległe w kapitale, a nawet w odsetkach i ztąd wysnuć tytuł do emisji nowych listów. Trudno polegać na tej wersji, bo najpierw byłby to ze strony zarządu czyn zdolny pobudzić prokuratora do fatalnych refleksji z kodeksem karnym w rękę, a powtóre kontrola rządowa nad listami zastawnymi, kontrola, wymagająca absolutnie i zawsze zgodności między sumą listów zastawnych w obiegu zostających, a ogólną sumą pożyczek, zgodnie ze statutem wymierzonych i hipotecznie zabezpieczonych, zdaje się wykluczać możliwość dokonania takiej operacji. A jednak wersja taka szeroko się rozpowszechniła i utrzymuje w kołach nawet poważnych. Jeżeli jako niesprawdzona czy niewykryta w sposób niezbity, nie może być traktowana na równi z innymi faktycznymi okolicznościami, to w każdym razie pominąć jej nie można, skoro się przedstawia historią choroby i zgonu Banku włościańskiego. Świadczy ona bowiem o tém, co już stwierdzono wśród krachu wiedeńskiego z r. 1873 i co mimo tak smutnych doświadczeń nie zostało usunięte, świadczy o niedostateczności kontroli rządowej. Każdy Bank ma swojego komisarza rządowego, który przecież powinienby uchodzić za najlepszą rękojmnię dla publiczności; tymczasem całym szeregiem faktów można udowodnić, że katastrofy bankowe były dla komisarzy rządowych niespodzianką nieprzewidzianą zupełnie tak samo, a może nawet w wyższym stopniu, niż dla publiczności, która z natury skłonna do nieufności, każdy symptom ściślej rozbiera i ocenia.

Stało się wreszcie, co stać się musiało, co było nieuniknionem. Z Nowym Rokiem wypróżniły się wszelkie kasy bankowe, ulotniły się

wszystkie fundusze, a tymczasem właścic o tój porze trzeba było mieć znaczny zapas gotówki na spłatę wylosowanych listów zastawnych i na kupony. Powstała wielka wrzawa w Wiedniu i w ogóle w Austrii, bo jak się pokazało, miliony listów zastawnych Banku włościańskiego, dostały się poza Lwów i poza Galicyą. Nęcił obcych kapitalistów wysoki procent (6) i prawo do pobierania dywidendy z czystego zysku. Z początku dyrekcya Banku włościańskiego nadrabiała miną, licząc na wpływ rat zaległych z prowincyi, ale z całej zaległości (2½ miliona) mimo spotęgowanego nacisku nie wpłynęło tyle, żeby przynajmniej kupon zapłacić. Panika ogarnęła wszystkich, zaczęto wypowiadać asygnaty kasowe i to dopełniło miary klęsk, których zakład już przetrwać nie mógł w żaden sposób.

W pierwszych dniach stycznia Bank włościański mógł ogłosić bankructwo po wszelkiej formie i zażądać otwarcia konkursu. Poczciwi, ale nie przenikliwi opiekunowie ludu, zapominając czy nie wiedząc, że ogłoszenie konkursu stanowiłoby najgorszą ewentualność właśnie dla włościan zadłużonych, powitali katastrofę z zadowoleniem. Marszałek dr. Zyplikiewicz, który w tylu już ważnych sprawach krajowych, swoją śmiałą i mądrą inicjatywą, przysporzył krajowi wielkie korzyści, albo odwrócił groźne niebezpieczeństwo, i tym razem odegrał rolę świetną, godną pierwszego w kraju dygnitarza autonomicznego. Nie oglądając się na tych, którzy biorąc rzecz płytko, wyglądali konkursu jakby zbawienia, nie zrażając się nawet chwilowemi wyrzutami, że przykłada rękę do sprawy niegodnej jego interwencyi, polecił Bankowi krajowemu zażegnać pierwsze niebezpieczeństwo przez skupowanie kuponów i listów wylosowanych, których sam Bank włościański wykupić nie mógł, a tymczasem pospieszył do Wiednia i wpłynął znakomicie na stworzenie sytuacji, wykluczającą na razie przynajmniej możność wywołania konkursu. Rząd bowiem, opierając się na zręcznej interpretacyi statutu i ustawy o stowarzyszeniach, rozwiązał Bank włościański z powodu przekroczenia granicy prawnej w emisji listów zastawnych i ustanowił kuratorem majątku rozwiązanego zakładu d-ra Zdzisława Marchwickiego, znakomitego finansistę i wielce cenionego w sferach bankowych dyrektora Banku kredytowego. Równocześnie zawiązał się pod prezydencją księcia Adama Sapiehy komitet obywatelski, który za zadanie sobie postawił, wszelkimi środkami dążyć do tego, żeby nie przyszło do konkursu i aby natomiast katastrofa znalazła rozwiązanie w spokojnej likwidacyi.

Dlaczego konkurs byłby nieszczęściem a likwidacya stanowi wśród danych stosunków najpomyślniejsze rozwiązanie, to wymaga objaśnienia, bo większość czytelników nie zna ustaw w Austrii obowiązujących. Wyręczę się w tój mierze kilku ustępami z broszury, która poświęcona głównie tój sprawie, pojawiła się niedawno i w prasie galicyjskiej znalazła uznanie. Różnica między konkursem a likwidacyą tak się przedstawia według tój broszury.

„Są tylko dwie drogi wyjścia: konkurs lub likwidacja spokojna. Wybór nie przedstawia wielkich trudności, ale tylko w takim razie, jeżeli jedna i druga grupa interesowanych, t. j. dłużnicy i wierzyciele zakładu z góry to sobie powiedzą, że mają do wyboru nie między lepszym a dobrem, lub między złem a dobrem, lecz tylko między złem mniejszym i większym. Ani likwidacja, ani konkurs nie jest ani dla dłużników, ani dla wierzycieli czemś pożądanem lub dobrem, bo ostatecznie znamię katastrofy cięży na całej sytuacji i zatrzeć się nie da. Pierwsza droga jednak t. j. likwidacja stanowi złe nierównie mniejsze od drugiej t. j. od konkursu.

Komu już znane są bodaj zasadnicze kryterye prawne likwidacji i konkursu, ten ani chwili nie zawaha się powiedzieć, że wśród danych stosunków konkurs byłby bez porównania większem złem dla jedułej i drugiej grupy interesentów, dla dłużników i wierzycieli zakładu, że zatem mimo w naturze rzeczy uzasadnionego antagonizmu pomiędzy dążnościami obu grup, wspólność niebezpieczeństwa każe im razem w miarę możności w swoim zakresie starać się o to, aby konkurs nie został ogłoszony. Krótko zaznaczymy ten wspólny interes i jego uzasadnienie.

W konkursie niema mowy o ocaleniu włościan nadmiernie zadłużonych od wywłaszczenia, bo wobec bezwzględnej walki prawnej między angażowanemi interesami, umilknąć muszą wszelkie względy wyższe, społeczne. Z całego banku pozostaje jedna masa z długami i wierzytelnościami. Między zobowiązanymi i uprawnionymi staje wrzekomo jako rozjemca, nie komitet apelujący do sumiennosci jednej a wyrozumiałości drugiej strony, lecz prawo obojętne na konsekwencje społeczne a bezwzględne w środkach swoich. Jest ono, co prawda, równe dla wszystkich, ale równość ta uwydatnia się w tym wypadku jednakowo przykrym naciskiem egzekucyjnym na jedną t. j. zobowiązaną stronę, a jednakowo przykrą redukcją należitości drugiej t. j. uprawnionej strony. Obie więc strony w normalnym nawet przebiegu konkursu przebywać muszą operacją bolesną dla swoich interesów, obie czują, że tylko na ich szkodę wychodzi długie przewlekane postępowania, które jednak jest nieuniknionem, jeżeli każda strona wytęga w własnym interesie wszelkie środki prawne. Obie strony widzą, że w skutek ociążałego i egoistycznego działania aparatu konkursowego, z każdym dniem przybywają koszta na ich rachunek i w końcu prędzej lub później przychodzą do przekonania, że lepszą jest zgoda słowniana aniżeli proces złoty. Im prędzej przyjdą do tego przekonania, im prędzej się do niego zastosują i położą kres postępowaniu konkursowemu, tem lepiiej dla nich. Cóż dopiero mówić o konkursie wśród tak anormalnych stosunków, w jakich Bank włościński katastrofa zaskoczyła! Zaległości w kapitale dłużnym, w wygórowanych odsetkach i prowizyi zwłoki wynoszą sumę blisko trzymilionową i w takiej też wysokości wchodziłyby w masę a tymczasem świat cały wie, że w najlepszym razie po wysileniu całego nacisku egzekucyjnego z bru-

talną nawet bezwzględnością, więc dopiero po wydaniu tysięcy rodzin na łup nędzy, zaledwie połowa tej sumy wpłynąć może do kasy. Mnóstwo gospodarstw włościańskich nabytych przez Bank włościański na licytacji, przedstawia w cenie szacunkowej sumę poważną i z tą ceną weszłaby wartość gruntów w masę a tymczasem już sam Bank w czasie agonii swojej przyszedł do przekonania, że w gruntach tych posiada nie wartość pewną, łatwo zrealizować się dającą, lecz przedmiot trudny do zbycia w braku nabywców, a kosztowny w własnym zarządzie, więc balast, który przyspieszył tylko utonięcie. Solidarna poręka dłużników wchodziłaby w rachubę konkursową jako pozycja, reprezentująca w danym razie milionową kwotę, a tymczasem faktem jest, że większość dłużników z ceny kupna za gospodarstwa swoje nie zdołałaby pokryć w całości nawet własnych pożyczek, wymierzonych zbyt wysoko przez agentów, chętnych do robienia interesów bez względu na wymagania statutowego bezpieczeństwa. Wszystko to jest widoczne, ale mimo to nie zmieniliby bezwzględności postępowania konkursowego. Ten ociążały a wiele wymagający aparat konkursowy, który wciska się między obie strony w konkursie angażowane i ich kosztem sobie korzyści przysparza, miałby właśnie tutaj żniwo obfite. Tysiące procesów z tysiącami dłużników zalegających i tysiące licytacji — to połów obfity, przy którym wielu a wielu głodnych pożywić, chciwych zaś wzbogacić się może. Oczywiście odbywałoby się to wszystko zwolna, bo najpierw austriacka procedura nie zna pospiechu, a powtóre wiele egzystencji i wiele interesów osobistych byłoby najściślej związanych z jaknajpowniejszym tokiem całego postępowania. Któżby wtedy odważył się wystąpić z refleksją, że to wiedzie do ruiny tysięcy rodzin, bez korzyści odpowiedniej dla wierzycieli, bo lwia część pieniężnego rezultatu musiałaby pójść na rachunek aparatu konkursowego! Byłaby to naiwna uwaga wobec otwartej, niejako brutalnej walki prawnej, w której jednej stronie chodzi o to, aby wydobyć jaknajwięcej, drugiej zaś, aby bronić się do upadłego. Nie jestto przesadą wobec rezultatów, jakie postępowanie konkursowe wydało i wydaje zawsze w powikłanych interesach. Czy konkursowy epilog krachu wiedeńskiego nie wykazał wiele podobnych sytuacji jak powyższa?

Likwidacya ma zupełnie inny charakter, zwłaszcza taka likwidacya, jaką zapowiada akcyja pomocnicza komitetu, złożonego z najznakomitszych obywateli kraju. W likwidacyi nie ma tej zacieklej walki prawnej, w której, jak to w konkursie ma miejsce, obie strony interesowane, dłużnicy i wierzyciele, do upadłego wytężają wszystkie środki procesowe, aby jak to zwykle bywa w walce między dwoma, trzeci odnosił korzyści. Ta trzecia strona ciągnąca największe zyski z walki konkursowej, ten powolny, kosztowny i zaciągany aparat konkursowy nie wciska się między wierzycieli i dłużników, bo go wcale nie potrzeba. Likwidacya to kompromis, w którym jedna strona (dłużnicy) oświadcza lojalnie i sumiennie, do jakiego stopnia może dopełnić zobowiązań, a druga (wierzyciele)

przekonawszy się, co wśród danych warunków jako *maximum* uzyskać może, godzi się na pewne ustępstwa. W sprawie Banku włościańskiego podstawa do takiego kompromisu jest oczywista. Dłużnicy długie lata płacili odsetki i inne należitości w stosunku wygórowanym w porównaniu ze słuszną stopą procentową, a otrzymali za listy zastawne przy wypłacie pożyczek tak mało, że dziś to prawie niepojętem się wydaje (80—82 za sto). Rzecz naturalna, że z tego jedną część tylko pochłaniała kosztowna administracja Banku włościańskiego. Wiele zyskiwali na tem wierzyciele, bo oprócz stałego procentu pobierali jeszcze to, czego żaden inny list zastawny nie daje, co pod względem finansowym i kredytowym było nietylko unikatem, lecz poniekąd nawet dziwołagiem—pobierali dywidendę, jakby akcyonaryusze przedsiębiorstwa, przynoszącego dywidendę jako słuszną kompensatę za ryzyko. Wierzyciele pobierając dywidendę, zapewne przeczuwali a wytrawniejsi z nich nawet pewnie domyślać się musieli, że skoro dywidendę od listów zastawnych jeden tylko Bank włościański wypłaca, to musi w tem być pewne niebezpieczeństwo, pewne ryzyko uprawniające do kompensaty. Ryzyko było rzeczywiście, jak wykazała dzisiejsza katastrofa. Kto ryzykował i kilkanaście lat dobrze na tem wychodził, ten teraz z rezygnacją poddać się musi nieuniknionym następstwom. Kto kupował list zastawny po cenie emisyjnej (80—82) i pobierał za to lat kilkanaście $6\frac{1}{2}$ — $7\frac{1}{2}$ od całej nominalnej a więc 8—9 od rzeczywistej ceny, ten na taką rezygnację z łatwością zdobyć się powinien. Niezawodnie wielu wierzycieli zżymać się będzie z początku na taką insynuację. Zachłanność jest wadą naturalną kapitału więc i tych, którzy na kapitale opierają całą swoją egzystencją gospodarczą i społeczną. Ale zachłanność w takiej sytuacji jak obecna, zachłanność tamująca likwidacją spokojną, byłaby aktem najwyższej nieroztropności. Nie na upieraniu się przy pretensyi niepodobnej do zrealizowania w całości, lecz na wycofaniu się w porę i ze stratą stosunkowo mniejszą, polega roztropność w sprawach pieniężnych.

Aby zaznaczyć namacalne korzyści likwidacyi dla wierzycieli, dość będzie wskazać tylko na ogromną stosunkowo sumę zaległych rat i procentów ($2\frac{1}{2}$ miliona). W konkursie ściągnąwszy można z tego tyle, ile potrzeba na opłacenie aparatu konkursowego oraz kosztów procesowych i egzekucyjnych; w likwidacyi przeprowadzonej pod opieką wpływową obywatelstwa wypłynie z tej zabiegłości tyleż jeżeli nie więcej niż w konkursie, ale wszystko pozostanie w kieszeni wierzycieli, bo nie będzie kosztów, albo będą one tak małe, że ich suma zniknie w porównaniu z osiągniętym rezultatem.“

Rzecz naturalna, że komitet obywatelski występując tak stanowczo za likwidacją, nie miał na oku samego zakładu, lub samego tylko interesu wierzycieli, lecz interes krajowy niezmierniej wagi. Chodzi tu bowiem o los czterdziestu prawie tysięcy włościan zadłużonych, więc czterdziestu prawie tysięcy rodzin, więc kroci osób, które wyrzu-

cone z ojcowizny, tylko w małej części pracą zdołają się na wierzch wydobyć. Reszta musiałaby albo zasilić szeregi groźnego proletaryatu, albo paść ofiarą występnych instynktów i rzucić się na drogę zbrodni. Nasz wieśniak wyrzucony z ojcowizny, rzucony w świat ze zdrowiem nawet, ale nieporadnymi rękami, jest istotą najnieszczęśliwszą, a moralnie przytém tak wykołojoną, że z łatwością poddaje się wszelkim nałogom i popędom. Chodzi tedy nie o bank i nie o wierzycieli, lecz o cały stan włościański, więc o fundament społecznego organizmu. Ponieważ płacenie rat w miarę możności, już w czasie poprzedzającym walne zgromadzenie wierzycieli (26 marca), najprędzej mogło nastroić wierzycieli w duchu likwidacyjnym, bo dawało im rękojmię, że więcej uzyskają; przeto nietylko komitet, lecz w ogóle wszystkie władze i duchowieństwo gorliwie pracowały nad tém, aby włościanin nie został obalamucony i nie poszedł w urojenie, iż razem z Bankiem włościańskim ginie cały walor prawny jego skryptów dłużnych. A nie brakło takich podszeptów, bo są u nas żywioty, które ze społecznych i politycznych motywów, chętnie szeregają bałamuctwa tego rodzaju. Miałyby to być mętna woda, w której można później łowić ryby? Zresztą, pominąwszy nawet ten wzgląd utylitarny, zasadnicze traktowanie nakazywało i nakazuje zapobiegać wszystkiemu, coby osłabiało w włościaninie poczucie prawa. Byłoby to najpierw zabójczém pod względem materyalnym, bo obcy wierzyciele masy bankowej pewnie próbowaliby najpierw zniszczyć włościanina, zanimby z konieczności uznali należytość swoją za straconą, a powtóre, wynikałaby ztąd domoralizacja najniebezpieczniejsza na przyszłość. Nieposzanowanie prawa obcego, uwieńczone nawet chwilowym skutkiem, zemściłoby się później na całym społeczeństwie. Włościanin nie szanowałby już potem żadnego prawa w ogóle, wróciłby do dawniej swojej mrzonki komunistycznej, która reklamowała dla stanu włościańskiego wszystko co „pańskie,” a szczególnie wszystkie lasy i pastwiska. Pod hasłem „lisy i pasowyska,” odbywały się jeszcze niedawno wybory do sejmu, więc łatwo byłoby wskrzesić mrzonkę zaledwie uśpioną.

W tej chwili zdaje się być pewnym, że walne zgromadzenie wierzycieli, dnia 26 marca uchwali likwidacją Banku włościańskiego ¹⁾. Komitet obywatelski ogłosił już warunki swoje, od których przyjęcia czyni zależnym przeprowadzenie całej likwidacji wraz z wybranými w tym celu likwidatorami. Szczegółowe przytoczenie tych warunków, byłoby zbyt długim. Wystarczy krótki zarys tylko. Właściciele listów zastawnych musieliby się zadowolić połową pobieranego dotąd kuponu, a właściciele asygnat kasowych 3%. Za wylosowane listy zastawne — a losowanie odbywałoby się podczas likwidacji regularnie

¹⁾ Stało się tak rzeczywiście, jak doniosły depesze. Nie ziściła się jednak nadzieja uzyskania milionowej zaliczki od rządu. Na szczęście zmysł obywatelski komitetu musiał zaplanować nad trudnościami przez ten zawód spowodowanymi.

raz w rok — płaconoby tylko 55%, ale z promesą na dalszą spłatę w stosunku, jaki się okaże słusznym po przeprowadzeniu likwidacji z nadwyżką w rezultacie. Właściciele asygnat otrzymaliby zaraz 55%, więc połowę złożonej w banku gotówki, wraz z promesą dalszej spłaty w miarę, jak likwidacya wydawałaby dochody wyższe nad z góry zapewnione spłaty. Do rozpoczęcia likwidacji potrzebny jest cały milion, o który komitet upomina się u rządu śmiało i kategorycznie raz dla tego, że chodzi tu o ratowanie całego stanu włościańskiego, a powtóre dla tego, że rząd niedostateczną kontrolą nie mało zawinił. Milion ten zostałby w toku likwidacji zwrócony, nawet z pewnym skromnym procentem. Dłużnikom oczywiście także przyznane zostały znaczne ulgi, z których najważniejszą jest ta, że wolno im wszystkie bieżące i zaległe raty kapitału dłużnego spłacać w listach zastawnych Banku włościańskiego. Ponieważ kurs tych listów wynosi i zapewne nadal wynosić będzie 50—66% złr. za sto, przeto spłacenie kapitału dłużnego w listach równałoby się zyskowi 50—40%. Już dziś kurator zakładu przyjmuje takie spłaty i wiele zyskują na tém włościanie, posiadający jaki taki zapas gotówki lub kredyt. Bank krajowy wszelkimi sposobami forytuje i ułatwia tę spłatę, a wspierają go w tém liczne w kraju towarzystwa zaliczkowe. Hr. Artur Potocki sam otworzył kredyt zadłużonym włościanom w swoich dobrach i poświęciwszy na ten cel już kilkadziesiąt tysięcy, stał się dobrodziejem całych okolic. Wspomniały ten objaw ofiarności obywatelskiej, pewnie sprawił sensacyą na wierzycielach Banku włościańskiego, jako najwymowniejszy argument, przemawiający za likwidacyą spokojną, przy udziale i pomocy obywatelstwa.

Bankowi krajowemu, który dnia 1 lipca r. b. rozpocznie wydawanie pożyczek hipotecznych w 4½ procentowych, przez kraj zagwarantowanych listach zastawnych, na wszelki wypadek otwiera się ogromne pole działania. Czy uchwalona zostanie likwidacya, co jest więcéj do prawdy podobném, czy mimo wszelkich zabiegów przyjdzie do ogłoszenia konkursu, w jednym i drugim razie, Bank krajowy powołany jest do roli ekonomicznego zbawcy zadłużonych włościan. Tak misję Banku krajowego pojmował marszałek krajowy dr. Zybkiewicz wtedy, gdy powolnie zdobywać musiał na wahającym się sejmie stworzenie téj instytucyi, tak ją téż pojmować musiał w pierwszej zaraz chwili po skonstatowaniu, że Bank włościański popadł już nieodwołalnie w agonię. Marszałkowi przeświecała wielka myśl dokonania ogólnej konwersyi listów dłużnych Banku włościańskiego na listy zastawne Banku krajowego, ale wykonanie téj myśli wymagało koniecznie uchwały sejmowej, a tymczasem w kraju rozpoczęła się propaganda na temat popularny, że Bank krajowy, za którego zobowiązania w danym razie pieunięźnie cały ogół odpowiada, nie może i nie powinien zapuszczać się w interes tak ryzykowny. Niezawodnie byłby to interes ryzykowny, chociaż bowiem na pewne liczyć można było, że właściciele listów dłużnych Banku włościańskiego przyjmą ze znacznymi z swojej

strony ustępstwami konwersją w listach zastawnych Banku krajowego dokonaną, to jednak zawsze pozostawała wątpliwość, czy w obec przeciążenia, a nawet formalnego braku hipotek, w wielu a wielu wypadkach nie wypadnie ponieść straty. Ale czyż takie dzieło, jak wyzwolenie ludu wiejskiego ze szponów lichwy nie jest warte nawet pewnych ofiar ze strony całego kraju? Czyż sama reprezentacya krajowa nie uznawała zawsze to dzieło za jedno z najpilniejszych zadań swoich? Gdyby katastrofa Banku włościańskiego zaszła była podczas sesyi sejmowej, myśl marszałka byłaby może wykonalna. Ale zwotywanie sejmu dla sprawy zdyskredytowanej płytkimi twierdzeniami, że byłoby to ratowaniem Banku włościańskiego, jego zarządu i wierzycieli, a nie zbawieniem dla ludności wiejskiej, stanowiło przeszkodę trudną do usunięcia.

Częściowo jednak siłą wypadków i stosunków, myśl ta doprowadzoną być musi do urzeczywistnienia. Dział hipoteczny Banku krajowego głównie dla pożyczek włościańskich jest przeznaczony, a teraz właśnie pora do rozdawania tych pożyczek na cele jaknajpożyteczniejsze, bo na spłatę długu, wysoko oprocentowanego i to efektami zredukowanemi na giełdzie do połowy wartości. Bank krajowy już dziś przeprowadza interesa włościan tego rodzaju w wielu a wielu wypadkach, bo jego organa zastępcze na prowincyi, towarzystwa zaliczkowe, dostarczają, jak powiedzieliśmy, dłużnikom gotówki na spłatę długów w Banku włościańskim listami dłużnemi, kupowanemi po 50 — 60 zlr., a przyjmowanemi w wartości imiennój (100). Konwersya w ten sposób prowadzona, ma jednak granice, zakreślone krótkoterminowym kredytem. Towarzystwa zaliczkowe bowiem nie mogą pożyżać na taki długi okres czasu, w jakim włościanin, znacznie zadłużony, mógłby zwrócić otrzymane pieniądze, a Bank krajowy przed otwarciem oddziału hipotecznego, także nie rozporządza funduszami, potrzebnymi na pożyczki z długimi terminami.

Do niedawna jeszcze miał Bank krajowy wielu antagonistów, którzy nie uznawali niezbędnej potrzeby jego założenia. Dziś pewnie nie odezwie się już nikt z podobnym twierdzeniem. Jeżeli Bank krajowy wywiąże się zupełnie z téj misyi, jaką nań wkłada upadek Banku włościańskiego, jaką on sam uznaje w całej rozciągłości, to złotemi zgłoskami zapisaną będzie w historii sejmu naszego, owa pamiętna uchwała z r. 1881, na której opiera się organizacya krajowej instytucyi finansowej. A nie ma w téj chwili powodu do obawy, żeby okoliczności, nieprzyjemne téj misyi pięknej, okazały się silniejszemi od inteligencyi i dobrej woli zarządu Banku krajowego w przymerzu z tak znaną już energią marszałka d-ra Zybkiewicza.

Sprawa Banku włościańskiego może jeszcze przeżyć różne koleje i zmiany. To, co dziś zapewnionem się wydaje, spokojna likwidacya, może do 26 marca jako terminu walnego zgromadzenia wierzycieli i dłużników, upaść zupełnie. W każdym razie jednak akcyja obywatelska, popierana wszędzie przez wszystkie organa autonomi-

czne i rządowe, przez duchowieństwo i przez liczne towarzystwa zaliczkowe, w każdym razie to ogólne zainteresowanie się losem ludu wiejskiego, posunięte nawet do gotowości poniesienia pewnych ofiar, daje już rękojmię, że katastrofa, nie będzie tak strasznym ciosem ekonomicznym i społecznym dla kraju naszego, jak sobie wyobrażano zawsze, gdy upadek Banku włościańskiego brano w rachubę jako odległą ewentualność.

Wielka korzyść moralna jest już teraz osiągnięta, a w dalszym przebiegu przesilenia jeszcze więcej się uwydatni. Ludność wiejska widzi i czuje opiekę tego obywatelstwa, przeciw któremu dawne systemy podburzały ją niegodziwie, szukając w tym rozstroju punktu oparcia dla swoich widoków politycznych i społecznych. Ta opieka obywatelska stworzy węzeł nowy między wsią a dworem, dla tych zaś, którzy Galicyą traktowali z lekceważeniem, stanowi fenomen rzadki w dzisiejszych czasach. W Wiedniu np. mimo znacznego zaangażowania się kapitałów różnych instytucyj i osobistości w listach zastawnych Banku włościańskiego, zatém mimo straty, którą te koła ponieść muszą w każdym razie, nawet najzawistniejsze nam organa nie odważyły się cisnąć kamieniem na Galicyą i nie traktują katastrofy w Banku włościańskim na równi z antecedencyami krachu z r. 1873. Akcja komitetu obywatelskiego, tak szlachetna i bezinteresowna, jak gdyby tu nie chodziło o kwestye pieniężne, musiała wzbudzić respekt, jaki się jej należy. Wobec tego faktu obawa, że upadek Banku włościańskiego i deprecyacya jego walorów na długi czas podkopie nasz kredyt u obcych kapitalistów, dziś może już uchodzić za usuniętą. Taka akcja bowiem, jaką rozwinął komitet obywatelski, a za nim kraj cały oddziaływać musi pięknym efektem swoim na szersze koła i silniej i trwałej, aniżeli narzekania lub nawet złorzeczenia grona kapitalistów bezpośrednio dotkniętych.

Lwów 11 marca r. 1884.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

O pisowni *ija*, *yja* w wyrazach przyswojonych. Uwagi Dr-a Józefa Majera, ogłoszone w miejsce rękopismu dla rozdzielienia pomiędzy Członków Akademii. W Krakowie. Nakładem autora 1884. str. 18.

W sprawie *ustalenia pisowni* polskiej komisya językowa Akademii umiejętności w Krakowie odbywała od kilku miesięcy obrady w przerwach tygodniowych, a niekiedy i krótszych. W obradach tych załatwiono niektóre wątpliwości ortograficzne, jak o tém redakcyja zawiadomiła już pobieżnie czytelników w zeszycie marcowym r. b. str. 488. Pomędzy załatwionemi, jest kilka punktów spornych, dotychczas w praktyce piśmienniczej różnorodnie stosowanych. Ze względu na to, że red. „Bibl. Warsz.“ wystąpiła z pewnemi jasno przez nas sformułowanemi wnioskami w sprawie ujednostajnienia pisowni, poczuwamy się do obowiązku wyrażenia ponownie naszej opinii w kwestyi obchodzącej tak żywo nie tylko literaturę, ale głównie *szkołę* i badaczów mowy polskiej, i dla tego, rozbierając głos prezesa Akademii umiejętności w Krakowie, w nagłówku podany, zwrócić musimy uwagę i na dotychczasowe decyzje komisji językowej. Nadmieniamy tedy, że Akademia przyjęła w wydawnictwach swoich następującą pisownią:

1) przed samogłoską *i* nie pisać spółgłoski *j* tak na początku wyrazów (*żnny*, *żnię*, nie zaś: *jinny*, *jinię*), jak w środku (*rozmaży*, *troisty*... zam. *rozmajity*, *trojisty*), i na końcu (*moż*, *poż*, *szyż*, *koleż* zam. *moji*, *poji*, *szyji*, *koleji*);

2) pisać na końcu wyrazów *b*, *m*, *p*, *w* bez znaczkua miękczenia tych spółgłosek (np. *jedwab*, *karp*, *paw*... zam. *jedwab'*, *karp'*, *paw'*);

3) używać pojedynczych znaków *f*, *k*, *l*, *m*, *p*, *r*, *s*, *t*, *w* wy-

razach przyswojonych z łaciny i greckiego (afekt, akuratność, kolega, gramatyka, apelować itd);

4) zachować *s* w przyrostkach: *ski* w przymiotnikach i *stwo* w rzeczownikach (boski, męski francuski; bóstwo, męstwo, papieństwo);

5) pisać spółgłoskę *e* w zakończeniu trybu bezokolicznego słów z tematem na *g*, tj. *móc*, *strzec*, *strzyc*, *biec*, *przysiąc*...

6) w wyrazach przyswojonych, takich jak: akademija, opinija, lekcya, historyja, a wyrażanych dziś w końcowych zgłoszkach albo a) przez *ija*, *yja*, albo b) przez samo *ja*, albo też c) przez *ia*, *ya*, uchwalono używać sposobu trzeciego, tj. pisać rzeczone wyrazy przez *ia*, *ya* (akademia, lekcyja). Tém samém dwa inne wnioski pisania podobnych wyrazów: przez *ija*, *yja*, jako też przez samo *ja*—upadły.

Pozwalamy sobie zatrzymać nieco uwagę nad każdym z wymienionych punktów.

Co do 1. Ustalenie sposobu pisania samego *i* zamiast *ji* jest rzeczą prostą umową i wspólną zgodą. Obok naukowego uzasadnienia (fizjologicznego i etymologicznego) istnienia w mowie naszej dźwięku *j* przed *i*, dla praktyki piśmienniczej wystarczy uwaga, że w piśmie każde *i* rozpoczynające zgłoskę jest skróceniem połączenia *ji*; i można być w zgodzie z teorią i praktyką.

Punkt 2-gi silniej już nadwiera fonetykę naszego języka; proszę mówiąc: *miniemy się z prawdziwem wymawianiem*, skoro brzmienia miękkie: *b' p' w'* np. w *korab'*, *jedwab'*, *paw'*... oddawać będziemy znakami *b*, *p*, *w*, tj. temi samemi, jakich używamy do wyrażania odpowiednich brzmień twardych (np. Arab, pułap, staw).

Punkt 3-ci co do używania znaków pojedynczych *f*, *k*, *l*,... w wyrazach przyswojonych pozostaje w zupełnej zgodzie z żywą mową ogółu.

Podobnie punkt 4-ty i 5-ty, tj. ustalenie pisowni przez *s* wyrazów: *boski*, *bóstwo*, *męski*, *męstwo* itp., jak również *e* w formach słów: *móc*, *biec*, *strzec*..., słuszne jest zarówno ze względów wymawiania, jako też pochodzenia czyli rodowodu tych wyrazów; zgodne bowiem z naturą dźwięków języka polskiego i zasadom jego głosowni zupełnie odpowiednie. Oba więc te sposoby pisania można nazwać i dogodnemi i ściśle naukowemi.

Inaczej rzecz się ma z pisownią zakończeń wyrazów przyswojonych przez *ia*, *ya*. Z pomiędzy 3-ch sposobów, używanych dotychczas, sposób wybrany najmniej jest właściwy, najmniej zgodny z prawdą, gdyż z pomiędzy trzech najnieładniej oddaje na piśmie to, co mowa wypowiada; można powiedzieć, że sposób ten jest obrazem widocznej niezgody pomiędzy mową żywą a martwą na piśmie literą. Zatrzymanie na chwilę uwagi wystarczy do przekonania się o tém. Chcąc np. przeczytać wyraz *lekcyja* tak, jak jest tu napisany, należy

w zgłosce *cy* wymówić samogłoskę *y* (podobnie jak w *cy-fra*, *cy-gau*), poczym zostaje do wygłoszenia samo *a*, tj. lekcy-*a*, z widoczną przerwą czyli rozziwem między *y* i *a*, gdyż pomiędzy temi samogłoskami nie niema na piśmie. Tak samo rzecz się ma z każdym innym wyrazem np. Austry-*a*, Galicy-*a*, Mary-*a*, Dani-*a*, Eugeni-*a*, mani-*a*, kopi-*a* itd. itd. Gdzie tu we wszystkich podobnych wyrazach (przy pisowni *ia*, *ya*) wyraźnie słyszany i przez wszystkich dokładnie wymawiany dźwięk spółgłoskowy *j* przed *a*, t. j. gdzie zgłoska *ja*? Pisownia *ia*, *ya* każe się tu domyślać: albo spółgłoski *j* albo w znakach *i* lub *y* widzieć dwa dźwięki *ij*, *yj* albo wreszcie znakowi samogłoski *a* przeznacza jeszcze rolę wyrażania zgłoski *ja*. Niedokładność takiego sposobu pisania oczywista. Jakże na podstawie tak niedokładnej pisowni utworzyć sobie pojęcie o prawdziwym brzmieniu napisanych wyrazów? Z jednej strony, sposób ten każe w wyrazach np. Mania, Dania, kopia,... wymawiać *j* przed końcowym *a*; z drugiej znowu, zgodnie z odwiecznym sposobem uważania *i* w zgłoskach *nia*, *pia* itp. za znak zmiękczenia, czytać należy *nia* jak *nia*, *pia* jak *p'a*, *mia* jak *m'a* itd., podobnie jak się to czyta od wieków w tysiącach innych wyrazów; do jednakiego przeto sposobu pisania stosować wypada 2 różne sposoby czytania? Co więcej: według takiej pisowni, tenże sam wyraz napisany w jednej i tej samej postaci, czytać trzeba dwojako: raz z końcowym *n'a*, *p'a*, *m'a*, 2-gi raz z końcowymi *nija*, *pija*, *mija* (czy też *n'ja*, *p'ja*, *m'ja*); dość porównać: Mania i manija, dania i Danija, kopie i kopije.

Przy nauce czytania, przy wykładzie gramatyki, pisownia taka (*ia*, *ya*) przedstawia rzeczywiste i ważne niedogodności. Grzesząc niekonsekwencyją, zacięra przed oczami ucznia prawdę, a wprowadza natomiast zamęt w pojmowaniu rzeczy, uczy białe nazywać czarném, i odwrotnie. Wybrnąć z tego przy tej pisowni zadanie nie łatwe, a nawet i niemożliwe dla wykładającego. Musi on bowiem albo uciekać się do wyszukiwania sztucznych i naciąganych sposobów, któreby jakotako kaléką postać wyrazu omawiały i brzmienie jego rzetelnie odgadnąć pozwoliły; albo też czuje się w obowiązku oświadczenia wprost uczniom, że to, co napisane, jest czémś inném, aniżeli to, co wymawiamy i wszyscy słyszymy. Ta uciążliwa przy nauczaniu niewygoda, albo raczej oczywista i ciągła wskutek takiej pisowni z prawdą niezgoda stanowi argument przeciwko zalecaniu sposobu pisania *ia*, *ya* bardzo silny.

Ujemne te strony rzeczonyj pisowni, obok innych powodów, miał też na względzie czcigodny prezes Akademii umięjęt. Dr. Józef Majer, zarazem przewodniczący w obradach komisji ortograficznej, — przedsiębiorąc dokładne rozpatrzenie się w trzech sposobach pisania pomienionych wyrazów. Wynikiem tej pracy jest rzecz wydana obecnie drukiem pod tytułem: „O pisowni *ija*, *yja* w wyrazach przyswojonych.” Są to „uwagi ogłoszone w miejsce rękopismu dla rozdzielenia pomiędzy członków Akademii.“

Zaznaczywszy na wstępie rozprawy, iż sposób pisania przez *ija, yja*, przyjęty niegdyś przez Towarzystwo naukowe i obecnie od założenia Akademii aż po dziś praktykowany we wszystkich jej wydawnictwach, nie był bynajmniej krokiem lekkomyślnym, lecz opartym na powodach, które zdawały się usprawiedliwiać go dostatecznie, przechodzi autor z kolei do uwag nad każdym ze znanych 3-ch sposobów pisania.

Zastanawia się najprzód nad pisownią przez samo *ja* (religja), popieraną między innemi w rozprawie d-ra Karłowicza, ogłoszonej p. n. „W sprawie pisowni polskiej...” r. 1883. (Zob. sprawozdanie w „Bibl. Warsz.,” r. 1883, str. 467, t. III). Rozbierając dowody za i przeciw tej pisowni, dr. Majer wykazuje nieuzasadnione opuszczenie w wyrazach samogłoski *i*, która istnieje w nich zarówno w greckim jak łacinie przed końcowém *a*, jako też w polskim, chociaż bez akcentu, przed końcowém *ja*.

Następnie obszerniej nieco rozbiera autor dowody, przytaczane przez zwolenników pisania *ia, ya*. Tu głównie ma do czynienia z odnośnym zapatrywaniem się Małeckiego, który uznaje wprawdzie pisownią *ija, yja* za słuszną, zaleca jednak sposób pisania *ia, ya*, twierdząc z jednej strony, że w języku naszym rozżew pomiędzy dwiema samogłoskami w wyrazach przyswojonych niekoniecznie ma być uchylany; z drugiej zaś przyznając, „że tylko po *i* z przyczyn fizyologicznych zdaje się *i* być potrzebną (o co też właśnie chodzi w danej sprawie).

Na poparcie zalecaniej przez siebie pisowni *ia, ya* odwołuje się p. Małecki do świadectw z piśmiennictwa staropolskiego, zapytując: „czemu, gdy pisano *czyiicy*, nie pisano dawniej *deliicy*, tylko *deliicy*?” Wprawdzie względ na to, jak pisano lub jak nie pisano dawniej, nie może służyć za wskazówkę, rozstrzygającą przy ustalaniu prawideł pisowni, które opierać się mają na podstawach z dzisiejszej nauki czerpanych; mimo to jednak każdy bez sporu się zgodzi, że przy powoływaniu się na wzory dawne w jakimkolwiek celu, przywolewać je należy w postaci autentycznej, zgodnej z rzeczywistością; wszelka bowiem niedokładność, może przedstawić rzecz w świetle nieprawdewym i przyczynić się do wyrobienia w czytelniku sądu o danej sprawie również z prawdą niezgodnego. A ten niestety wypadek ma miejsce w przywiedzionem przez p. Małeckiego świadectwie, które wprost z prawdą się rozmija. Nietylko bowiem, jak przez Majera słuszną czyni uwagę, pisał Wujek: *ewanieliicy*, *Etiopiicy*, ale tysiące przykładów podobnych u pisarzy wieku XVI spotykamy w postaci, zawierającej bądź połączenie *ij*, bądź też *ii* (=ij), między nimi zaś właśnie owa za przykład podana *delia* przedstawia się i w postaci *deliia*, i jak dziś wyraźnie *delija*, wbrew przeciwnemu twierdzeniu p. Małeckiego. Postać *deliia* podaje, między innymi, słownik Knapskiego, (str. 119, wyd. z r. 1643); druga zaś tosamociowo jej równa postać,

znajduje się w 1-szém wydaniu „Fraszek“ J. Kochanowskiego z roku 1584 ¹⁾, gdzie na str. 92 czytamy: O kołnierzu:

Poradźmy sie rády czijey,
Kołnierz li to u *delijéy*,
Czy *delija* u kołnierzá,
Ná grzbiecie enégo rycérzá. (ks. III, fr. 16).

Dodać należy, iż pisownia ta (*ü* lub *ij*) nie jest bynajmniej przypadkowa, ale przeciwnie jest wynikiem zasady stale w tym 1-szém wydaniu fraszek panującej. Spotykamy tam podobnie:

Masz fiołki, masz lelią,
Masz maicran, y szałwią. (III, 12, str. 89);

lub: Tu różą, tu fiołki, tu mieccie lelią,
Ten marmór światobliwy zamyka Zofią,
Zofią Bonarównę: (III, 66, str. 114).

Nie inaczej rzecz się ma z wyrazami takimi, jak: letania, sykofancija, Paphia, ambicija, processia (w tychże „Fraszkach“), lub: unia, cancellaria, ceremonie, małmazya (we „Fragmentach“ z r. 1590), oraz: Szwecija, Grecija, Phrygia, Assyria, Cecylia i t. p. (w Picśniach i w wyd. zbiorowém „Jan Kochanowski“, 1585).

Nie wchodząc w to, o ile wyrazy podobne wymawiano wówczas odmiennie niżeli dzisiaj, wobec przywiedzionych tu przykładów z dzieł tylko J. Kochanowskiego, przyznać musimy, że powoływanie się p. Małeckiego na sposób pisania dawny *ia*, *ya*, a zaprzeczanie równoczesnego istnienia pisowni *üa* (*üja*) świadczy wprost na niekorzyść jego własnego mniemania, a tém samém chybia całkowicie zamierzonego celu.

W dalszym ciągu swój pracy prezes Majer rozbiiera argument p. Małeckiego, mający dowodzić pewnej niedogodności i „kłopotu, jaki mieliby poeci, gdyby się wprowadziło *j* do pisowni przyswojonych wyrazów; bo wtenczas liczba zgłosek w danym wyrazie nie mogłaby się ściągać, gdyby tego miara wiersza wymagała.“ Rozumowanie to nie ma ani pozoru słuszności; nie zwrócono bowiem wcale uwagi na to, że liczba zgłosek danego wyrazu (np. lek-cy-ja), pozostaje zupełnie niezmienną bez względu na to, czy wyraz będzie napisany z *jotą* lub bez niej (lek-cy-a): sama jota jako *spółgłoska* nie powoduje ani powiększenia, ani zmniejszenia liczby zgłosek w wyrazie. Choćbyśmy więc pozwolili sobie zrobić przypuszczenie, że możność ściągnięcia wyrazów podobnych pozostaje w zależności od pisowni bez joty (!), to właściwie wypadłoby, że ściągnięcie samo czynimy zależnym od tego, czy owo *y* lub *i* ma na piśmie odegrać rolę samogłoski, czy też spółgłoski *j*. Nadawanie zaś takiego hieroglicznego znaczenia znakowi

¹⁾ Nb. znane są 4 różne wydania „Fraszek“ z tegoż r. 1584.

y (lub *i*) nie odpowiada wcale zadaniu grafiki, w której, jak wiadomo, *y* (i *i*) wyobraża dźwięk samogłoskowy, *j* zaś dźwięk spółgłoskowy, i nie przystępnie nie przeszkadza używać jednego lub drugiego znaku w miarę potrzeby.

Troskliwość przeto o zapewnienie dogodności poetom przez usunięcie z pisowni *j* zprzed *a* w zgłosce *ja*, jest zupełnie zbyteczna. Poeci, jak dotychczas trudności miary wierszowej pokonywać umieli bez pomocy ułatwień (?) ortograficznych, tak, możemy być pewni, i w przyszłości (według słusznej uwagi d-ra Majera) „łatwo sobie poradzą.” Zaprawdę, lichy to byłby musiał gatunek wierszoklety, któryby trudności miarowych przy budowie wiersza zwyciężyć nie mógł jedynie z przyczyny takiej a nie innej pisowni pewnych wyrazów. Wzgląd jednak na ten rzekomy kłopot poetów, jest w mniemaniu p. Małeckiego ważności pierwszorzędną. Ztądto i owo pierwszeństwo, dane pisowni *ia*, *ya* przed innemi. Mówi wszakże p. Małeki: „Przyznać trzeba, że gdyby nie ta niedogodność (dla poetów), pisownia z *j* zupełnie odpowiadała duchowi głosowni polskiej, i w każdym razie, gdzie o to chodzi, żeby forma rozciągnięta dobitnie była wyrażana, może ona bardzo słusznie być zastosowaną.“

W końcu nadmienia też dr. Majer, że w nadesłanych Akademii uwagach nad rozprawą Kryńskiego „O pisowni polskiej,” (drukowanej w „Bibl. Warsz.,” r. 1882 sierpień), również prof. Nehring nie robi zarzutu pisowni jotowej (*ija*, *yja*), ale raczej stara się tylko osłabić zarzuty, czynione drugiemu sposobowi pisania.

Według zdania tedy d-ra Majera i sposób pisania *ia*, *ya*, nie jest dokładnym i wymawianiu wyrazów rzeczonych odpowiednim.

Z kolei na str. 12 odpowiada autor na zarzuty d-ra Wisłockiego czynione pisowni ze wstawioną *j*, zarzuty zupełnie nowe, na które, jak czcigodny autor wyznaje, „wcale nie był przygotowany.“ Według twierdzenia p. W., pisownia nie zmieniająca wyrazów obcych, t. j. oddająca ich zakończenie przez *ia*, *ya* (np. opinia, lekcyja), była katolicka, broniona zaś przez prezesa Majera—luterska! Istotnie poglądy to nowe, po raz pierwszy wypowiedziane, i, jak dla czcigodnego prezesa, tak i dla nas—wyznajemy—zupełnie niespodziewane. Charakterystycznym wszakże tych poglądów znamieniem, jest zupełna ich bezzasadność. Z przedstawionych przez d-ra Majera dowodów źródłowych, wprost przeciw mniemaniu p. Wisłockiego świadczących, wykazuje się mylność i fantastyczność tego nowego odkrycia. Dowody z piśmiennictwa staropolskiego zaczerpnięte przez d-ra M. są wprawdzie nieliczne; możnaby jednak mnożyć je do nieskończoności przykładami z rękopisów i druków polskich najdawniejszych, počawszy od Opecia Żywota Chrystusa 1525 r. („Krześcijani mili“ str. 5r.) aż do księdza Kopczyńskiego, zwolennika pisania „analogia, filozofia i t. p.“ (Zgodnie też z tém mamy jego „Elementarz dla szkół parafialnych narodowych.“ Kraków, 1784). Dowody te przekonują każdego, że pomysł dopatrywania cech wyznaniowości w zna-

nych sposobach pisania wyrazów przyswojonych jest zgoła niefortunny, bo bez faktów, należycie go uzasadniających i bez żadnej rozważki do rozpraw ortograficznych wciągnięty.

Stanowczo téż bezzasadny jest zarzut inny ze strony d-ra Wiślockiego, że „pisownia *ija, yja* ułatwia rusyfikację“ (str. 14). Sprawiedliwie zaznacza prezes M., iż „argument ten więcej ma do czynienia ze stroną uczuciową niż z prawidłami ortografii,“ i powołuje się na zdania znających tę sprawę i obeznanych dokładnie z językiem rosyjskim, którzy „na polu polityki niemniej zapewne od szanownego oponenta (t. j. Wiślockiego) drażliwi, nie wahali się zalecać pisowni joto-wój.“ W rzeczy samej śmieszny ten zarzut, czyniony pisowni *ija, yja*, przenosząc sprawę pisowni na inne zupełnie pole, może tylko nieświadomych rzeczy obałamucać, w gruncie zaś jest szczerą fikcją, najprawdziwszém zmyśleniem, jak i dwa jego poprzednie wyznaniowój natury!

Pod koniec uwag d-ra Majera, po uzasadnieniu pisowni *ija, yja* mamy przedstawione korzyści z niéj wynikające przy konsekwentnym, logicznym, nie zaś sztucznym i naciągany m wykładzie prawd gramatycznych języka, mianowicie zaś przy deklinacji rzeczowników przyswojonych (np. téj linii, tych linii), przy urabianiu odpowiednich przymiotników i innych wyrazów pokrewnych (linij-a, linij-ka, linij-ny), oraz dogodność, jaką pisownia ta przy nauce czytania przewyższa obie poprzednie.

Jasność w przedstawieniu rozpatrywanego przedmiotu, sąd krytyczny w rozbiórce pojedynczych pytań, właściwe ogarnienie szczegółów i umiejętne ich spożytkowanie, a przytem prostota i spokój w traktowaniu rzeczy i niezwykły dar zajęcia czytelnika swoim wykładem — oto są przymioty, charakteryzujące najświetniejszy, w danéj sprawie świątły głos przewodniczącego w komisji ortograficznój.

Trudno nam powstrzymać się, ażeby nie przytoczyć choć paru wyjątków z końcowych stronic téj pracy. „Skoro więc, mówi czci-godny autor, nastęrcza ona (pisownia *ija, yja*) pewne dogodności, czynione zaś przeciw niéj zarzuty, przy bliższym rozbiórce, słabną lnb całkiem znikają; nie widzę zatém powodu, dla czego ostaćby się nie mogła. Wielka jest zapewne moc przyzwyczajenia, trudna walka z własnym swym nałogiem, trzeba się jednak na nią zdobyć, inaczéj bowiem, wobec trojakiiego rodzaju, w jakim on się tu objawia, nigdy przyjsćby nie mogło do porozumienia.“ I daléj nieco: „Jeżeli więc obstarę za pisownią ze wstawioną jotą, to nie dla jakiegoś upodobania, ale z przekonania, że dotąd wszystko za nią przemawia.“ Wytrawny ten sąd, co do rozbieranego pytania i zasadom nauki najzupełniéj odpowiadający, nie przeważył jednak na szali obrad, gdzie większością jednego głosu uchwalono sposób pisania inny, z istotą rzeczy, t. j. z nauką i z prawdą żywéj mowy najzupełniéj sprzeczny. W chwili co tylko zapadłéj decyzji Akademii nie możemy przesądzać jéj skutków w praktyce, obawiamy się tylko, żeby takie postanowie-

nie nie wpłynęło szkodliwie na coraz większe zamieszanie ortografii naszego języka, który wystawiony na różnostronne *impety*, potrzebuje pewniejszego zabezpieczenia nawet w znakach zewnętrznych.

A. A. Kryński.

„Zur Geschichte der Entwicklung deutscher, polnischer und jüdischer Bevölkerung in der Provinz Posen seit 1824“ von Eugen von Bergman, mit 2 graphischen Darstellungen. Tübingen 1883.

Praca, której tytuł wypisaliśmy powyżej, stanowi tom pierwszy rozpoczętego na szeroką skalę dzieła zbiorowego p. n. „Beiträge zur Geschichte der Bevölkerung in Deutschland seit dem Anfange dieses Jahrhunderts“ wydawanego przez Fr. J. Neumanna. Autor oparł swą pracę przeważnie na cyfrach i sprawozdaniach urzędowych, mało powszechnionych lub całkiem nieprzystępnych dla szerszego koła czytelników. Dla tego podajemy przedmiotowe tylko streszczenie zajmującego nas tu dzieła i powtarzamy niektóre ustępy z wspomnianych sprawozdań, nie podejmując z autorem polemiki, która ze względu na znane powszechnie w obec nas usposobienie autorów niemieckich, byłaby całkiem bezowocną.

Wielkie Ks. Poznańskie, w granicach zakreślonych traktatami Wiedeńskimi z r. 1815, zajmuje przestrzeń 532,04 mil kwadratowych czyli 28.951,53 takich kilometrów, ¹⁾ z których 17.503,24 przypada na obwód Poznański, a 11.448,29 na Bydgoski. Ziemia jest w przecięciu dobrą i lepszą od ziemi innych dzielnic państwa pruskiego, składa się przeważnie z gleby gliniasto—piaszczystej, której jest 48⁰/₀; ziemi zaś piaszczystej jest 33,6⁰/₀ gliniastej 9, 4⁰/₀, błotnistej 7⁰/₀, wody 2⁰/₀.

Własności ziemskich wyżej 600 morgów, było w 1858 r. 5,9 na każdej mili kwadratowej, od 30 do 600 morgów, 88,2 a mniejszych posiadłości niżej 30 morgów 76. Własność większa pomnaża się ciągle kosztem mniejszej i z wolna przechodzi z rąk polskich do niemieckich.

Gospodarstwa większe uważa autor za postępowe nie wyłączając Polaków, o których przywodzi następujące zdanie: „Szlachta polska stara się rozsądną ekonomią i oszczędnością w domu zbijać powtarzany tak często zarzut nieładu, niezaradności w gospodarstwie, nie wyrzekając się wszelako przyrodzonej sobie cnoty gościnności. W gospodarstwach mniejszych nie dostrzega wprawdzie autor wszędzie tego postępu, sądzi atoli, że w ostatnich lat dziesiątkach dobro-

¹⁾ 28.954,49 kilom. kwadr. według innych źródeł.

byt, zwłaszcza włościan podniósł się znacznie w Poznańskiem.“ Szukając zaś przyczyn tegoż objawu i powtarzając wszystko prawie, co było można niekorzystnego powiedzieć o dawnym stosunku chłopu do pana, przychodzi do wniosku, że prawodawstwo pruskie wydzwignęło włościanina z poniżenia i niewoli, spowodowało ów dobrobyt i w ogóle stworzyło właściwie wspomnianą dzielnicę. Nadto twierdzi, jakoby chłopci mówiący po polsku, w uznaniu tych dobrodziejstw, pozostali prawie bez wyjątku wiernymi rządowi, któremu swój byt zawdzięczają.

Ludności liczone w Poznańskiem r. 1871-go 1,583,843, włącznie wojska, czyli 2.977 mieszkańców na milę kwadratową. Z tych żyło na wsi 1.154.66 a w miastach 415.289; przypada więc na wojsko 13.885 głów.

Dysproporcją mieszkańców wiejskich i miejskich, w porównaniu z innymi dzielnicami państwa pruskiego, tłumaczy sobie autor znaczną stosunkowo ilością miast, które, w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, nie zasługując na to miano, są raczej zabytkiem dawnych stosunków polskich.

Rząd pruski zamierzał swego czasu poznać pewną liczbę mniejszych miasteczek, zwłaszcza tych, których mieszkańcy zajmują się przeważnie rolnictwem; odstąpił atoli od tego zamiaru, ponieważ nie było można zniewolić mieszczan do zrzeczenia się swych domniemanych praw i przywilei. Przemysł w tych miasteczkach podupadł znacznie z powodu zamknięcia granicy wschodniej i w ogóle uległ przemysłowi fabrycznej.

Ludność poznańska składa się z trzech narodowości t. j. z Polaków, Niemców i Żydów, których autor uważa za odrębny naród. Polaków mniema być pierwotnymi mieszkańcami W. Ks. Poznańskiego, a kraj rdzeniem państwa niegdyś polskiego.

Przyjęcie wiary chrześcijańskiej umożliwiło w X wieku przesiedlenie się Niemców do Polski, które przeważnie odbywało się drogą pokojową, a nie, jak w innych ziemiach słowiańskich, za pomocą częściowego wytępienia autochtonów. Od XIII stulecia datuje się tłumniejsze przesiedlanie;—biskupi, klasztory, następnie szlachta i sami królowie sprowadzali do Polski niemieckich osadników. Przekazywano im ziemię na własność z ściśle określonym czynszem, i zagwarantowano im jak najwyraźniej wolność osobistą i prawo niemieckie czyli magdeburskie. Pomimo tych korzyści ustała kolonizacja w XV wieku, ponieważ wzmagająca się podówczas szlachta zaczęła nagabywać przywileje osadników, a w skutek tego nie jedna zmarniała osada niemiecka.

Tłumniejsze od poprzedniego przesiedlanie nastąpiło podczas ruchów religijnych XVI stulecia. Wiadomo, że w r. 1573 uznano w Polsce równouprawienie protestantów z katolikami, które ściągало do kraju prześladowanych gdzieindziej akatolików. Po klęsce zaś Białogórskiej w r. 1620 chronili się protestanci do Polski, która ich przy-

mowała gościnnie, a jakkolwiek już w owym czasie rozpoczynało się i tam prześladowanie protestantów, w ogóle przecież, z powodu rozpadającej się w tym względzie szlachty, nie przeprowadzano go z taką jednolitością i surowością, jak w innych krajach. Z tego też powodu trwało ciągle owo przesiedlanie, zwłaszcza od r. 1648, po zawarciu pokoju westfalskiego. W roku wreszcie 1772, gdy ziemia Nadnotecka dostała się pod panowanie pruskie, doznała kolonizacya znacznego poparcia ze strony Fryderyka II, który w tym kierunku wielkie już był zrobił doświadczenie na północnym wschodzie swego państwa. W roku 1793 przeszła druga część obecnego W. Ks. Poznańskiego pod panowanie pruskie, a chociaż ówczesne rządy nie mniej dbały o kolonizacyą niemiecką, nie prosperowała ona tak, jak pod opieką Fryderyka II. Między r. 1807 a 1815 ustała na chwilę powódź niemiecka, po zawarciu natomiast traktatów wiedeńskich płynnie dalej utworowanym wiekowemi stosunkami korytem.

Trzecią narodowość, jak wspomniano powyżej, tworzą żydzi. Ci zaczęli przesiedlać się równocześnie z niemcami, to jest w X już stuleciu. Przechowane i ogłoszone dotąd dokumenta wspominają po raz pierwszy, pod r. 1085, o żydach, zamieszkujących w Wałczu. Od XIII wieku, gdy w innych państwach Europy ich prześladowano, przybywali tłumnie do Polski, gdzie różnych doznawali względów. I tak np. nosili kontusze z szablą przy boku, co tylko szlachcie było wolno, a skoro który z nich przyjął chrzest, tem samem stawał się szlachcicem. Każdy żyd stał pod szczególną opieką wojewody i króla. Żyd mógł przysięgą oczyścić się z każdego oskarżenia. Kto żyda oskarżał o zamordowanie dziecięcia chrześcijańskiego, winien był udowodnić to świadectwem trzech chrześcian i trzech żydów. Kto zabił żyda, sądzonym był przez samego króla i karany konfiskatą majątku, kto zaś żyda potłukł lub poturbował, stawał przed wojewodą. Znieważenie żydowskiego cmentarza lub bóżnicy, karaniem było tak samo, jak zbezczeszczenie kościoła. Wolno było żydom trudnić się handlem, pobierać procenta i przyjmować w zastaw wszelkiego rodzaju towary, nawet świętości chrześcijańskie pod warunkiem, ażeby je dali do przechowania jakiemukolwiek duchownemu. Nie wolno im było nabywać dóbr ziemskich.

Tylko w Polsce, w państwie chrześcijańskiem, istniało państwo żydowskie, zorganizowane prawidłowo, podzielone na dzielnice, które odbywały swe sejmiki i obierały deputatów. Tacy posłowie zjeżdżali się w Warszawie. Na czele żydów stał potwierdzony urzędowo marszałek, który, obierany na lat sześć, załatwiał sprawy żydowskie i wewnętrzne i państwowe. Rabin sądził nie tylko sprawy zachodzące między żydami, ale także w niektórych wypadkach sprawy toczące się między żydami a chrześcianami.

Takich między innymi doznawali w Polsce żydzi dobrodziejstw, nadanych im osobnym statutem w r. 1264 przez Bolesława Pobożnego i potwierdzonych w r. 1334 przez Kazimierza Wielkiego. Przywileje

te, ilokrotnie w późniejszych czasach znoszone, tylokrotnie znów uznawane, przetrwały aż do panowania ostatniego króla polskiego, za którego rządów zniesiono je ostatecznie.

Wskutek tych niesłychanych, jak na owe czasy przywilejów, przyplýwało mnóstwo żydów niemieckich do Polski, gdzie zamiast, jak się tego spodziewano, stworzyć stan średni, rozmnożyli się pomimo różnorodnych prześladowań tak dalece, że Polskę słusznie nazwać było można drugą kolebką żydostwa. Żydzi zamieszkiwali przeważnie w miastach, ponieważ niecierpiano ich pierwotnie po wsiach. I tak np. liczono r. 1797 w Poznaniu 7,437 katolików, 1,918 protestantów i 3,021 żydów; trzeci lub czwarty mieszkaniec był żydem. Że taki stosunek ludności różnoplemiennéj i różnowyznaniowéj, mieszkającéj razem w jedném mieście, wyradzał niechęć jednych do drugich, zazdrość i inne namiętności, łatwo pojąć. To téż, jeżeli szlachta i królowie opiekowali się wogóle żydami, z tém większą nienawiścią i żarliwością prześladowali ich mieszczenie, jako niebezpiecznych w dziedzinie handlu i przemysłu współzawodników ¹⁾.

W ziemi nadnoteckiej namnożyło się z czasem tylu żydów, że Fryderyk II przytrzymał ich 4,000 i przepędził przez granicę do Polski.

Jakkolwiek żydzi, osiedleni w państwie pruskiem, uzyskali indygenat na mocy edyktu z dnia 11 marca 1812 r., dobrodziejstwo to nie rozciągało się przecież na żydów, mieszkających w zaborze pruskim. Rozporządzenie tymczasowe z dnia 1 czerwca r. 1833, które między żydami poznańskimi rozróżniało żydów naturalizowanych i tolerowanych, dozwalało przesiedlanie się ich tylko za wyraźném upoważnieniem ministerstwa. Naturalizacyą zyskali tylko żydzi, którzy wykazać zdołali zapewnione utrzymanie i różnym innym przepisom zadość czynili. Starającym się o naturalizacyą żydom, udzielano jéj chętnie, a gdy przesiedlanie się żydów poznańskich coraz większe przybierało rozmiary, stawał im rząd różne przeszkody, które atoli nie powstrzymywały ich od téj wędrówki. Zupełne uprawnienie żydów z chrześcianami w państwie pruskiem, nastąpiło dopiéro na mocy prawa z dnia 23 czerwca r. 1847 i wskutek konstytucyi w roku 1848 i 1850.

Po wyczerpaniu tych ogólnych zarysów, przystępuje autor do właściwego przedmiotu, t. j. do ocenienia rozwoju owych trzech narodowości, z których się składa ludność poznańska, a zastanawiając się nad tém, kogo właściwie policzyć do polaków a kogo do niemców, przyjmuje wyznania religijne za podstawę swych obliczeń. Kto katolik to polak; kto protestant to Niemiec; kto wyznaje wiarę mojżeszową to żyd. Są wprawdzie katolicy Niemcy, i protestanci Polacy, są téż żydzi Polacy, liczba atoli jednych, drugich i trzecich, zachwiać nie

¹⁾ Ob. list magistratu poznańskiego z r. 1619 w Łukaszcwicz: *Obraz hist. stat. m. Poznania I*, 81.

może przybliżonych o ile możności cyfr statystycznych, które, wobec stosunków poznańskich i przy tak mieszanj ludności, żadną miarą ubiegać się nie mogą o należyta w statystyce ścisłość.

Celem zbliżenia się w tym względzie do rzeczywistości, przedsięwzięto już dawniej z ramienia rządu rozmaite środki, które przecież nie doprowadziły do pożądanego skutku. I tak biorąc np. język za znamię narodowości, policzono w r. 1831 do Niemców wszystkich tych, którzy posługują się językiem niemieckim w sprawach publicznych, oraz i tych, którzyby, w danym razie zrozumieć mogli niemieckie nabożeństwo ¹⁾. Na tej zasadzie oparto liczbę Polaków na 603,374, Niemców na 443,106 głów ²⁾, wykluczając wojsko. Żydów, uważanych za Niemców, było 69,681. Autor powątpiewa o wiarygodności tych cyfr. W późniejszych tedy latach, chcąc zbliżyć się do rzeczywistej liczby Polaków w Poznańskiem, ustanowiono trzy rodzaje mieszkańców, różniących się pod względem językowym. I tak było w r. 1852:

mówiących tylko po niemiecku	405,872
„ „ „ polsku	670,294
„ „ „ jednym i drugim językiem	294,190
czyli mieszkańców wogóle	<u>1,370,356.</u>

Ale i przy takim obliczaniu nie dowiedziano się liczb pożądaných. Przystąpiono tedy do segregowania Niemców od Polaków na podstawie języka ojczystego i osiągnięto w r. 1861 następujące cyfry:

801,521 Polaków
666,083 Niemców

1,467,604 ogółem.

Niemniej wierzy autor i tym cyfrom, zwłaszcza z uwagi na dowolność urzędników, wyłącznie Niemców, którzy przy liczeniu ludności, rozstrzygają o narodowości rodzin i jednostek. Zdarzyło się np., że posła Niegolewskiego i innych posłów Polaków, policzono do Niemców, ponieważ władają językiem niemieckim; za Polaków uważano zaś jedynie tych, którzy nie umieją ani słówka po niemiecku. Żołnierzy w czynnej służbie liczono, bez względu na ich rzeczywistą narodowość, do Niemców.

Pozostał jeden jeszcze sposób wyróżnienia Niemców od Polaków: wybory. Przy ogólnych wyborach do parlamentu w r. 1881, padło 59% głosów na Polaków, a przy ściślejszych wyborach nawet 82%. Tu przywodzi autor zdanie rozpaczliwe, że pod wpływem duchowieństwa katolickiego, germanizacya cofa się raczej, zamiast rozwijać się należycie i postępować. Wyczerpawszy tedy rezultaty tych wszyst-

¹⁾ Den deutschen Gottesdienst.

²⁾ Podług innych źródeł było Polaków 608,254
Niemców 435,095
ogółem 1,043,349.

kich wątpliwych obliczeń wraca autor do zasady, że w Poznańskim rozróżniając narodowości według wyznania, osiąga się liczby najwięcej do rzeczywistości zbliżone.

Zestawiając następnie statystykę pojedynczych powiatów, wnioskuje, że gdzie więcej mniejszych posiadłości, tam więcej Niemców, a gdzie ich mniej, tam więcej Polaków! W powiecie np. Wrzesińskim jest najwięcej Polaków bo 90.77%, a w Międzyrzeckim najmniej bo 15.09%. Liczebnie jest więcej właścicieli Niemców a więcej robotników Polaków.

Robotnik Polak odznacza się zrzecznością i wytrwałością ciała, pewnym zamiłowaniem do pracy i przedewszystkiem wielką skromnością w swych wymaganiach; z drugiej atoli strony odznacza się także, pozałowania godnym brakiem przezorności i zaradności na przyszłość tudzież zmiennością, i niestety bardzo rozpowszechnioną jeszcze skłonnością do pijaństwa. Ztąd wynika, że dobrobyt w ogólności jest większym u Niemców aniżeli u Polaków.

W ogólnym wykształceniu szkolnym przodują Niemcy; między Polakami znajduje się znacznie więcej analfabetów, między Żydami zaś cokolwiek tylko więcej jak między Niemcami. Wzmagająca się stopniowo agitacja polska, zwłaszcza w Prusach Zachodnich, jest powodem tegoż objawu. Te gorszące w tym względzie stosunki, nie dochodziłyby do tych rozmiarów, gdyby istniejący już sam w sobie wstręt do szkoły nie był podsycony wśród ludności polskiej, nienawiścią do Niemczyzny, która zdaniem Polaków popieraną być ma i szerzoną za pomocą szkoły. Niejednokrotnie skarżyli się nauczyciele, że rodzice Polacy poszarpali niemieckie książki do czytania, które ich dzieci ze szkoły przynosiły do domu,—że dzieciom zakazywano mówić po niemiecku, lub niemieckie śpiewać pieśni i że dzieci wołały raczej surowe ponosić kary, aniżeli słuchać w tej mierze nauczycieli. Na tę propagandę, której zadaniem jest podsycać nienawiść rasową, wpływa podobno przedewszystkiem duchowieństwo polskie (?). Statystyka powiatu Kartuskiego uskarża się także na wzmagającą się od kilku lat dziesiątek krnąbrność ¹⁾ polską, wobec której, stawiając na równi polskość z katolicyzmem, upatruje się w języku polskim język jakoby święty, i w obec której nawet pierwszy lepszy prostaczek wypiera się znajomości języka niemieckiego.

Moralność była między r. 1856 a 1861 w przecięciu większą u protestantów, aniżeli u katolików. W porównaniu z innymi dzielnicami państwa Pruskiego, przoduje Poznańskie pod względem liczby osadzonych w domu karnym. Roku 1874 liczone takich przestępców 170 na 100,000 mieszkańców. Zamiast liczby przemawiającej za moralnością Żydów, podaje autor ogólną ich charakterystykę, a w przypiskach wspomina, że prawie wszystkie statystyki powiatowe wspominają o nich korzystnie.

¹⁾ Trotz.

Ludność cywilna W. Ks. Poznańskiego wynosiła w końcu 1825 roku 1,031,925, a w 1871 roku 1,569,958 dusz, wzrosła przeto w przeciągu tego czasu o 52,14%, który w porównaniu z innymi dzielnicami jest niskim.

W roku 1825 liczono: 677,083 katolików,
289,711 protestantów,
65,131 żydów.

W r. zaś 1871 liczono: 1,000,461 katolików,
508,060 protestantów,
61,437 żydów.

Wynika ztąd, że ludność protestancka wzrosła o 75,36%, a katolicka o 47,76%, podczas gdy żydów ubyło w tym czasie 5,67%.

W przypiskach podaje autor cyfry z r. 1880, według których ogólna liczba żydów poznańskich spadła na 56,609 dusz.

W okresie czasu od roku 1824 do 1871 wyprowadziło się więcęj z księstwa aniżeli wprowadziło—34,574 dusz. Wskutek tego przesiedlenia ubyło żydów 46,640 i katolików 18,790, protestantów natomiast przybyło 30,856.

Ubytek katolików czyli polaków tłumaczy autor ruchliwością ¹⁾, brakiem miłości do gleby ojczystej, i tym podobnymi domniemaniami i właściwościami charakteru polskiego. Żydzi wynoszą się systematycznie ku zachodowi, niemcy prą ku wschodowi.

W czasie od r. 1824—1873 zawarto w Poznańskim przecięciowo 12.479 małżeństw, co w porównaniu z innymi dzielnicami, znacznym jest procentem.

I płodnością małżeństw odznacza się Poznańskie, w okresie bowiem od r. 1819—1873 urodziło się z małżeństw:

katolickich	1,951,382,
protestanckich	840,918,
żydowskich	135,098,

wogóle 2,936,398, czyli 447, 422, i 476 dzieci na każdą setkę małżeństw. ²⁾

Polacy żenią się wcześnięj, aniżeli niemcy, ci zaś wcześnięj (?) od żydów. Między 20 a 40 rokiem życia wychodzą za mąż najczęściej żydówki, między którymi małżeństwa zawarte po 40 lub przed 20 rokiem życia należą do rzadkości (?)

Małżeństw protogamicznych zawierali żydzi najwięcej, a Polacy najmnięj; głównym tego powodem jest większa stosunkowo śmiertelność między Słowianami, aniżeli między żydami i niemcami. Żeniąc się wcześnięj od innych, narażają się Polacy na częste rozwiązywanie małżeństw w skutek śmierci przedwczesnej, pozostawiającej owdowiałych w wieku, w którym ludzie nie zwykli zrękać się powtórnego małżeństwa.

¹⁾ Wandertrieb.

²⁾ W tym okresie zawarto 660,820 małżeństw.

Małżeństw palingamicznych, znachodzi się u żydów w jak najmniejszej liczbie.

Do powyższej liczby dzieci urodzonych z legalnie zawartych małżeństw; dodawszy 177,755 nieprawego łoża, osiągamy liczbę ogólną 3,114,153.

Między temi nowonarodzonemi dziećmi było w ogóle:

	1,598,886 chłopców i
	1,515,267 dziewcząt,
czyli u katolików	1,062,314 chłopców i
	1,009,117 dziewcząt,
„ protestantów	464,386 chłopców i
	439,524 dziewcząt,
„ żydów	72,186 chłopców i
	66,626 dziewcząt.

Chłopców rodzi się przeto więcej aniżeli dziewcząt, rodzi ich się także więcej w miastach jak po wsiach. Najwięcej stosunkowo dzieci nieprawego łoża dostarczają Niemcy, a Żydzi najmniej. U protestantów bowiem urodziło się ich:

	53,992	czyli 5,97% u
katolików	120,049	„ 5,80% i u
żydów	3,714	„ 2,68%.

Najwięcej takich dzieci rodzi się w miastach. Dzieci nieprawego łoża żydowskie uważane są tu jako takie, skoro ich ojciec i matka byli Żydami; jeżeli zaś ojciec był chrześcianinem, dziecko stosownie do prawa krajowego i innych przepisów rządowych, wychowanem bywało w wyznaniu ojca.

I pod względem śmiertelności odznaczało się Poznańskie w okresie czasu od 1824 do 1873 r. Przy ludności przecięciowej 1,305,571 głów umierało rocznie: 30,095 na 829,579 katolików

	12,705	„ 404,162 protestantów i
	1,591	„ 71,830 żydów;
rodziło się katolików		38,158.
„ „ protestantów		16,948.
„ „ żydów		2,534.

Przewyżka więc roczna czyli wzrost ludności wynosi na 10,000 głów: 97 (!) katolików, 105 protestantów, 131 (!) żydów. Śmiertelność dzieci jest w ogóle większą u Słowian aniżeli u Niemców a najmniejszą jest u Żydów.

Od roku 1819 do 1863 zmarło w Poznańskim na 2,409,171 dzieci około 896,846 czyli 37, 23% przed skończonym szóstym rokiem życia.

Dzieci zmarłych podczas rodzenia lub zaraz po narodzeniu wykazuje Poznańskie najmniejszą w państwie pruskiem liczbę; w okresie bowiem od 1819 do 1873 roku liczono takich wypadków tylko 89,805 na 3,114,153 dzieci czyli 2,87% (!). W porównaniu z innymi państwami Europy wykazuje tylko Austria mniejszy procent; Holandya

liczy aż 5,17%. W Poznańskim tracą Polacy mniej takich dzieci, aniżeli niemcy; na sto protestanckich dzieci zmarło 3,64%, katolickich 2,44%, i żydowskich 2,34%.

I w tym względzie dostarczają miasta większych liczb, niż wieś. Autor zastanawiając się nad powyższymi liczbami, porusza wszelkie możliwe kwestye, jak np. ekonomiczne, socyalne, familijne i fizyczne, stosunki życia miejskiego i objawy moralności,—i dochodzi w końcu do wniosku, że przyczyny tego rodzaju śmiertelności szukać wypada w jój pojmovaniu (?). W okolicach bowiem katolickich uważają narodzenie nieżywego dziecka za większe nieszczęście, jak samą śmierć. To powoduje rodziców do chrzcenia z wody noszącego w sobie zarodek śmierci dziecka i choćby kilka tylko minut żyło po narodzeniu, podają je do ksiąg kościelnych jako żywo urodzone, wskutek czego zmniejsza się znacznie liczba nieżywych. W okolicach zaś protestanckich, gdzie zaprowadzono kodeks cywilny, uważa się dziecko zmarłe w przeciągu trzech, a nawet niekiedy ośmiu dni po narodzeniu za nieżywe; ztąd też ta wielka stosunkowo liczba tak podanych i zapisanych dzieci. Niemowląt przed skończeniem roku życia zmarło w czasie od r. 1819 do 1870, włącznie z nieżywymi, na 1,926,676 dzieci katolickich 440,372 czyli 22,87%; na 840, 923 dzieci protestanckich 202,964 czyli 24,13%, na 133,371 dzieci żydowskich 22,049 czyli 16,53%.

Od r 1819 do 1863 urodziło się włącznie z nieżywymi 1,598,841 katolickich, 690,807 protestanckich i 119,523 żydowskich dzieci. Z tych umarło w pierwszym roku 352,714, od pierwszego do trzeciego roku 274,464 i od trzeciego do piątego roku 79,732: ogółem 606,910 czyli 37,96% dzieci katolickich. W pierwszym roku 162,266, od pierwszego do trzeciego roku 65,931 i od trzeciego do piątego roku 27,441: ogółem 255,638 czyli 37,01% dzieci protestanckich. W pierwszym roku 19,803 ¹⁾, od pierwszego do trzeciego 10,615 i od trzeciego do piątego roku 3,874: ogółem 34,292 ²⁾ czyli 28,69% dzieci żydowskich.

W pierwszym więc roku życia zmarło mniej dzieci polskich aniżeli niemieckich, odwrotnie zaś od jednego roku do szóstego roku życia. Śmiertelność dzieci żydowskich jest stosunkowo mała. Autor wyczerpawszy swój przedmiot, dodał kilka tablic statystycznych i liczne objaśnienia, zawierające cytaty z dzieł i sprawozdań, na których oparł swą pracę i które świadczą o bogactwie źródeł, jakie nagromadził ażeby jój sprostać! W końcu zestawił różne liczby, świadczące o stopniowym ubytku ziemi polskiej w W. Ks. Poznańskim.

E. Callier.

¹⁾ Liczby niezgodne, na str. 215 i 216.

²⁾ 34,260.

„Louis XIV et Strassbourg” par A. Legrelle, docteur ès lettres, troisième édition, Paris, Hachette, 1883, str. 796.

Dziejopisarzom francuzkim niemcy zarzucają brak systematyczności i dokładności, których niezdoła zastąpić najświetniejszy wykład. Zarzut ten właściwie nigdy nie był uzasadnionym. Ktokolwiek bowiem obeznał się nieco bliżej z starszą historyografią francuzką, przyzna, że jój nigdy nie brakowało na dziełach nadzwyczaj gruntownych, z których nie ma jeszcze po kilkuwiekach jest obfitem źródłem dla badacza, np. słynny słownik historyczny p. du Cange. To pewna, że w najnowszych czasach dziejopisarze francuzcy umieją łączyć gruntowność z wykwintnym, zachwycającym, nigdy nie nużącym stylem. Ktokolwiek przeczytał „dzieje Francyi“ świeżo zmarłego Henryka Martina, albo też najnowsze znakomite dzieła historyczne księcia de Broglie i kto wie, że podobnym wykładem odznaczają się niemal wszystkie nowsze publikacje francuzkie na polu historycznym, zapewne z nami się zgodzi na to, że jakkolwiek historyografia niemiecka w ostatnich trzech dziesiątkach lat, osiągnęła także pod względem zaniedbanj dawniej formy wykładów wielki postęp, w niczem jednak nie zaćmiła silnie ugruntowanj sławy historyografii francuzkiej (i angielskiej).

Z mnóstwa ważnych i ciekawych publikacji francuzkich ostatniego roku, zasługuje na uwagę dzieło p. Legrelle'go o przyłączeniu Strasburga do Francyi. Tytuł, przytoczony na wstępie, nie wskazuje jednak dokładnie treści dzieła, bo jest to właściwie historia Strasburga od najdawniejszych czasów, aż do wcielenia tego miasta do Francyi, opowiedziana w sposób zajmujący, chociaż oparta na bardzo gruntownych studyach, z przytoczeniem różnych znanych, i niewydanych dokumentów. Autor wykazuje, że: 1) Strasburg od dawnych czasów pozostawał pod względem narodowościowym, politycznym i ekonomicznym w ściślejszym związku z Francją aniżeli z Niemcami; 2) Ludwik XIV, zabierając w r. 1681 Strasburg, wykonał tylko traktaty, mianowicie westfalski, który już dawniej przyznał to miasto Francyi; 3) elektor brandeburski najmniej się opierał tój kwestyi, lecz owszem, prawda że wskutek przekupstwa, stawał po stronie Francyi. O ile podobna streścić dzieło, liczące blisko 400 kart, na kilku stronicach, rzecz w popartym wszędzie dokumentami wykładzie autora, przedstawia się tak:

1) Cezar i Strabon uważają Ren jako wschodnią granicę szczepu gallów, Tacyt germanom przypisuje siedziby pomiędzy Renem a Dunajem, jeszcze w XII stuleciu kronikarz Otton z Freisingenu uznaje Ren jako granicę pomiędzy szczepem gallów a germanów. Co do miasta Strasburga, była to osada rzymska, zwana Argentoratum albo też Argentina. Pierwszy Grzegorz z Tours przytacza nazwę Strati-

burgum, złożone z wyrazu burgum i strata via, czyli warownia nad szerokim szlakiem. Według podania Clovis wystawił w Strasburgu pierwszy kościół katedralny, Dagobert II ufundował biskupstwo, a w słynnym podziale z r. 843 „ducatum Helisatie” otrzymał Lothar, nie zaś Ludwik niemiecki. Około r. 858 zaczęła się inwazyja niemiecka, następnie cesarze Henryk i Otto I zabrali Alzacyą. Wtedy rozpoczęła się też germanizacyja nazw miejscowości; z Tabernac montanae zrobiono Bergzabern, z Saletio Seltz, z Brocomagus Brumath, z Mons Brisacias Breisach i t. d. Z tém wszystkim Strasburg nie pozostawał w bliższych politycznych stosunkach z cesarstwem niemieckim, stanowił wolne miasto i raczej przechylał się ku kantonowi szwajcarskiemu, aniżeli ku cesarstwu. (Stosunki pomiędzy Strasburgiem a Szwajcaryą autor dokład nie wyjaśnia na kilkunastu stronnicach). W czasach reformacyi podniosły się wpływy francuzkie w Strasburgu. W r. 1538 Calvin osiadł tu i ożenił się z Ideletą de Bury, i tutaj wydał w roku 1541 swoje „instytucyę chrześcijańską” po francuzku; „z Strasburga więc—powiada Michelet—wyszedł ten nowy język francuzki, silny, czysty, smutny (?), ale zdrowy i już zupełnie uzbrojony.” W każdym razie Calvin stał się „prawdziwym twórcą wpływu francuzkiego w Strasburgu,” gdzie wtedy powstała francuzka gmina kościelna i gdzie hugonoci francuzcy znajdowali zawsze schronienie, a często piastowali wysokie urzędy. Strasburg był też ogniskiem pisemek ulotnych i pamfletów, któremi walczyły ze sobą stronnictwa francuzkie, słowem: pozostawał w ciągłym duchowym związku z Francyą. Królowie francuzcy zresztą patrzyli na to przez szpary, statecznie starając się o przyjaźń strasburczyków, których Karol IX w swych listach tytułował „très chers, grands et anciens amis, alliés et confédérés,” oświadczając gotowość okazywania im, „la bonne et sincère amitié de ses prédecesseurs en embrassant tout ce qui se présenterait pour leur bien et repos.” Henryk III po zabójstwie księcia de Guise przesłał radzie strasburskiej pismo uniewinające ów zamach, ze swęj strony Henryk Bourbon w imię wspólnego wyznania, ubiega się o przyjaźń strasburczyków, utrzymuje śród nich osobnego posła p. Segur-Pardeilhan i pisze do nich częste listy. Wprawdzie strasburczycy podejrzewali ciągle powody tych objawów przyjaźni, i raz poraz powstawała w mieście trwoga z powodu przewidywanych zamachów Francyi na niepodległość miasta. Jednakże w miarę, jak się zaostrzał w Niemczech antagonizm pomiędzy protestantami a katolikami, pomimo zgniecenia hugonotów we Francyi, ścieśniały się stosunki pomiędzy Strasburgiem a rządem francuzkim. Na początku wojny 30-letniej Strasburg wyraźnie już skłaniał się ku stronie Francyi, choć interwencya szwedów, którzy się wytrawnym dyplomatem wolnego miasta wydawali najmniej niebezpiecznymi, bo najodleglejszymi protektorami, chwilowo odwróciła ich uwagę w inną stronę. Właśnie jednak konoszachty z niemiecko-szwedzkimi siłami, które po zgonie Gustawa Adolfa dostały się pod wpływ Francyi, przyśpieszyły oddawna przygotowujący się los Alzacyi i Strasburga.

2) Dyplomacya francuzka konsekwentnie dążyła do opanowania Alzacyi, a właściwie do przywrócenia dawniej „naturalnej granicy“ państwa galów. Wojna 30-toletnia dostarczyła pożądanego pretekstu. „Francya w tój wojnie strwoniła zanadto krwi swój i skar-bów, wrzucała miliony do bezdennój kasy księcia wejmarskiego (Bernarda), słowem zadaleko zaszła na drodze poświęceń (?), aby w końcu nie miała się domagać odpowiedniego wynagrodzenia. Dla Francyi nadto pozyskanie Alzacyi nie było zdobyczą zbyt kowną, lecz przede-wszystkiem wałem przeciwko tradycyjnym i rujnującym wylewom szczepu sąsiedniego, mniej uposażonego od przyrody i gotowego zawsze wylać na zewnątrz część swój ludności, wzrastającój zbyt szybko. Zwycięzka monarchia francuzka, musiała przynajmniej postarać się o pewne gwarancye na przyszłość“ (str. 116). W ten sposób wszyscy zdobywcy umieli uzasadnić grabież. To pewna, że Francya zabrała Alzacyą w równie „legalny“ sposób, w jaki się dokonywały w dziejach „najlegalniejsze“ zdobycze. Książę Bernard wejmarski, najsyntnij-szy po Wallensteinie condottiere wojny 30-toletniej, wspierany milionami francuzkiemi, opanował był w końcu Alzacyą i rząd francuzki uznał go jako udzielnego księcia tego kraju (1635). Umierając, książę Bernard napisał testament, w którym Francyą czynił spadkobierczynią Alzacyi. Wprawdzie rozpoczęła się niebawem licytacya różnyh mocarstw o wojsko, pozostałe po śmierci Bernarda bez wodza, ale Ludwik XIII wypłacił największą sumę i „kupił wojsko i jego zdobycze.“ Sztandar Francyi niebawem powiewał w Brisachu. Resztę dokonał traktat monasterski z 24 października r. 1648. Do odstąpienia Alzacyi odnoszą się artykuły 73, 74 i 79, tudzież artykuł 87 traktatu, stanowiący pewne zastrzeżenie na rzecz swobód publicznych Strasburga i niektórych innych miast Alzacyi. Wymienione najprzód trzy artykuły, zawierają rzeczywiście cessay jaknajdobitniejszą; natomiast ostatni artykuł, nie zupełnie jasny, dozwala różnego tłumaczenia, to też aż do najnowszych czasów dziejopisarze niemieccy odwoływują się do artykułu 87-go, aby uzasadnić twierdzenie, że cessya nie odnosiła się do Strasburga. Autor nasz w nadzwyczaj gruntownym wykładzie dowodzi, że takie tłumaczenie nie odpowiada słuszności. Nie możemy też wdawać się w wszystkie szczegóły tego obszernego dowodu, popartego i trafnym rozumowaniem i różnymi ważnymi dokumentami. Słuszność niezawodnie znajduje się po stronie francuzkiego dziejopisarza; albowiem zupełnej cessayi, wypowiedzianej w najdobitniejszy sposób w trzech pierwszych artykułach, niepodobna następnie znieść za pomocą sztucznej interpretacyi artykułu 87-go. Trzeba też uwzględnić stosunki, w jakich zawartym był traktat westfalski. Francya zawierała go jako zwycięzca, a Francya domagała się całej Alzacyi, mianowicie Strasburga; Austria i cesarstwo niemieckie zawierały traktat z przymusu, nie mogąc dłużej prowadzić wojny. A zatem traktat przez zawierające go strony, nie był oczywiście ułożony i podpisany w tój myśli, jak to później tłumaczyła

polityka niemiecka. Że Francya nie zajęła natychmiast Strasburga, jak resztę Alzacyi, tłumaczy się dostatecznie raz ówczesnemi zamieszkami we Francyi (la fronde), powtóre stałą dążnością rządu francuzkiego uzyskać Strasburg w drodze pokojowej, bez gwałtu. Gdyby Francya była zajęła Strasburg zaraz po podpisaniu traktatu westfalskiego, nie byłoby to sprawiło większego wrazenia, jak zajęcie reszty Alzacyi; jedynie fakt, że okupacya Strasburga nastąpiła dopiero o kilkanaście lat później 1681, dostarczył niemcom pretekstu do znacznych oburzeń i jeremiad.

3) Gwałt, jakiego się rzekomo dopuścił Ludwik XIV, zajmując Strasburg, nigdzie nie doznał namiętniejszej krytyki, jak po stronie późniejszych dziejopisarzy pruskich. Warto więc zaznaczyć, że najwierniejszym sprzymierzeńcem Francyi wówczas, nie był kto inny, jak elektor brandenburski. Od r. 1656 stanął on w żołądźce Ludwika XIV, specjalnie w celu utrzymania panowania francuzkiego w Alzacyi i Lotaryngii (artykuł 3 odnośnego traktatu). Ponownie tajnym traktatem 20 października r. 1679 za cenę 100,000 liwrow rocznej subwencji (na 10 lat), elektor zobowiązywał się przepuścić wojska francuzkie, ilekroć miałyby wtargnąć do Niemiec, przez terytoryum pruskie, oddać głos Ludwikowi XIV lub innemu kandydatowi francuzkiemu do korony niemieckiej i wpłynąć w tym duchu na innych elektorów. Już w dwa lata później elektor wytargował podwyższenie subwencji francuzkiej do 100,000 talarów. Z swjej strony poseł elektora na sejmie niemieckim w Ratysbonie, dr. Gottfried de Jena, przyjmował gratyfikacye francuzkie, a mianowicie kosztem skarbu francuzkiego pomnażał swe srebra stołowe. Za to p. Jena wysługiwał się ambasadorowi francuzkiemu nie tylko jako doradca, lecz także jako szpieg i donosiciel i gorliwie popierał w Niemczech politykę francuzką, dotyczącą Strasburga. Kiedy wreszcie spełniły się losy miasta (w dwa lata potem wyszła tam moneta pamiątkowa z napisem „Clausus Germanis Gallia,” a w środę 1-go października, nadeszła wieść o tém do Ratysbony; w pewnej części Niemiec wszczęła się wielka wrzawa, ale elektor do téj części nie należał. Owszem: winszował Ludwikowi XIV wejścia do Strasburga, za co otrzymał „wspaniały dyament czerwony“ i złotą skrzyneczkę, (str. 598), następnie zaś myślał tylko o tém, jakby otrzymać wynagrodzenie kosztem Szwecyi! „La politique des pourboires!“ Złoty dészcz spadł znowu na elektora i dwór jego,—gdyby można zliczyć wszystkie sumy, które Francya w XVII i XVIII stuleciu wysłała do Niemiec, wydałoby to bajeczne cyfry! Już w październiku przez Hamburg nadeszły do Berlina skrzynie ze srebiami stołowemi, w listopadzie wysyłają z Paryża 150 marek sr. dla p. Brinquemar, majora kawaleryi W. Elektora. Minister brandenburski Meinders, otrzymał 2,500 talarów, panna de Vangenheim, powierniczka elektorowej, 1,000 tal., niejaki Kornmesser 800 tal. „Widać, wolność“ Strasburga została zapłacona gotówką służbie dworu brandenburskiego, jak jemu samemu, a dodajmy zaraz, tylko jemu

była zapłacona w ten sposób“ (str. 624). Zresztą 12 stycznia r. 1682, elektor podpisał nowy traktat z Francją, na mocy którego zobowiązywał się, nie przyłączyć się do żadnej koalicji przeciwko Francji, za co subwencya francuzka podniosła się na 450,000 liwrów rocznie! Takie zachowanie się elektora udaremniło wszelkie usiłowania dworu wiedeńskiego i monachijskiego pobudzenia rzeszy niemieckiej do walki przeciwko Francji.

Oto ramy dzieła p. Legrella. Z polityką aktualną nie pozostaje ono w bezpośrednim związku. Małe kraje, położone pomiędzy dwoma wrogami szczepami, zawsze będą wystawione na gwałt mocniejszego. Stosunki historyczne nie wyjawiają tam kwestyi. Gruntowny wywód autora francuzkiego nie dowodzi więc bynajmniej, aby niemcy w imię zwycięstwa „quia sum leo,“ nie miały prawa zabrać w r. 1871 Strasburga, jak je zabrał w r. 1681 Ludwik XIV. To, co aneksyi pruskiej nadaje cechę tak ujemną, jestto jedynie fakt, że nie śmiano odwołać się do woli ludności alzackiej, a więc pośrednio uznano, iż alzacczycy w ciągu blisko 200 lat zlali się istotnie z Francją, że przeto nie oswobodzono tego kraju, lecz go podbito i zabrano. Głosowanie powszechne w Nicei i Sabaudyi r. 1859 mogło być po części komedją, ale było to przynajmniej jedno z tych ustępstw, jakie obłuda czyni cniecie.

E. J.

Od Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Odpowiedź Redakcyi

na uwagi Ateneum w sprawie programu konkursowego: „Obraz historii literatury polskiej w wieku XVII.”

Słowa, które p. Chmielowski zamieścił w redagowanym przez siebie „Ateneum” (zeszyt marcowy r. b. str. 588—590) z powodu ogłoszonego przez Redakcyą Bibl. Warsz. programu nowego konkursu, uważalibyśmy za życzliwe poparcie naszej intencji naukowej, gdyby nie kilka zastrzeżeń, przesądających rezultat usiłowań naszych przez stanowcze zawyrokowanie, że „wymagania nasze są zbyt rozległe,” i że „o ściśle naukowym ich wypełnieniu marzyć nawet niepodobna.” Decyzja taka zdaje nam się dziś co najmniej przedwczesną, a ponieważ mogłaby wpłynąć zniechęcająco na piszących, przeto uważamy za nasz obowiązek wypowiedzieć kilka słów objaśniających, dyktowanych przez metodologią każdego większego dzieła naukowego.

Nie dziwi nas to bynajmniej, że na pierwszy rzut oka może program, o którym mowa, wydać się czytelnikowi zbyt rozległym; lecz po wszechstronném rozważeniu téj okoliczności, że przecież do zadania takiego nie powinien się rwać pisarz dostatecznie nie przygotowany, szukający dopiero nieznanego sobie wcale materiału, ani pisarz nie znający studyów krytycznych, przygotowawczych na tém polu; — to może przyjdziemy do tego przekonania, że program rzezonego konkursu nie powinien bynajmniej przestraszać badacza poważnego. Program jakiegokolwiek szerszego tematu naukowego powinien bowiem koniecznie wskazywać cały widnokrąg, powinien charakteryzować ogół rzeczy, nie zapuszczając się jednak zbyt głęboko w szczegółową dyspozycyą całej treści. Taki ogólny pogląd podnosi zadanie na wyższe stanowisko naukowe; ustosunkowanie zaś między sobą rzeczy głównych i pobocznych jest już zadaniem piszącego, który im dokładniej uwydatni tę stronę pracy swojej, tym bliższym będzie osiągnięcia upragnionej nagrody. Tam gdzie są dobre, systematyczne podręczniki, obejmujące i charakteryzujące dobrze całość życia umysłowego, możnaby się przy obrazie jednéj epoki obejść bez takiego poglądu; ale gdzie przy niedostatku dobrych podręczników opierają się monografie na bardzo ruchomym gruncie dowolnych osobistych opinii, nieusprawiedliwionych ogólną ideą rozwoju umysłowego narodu: tam szerszy pogląd na całość przedmiotu musi do pewnego stopnia zastąpić wskazówkę metodologiczną.

P. Ch. zwraca uwagę na tę okoliczność, że przy dzisiejszym rozsPECIALIZOWANIU SIĘ NAUK, których pojedyncze gałęzie wymagają osobnego badacza specjalisty, nie ma takiego polihistora, któryby wszystkie samodzielnie mógł zbadać. Gdyby krytyka zapatrywać się miała na samodzielność badań literata z tego punktu widzenia, to nie można by w ogóle mówić o historii literatury, jako o poważnej gałęzi wiedzy ludzkiej. Ani Villemain ani Hettner ani Brandes nie są polihistorami w tej myśli, żeby wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej badali samodzielnie we wszystkich szczegółach, poczynając od wiadomości prawideł zasadniczych każdej nauki aż do jej ostatecznych wyników szczegółowych w dniu dzisiejszym. Są to jednak mężowie uczeni, pracą metodologiczną do tyła wyćwiczeni, że potrafili myśłą swoją krytyczną powiązać fakta i prawidła przez specjalistów zdobyte i przez naukę za ostateczny wyraz wiedzy danej chwili przyjęte. Każdy badacz historii literatury zgłębia samodzielnie i szczegółowo jedną lub parę tylko pokrewnych sobie gałęzi pracy umysłowej swojego narodu i to się odbije samo przez się w dokładniejszym przedstawieniu właśnie tych samodzielnie zbadanych przedmiotów. Nie szukając tedy na naszej, przez wypadki zewnętrzne tak upośledzonej ziemi, Salomona wszystkowiedzącego, nie można też uważać za zbyt wielką wadę dzieła proponowanego, jeżeliby się znalazło takie, które, przedstawiając niektóre gałęzie literatury samodzielnie, rozebrałoby i przedstawiło resztę na podstawie specjalnych badań autorów kompetentnych, byleby tylko autor stał na stanowisku dzisiejszej nauki i oceniał sprawiedliwie stopień wiedzy na tém polu w danej epoce przeszłości. Ktokolwiek przedsiębrał szersze prace naukowe przyznać zechce, że tak się rzeczywiście dzieje, bo nawet metoda krytyki naukowej wymaga takiego postępowania dla gruntownego rzeczy rozbioru. Z drugiej strony nie będzie może i o to sporu, że takiego obniżenia wymagań konkursowych, potrąconego zaledwo w programie, jak to p. Ch. sam zauważył, nie mogliśmy jednak wprowadzać wyraźnie do ogłoszenia, boby takie ograniczenie mogło właśnie pomieszać szyki autorom, którym chcieliśmy zostawić zupełną swobodę jeżeli nie co do metody, o ile wypadało wskazanę, to co do rozmiarów przedsiębraującej pracy. Dokładniejsze samodzielne przedstawienie rozwoju myśli w poezyi i wymowie, w filozofii albo prawie, w historyografii lub geografii, w beletrystyce lub naukach ścisłych, nie ukoronuje wprawdzie w zupełności dzieła proponowanego, dążącego do objęcia całości; ale skoro przedstawiać będzie pewien przybytek nowych prawd naukowych, podniesie wartość całości znakomicie i do osiągnięcia palmy najwyższej dopomoże. Wśród takich warunków mogą powstać rozmaite dzieła, z pomiędzy których przy naturalnej względnej ich wartości, łatwiej będzie wybrać najlepsze, najdoskonalsze. Takich szczegółów, wynikających z samej metody pracy naukowej, nie można jednak było zamieszczać w samym ogłoszeniu bez nadwężenia głównej zasady.

P. Ch. zdaje się nawet podzielać ten pogląd (ostatnie wiersze

str. 588 i kilka pierwszych następującej stronnicy); ale zachodzi tylko między nami ta różnica, że p. Ch. nie ma tego, co my zaufania do prac przygotowawczych, jakie na tém polu już posiadamy. Nie przeczymy bynajmniej, że badacz sumienny nie może się zawsze spuszczać na dzieła dawniejsze z dziedziny historii literatury, nawet dosyć rozgłośne; ale patrząc na niektóre monografie téj wartości naukowej co Ant. Małeckiego, K. Mecherzyńskiego, Rzązewskiego, Faleńskiego, Nehringa i i.; nie możemy spoglądać na tę przeszłość z bezwzględnym lekceważeniem, a to już z tego powodu, że gdybyśmy tylko to uważali za posiadające naukową wartość, co sami prawie dopiero robimy, tobyśmy nie wyszli nigdy z zadufanych w siebie nowych teorii na szersze pole pracy ogólniejszej, której ziarno tylko na gruncie przez poprzedników przygotowanym wzejść i obfity plon wydać może.

Oprócz tego wymaga jeszcze jedno twierdzenie p. Chmielowskiego objaśnienia. W programie powiedzieliśmy, że dokładny obraz stanu szkół w w. XVII-ym uwydatni dopiero wartość różnych reform na polu edukacji publicznej przedsiębranych. P. Chmielowski zrozumiał ten ustęp w ten sposób, jakobyśmy wymagali przedstawienia tego związku przeszłości z przyszłością i stawiali to za jeden z warunków konkursu; gdy tymczasem uważne przeczytanie tego ustępu powinno przekonać czytelnika, że nie stawiamy téj kwestyi w rzędzie zadań konkursowych; ale zwracamy tylko na nią uwagę, jako na argument, popierający ważność i doniosłość zadania konkursowego, nadmieniamy o tém dla tego, że spodziewamy się z pracy uwieńconej prócz innych i takiego zbawiennego rezultatu, który sam z siebie wyniknie z dzieła w sposób wskazany dokonanego, bez szczegółowych téj kwestyi w samém dziele wywodów.

Zresztą wdzięczni będziemy redakcyi Ateneum za wszelką uwagę naukową, która nietylko do rozpowszechnienia wiadomości o ogłoszonym konkursie, ale do wszechstronnego poruszonej sprawy wyjaśnienia przyczynić się może. Redakcyja „Biblioteki,“ drukując w zeszycie niniejszym kilka wiadomości o dwóch poetach wieku XVII, podanych przez Ad. Bełcikowskiego, składa dowód, że pragnęłaby, o ile możności prostować drogi dla podejmujących jęj zadanie konkursowe, i gotowa drukować każde poważniejsze studyum do téj epoki się odnoszące, choćby np. wiadomość o dziele ks. Rostowskiego Stanisława, profesora akademii wileńskiej († 1782) pod tyt. „Lithuanicarum Societatis Jesu historiarium provincialium (Pars I. Wilno 1768, wyd. 2-gie 1772, Cz. 2-ga, Wilno 1770), gdzie znajdujemy wiele danych bibliograficznych, zebranych z archiwum towarzystwa, o których ani Starowolski, ani Braun nie wiedział i o których nowsza bibliografia (Estreicher, dr. Wisłocki, (Katalog biblioteki uniw. jagiel. Kraków 1871—1877). Dr. Wojc. Kętrzyński (Katalog rękopisów Bibl. Ossol. Lwów 1880—83, zesz. 3-y), z trudnością tylko dowiedzieć się może.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Marzec 1884.—Muzeum narodowe w Rapperswyłu. Oświadczenie. Wobec głoszonych przez niektóre dzienniki wiadomości na prostych domysłach opartych i fałszywych tyczących się Muzeum w Rapperswyłu, członkowie Zarządu którym przyszłe losy tej instytucji są powierzone, czują się w obowiązku zaprotestowania przeciwko potwarzom, składając następujące oświadczenie.

1) Twierdzenie, jakoby w pierwszych latach istnienia Muzeum, zbiory jego miały być ofiarowane Akad. krakowskiej, oparte jest na dowolnem a fałszywem zrozumieniu pisma urzędowego z d. 10 Lipca 1873, podpisanego przez prezesa Akademii i jej sekretarza, które świadczy, iż w razie śmierci założyciela Muzeum, opieka tylko nad instytucją mogła być Akademii powierzona, ale nie własność jej przekazaną.

2) Zarzut, jakoby akt ofiarowania narodowi Muzeum przez założyciela, miał być nieważnym dla tego, iż brak prawnego właściciela, upada w obec praw krajowych Szwajcaryi, które uznają zarząd zakładu za osobistość prawną.

3) Na instytucji tej, wbrew wieściom nieuzasadnionym żaden dług nie ciąży, gdyż założyciel rzekł się i darował narodowi to, co na Muzeum wyłożył w ciągu trwania jego (?) przez lat czternaście.

Dowodzić niepotrzebujemy, iż Muzeum po za granicami kraju równie ma przyczynę (?) bytu i użyteczność oczywistą, jak muzea i zbiory w granicach jego się znajdujące. Szkodliwość jego niczem się dowieść nie daje(?), chyba osobistą fantazją tych, co o niej chcą napróżno przekonać. Poniesione straty dotkliwe w zbiorach, bibliotekach, muzeach, których cel i przeznaczenie zwichnięte zostało, najlepiej o tem świadczą.

Dzisiejszy stan Muzeum i zebrane w niem drogie zabytki, liczba osób corocznie je zwiedzających, szczególnie cudzoziemców, którzy uczą się tu naszych dziejów, zwycięzko mówią przeciwko złośliwym a niczem nieusprawiedliwionym zarzutom.

Dnia 5 Lutego 1884,

Założyciel i członkowie Zarządu

(podpisano): *W. Plater, J. I. Kraszewski, Stefan Buszczyński.*

— Konkurs na pomnik Mickiewicza. Dnia 1-go marca odbyło się w Krakowie posiedzenie komitetu pomnika Mickiewicza. Po zdaniu sprawy ze stanu funduszów, których ogólna kwota wynosi 103,149 złr. 46 cent., wybrano komisją rewizyjną do sprawdzenia rachunków, i przystąpiono do dyskusji nad wnioskiem komisji programowej co do warunków konkursu na pomnik, którego warunki są następujące: 1) Pomnik ma stać w rynku Krakowa w pobliżu kościoła Panny Maryi i Sukiennic, przed szeregiem domów połaci północnej Rynku. Odpowiednie miejsce wskaże dołączony plan sytuacyjny. Pozostawioném jest pomysłowi artysty, w którą stronę Rynku twarz Mickiewicza obrócić zechce. Obrona przez artystę strona twarzy ma być na załączonym planie wyraźnie wskazana. 2) Pomnik mając stać w pośrodku placu, ma być samoistnym z dominującą postacią Mickiewicza. 3) Pomnik winien zachować charakter stylu odrodzenia, z użyciem granitu na części architektoniczne, brązu na figurę główną, grupy lub figury dodatkowe, także na płaskorzeźby i na szczegóły ornamentacyjne. 4) Koszta wykonać się mającego pomnika, według złożonego projektu, nie mogą przenosić 125,000 złotych austriackich. 5) Przyjmowane będą do konkursu tylko rzeźbione projekty, wykonane w gipsie na skalę $\frac{1}{10}$ rzeczywistej wielkości. Wymaga się przytém tak starannego wykończenia modeli, izby dawały dokładną miarę sądu o zdolności wykonania utworu. Dlatego téż wolno będzie projektującym dołączać na większą skalę modelowane główne postacie z pomnika. Projekta rysunkowe lub same fotografie, choćby robione z rzeźb przygotowanych do konkursu, przyjmowane nie będą. Środków tych jednak wolno użyć dla objaśnienia. 6) Układ pomnika powinien odpowiadać warunkom monumentalnym tak w części figuralnej, jak i architektonicznej. 7) Terminem ostatecznym do nadsyłania prac konkursowych jest dzień 31-y grudnia 1884 do godziny 3-jej po południu. 8) W skład jury wejdzie obok znawców i artystów krajowych, dwóch zaprosić się mających znakomitych rzeźbiarzy zagranicznych; jury przyzna nagrody, a komitet je wypłaci. 9) Nazwisko sędziów ogłosi komitet na trzy miesiące przed terminem konkursu. 10) Pierwsza nagroda w summie 3,000 złr., przyznana będzie projektowi bezwzględnie dobremu, który według orzeczenia jury odpowiada warunkom wykonania. Dwie drugie w kwotach 1,500 i 1,000 złr., przeznaczone są dla najlepszych stosunkowo projektów. Projekta premiowane zostają własnością komitetu pomnika Mickiewicza. 11) Modele zaopatrzone odpowiednimi godłami, z dołączeniem odpowiednich kopert, mieszczących nazwisko i adres autora projektu, i podobnymi godłami na wierzchu zaopatrzonych, nadsyłać należy za zwrotem połowy kosztów, do prezydium rady m. Krakowa. Wszelkie objaśnienia i kosztorysy dla użytku sędziów, winny być w osobnych nadsyłane kopertach, 12) Modele nadesłane po terminie konkursowym, lub nieodpowiadające ściśle jego warunkom, od konkursu odsunięte będą. 13) Fotografie miejscowości, w której pomnik ma być ustawiony, znajdują się u foto-

graфа Kriegera w Krakowie (Rynek nr. 37), i tam nabyć je można.

— Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem wydało sprawozdanie ze swęj działalności za rok 1883. Widzimy z niego, że z dniem 31-m grudnia r. z. Towarzystwo liczyło ogółem członków 2,613, w tęj liczbie 31 honorowych, 1,478 rzeczywistych, 1,023 zwyczajnych i 81 członków-korespondentów. Dzień w ciągu roku wystawiono 300, z tych sprzedano 30 za sumnę 4,798 rub. 82 kop.; do tęj liczby dodać należy 45 dzieł nabytych przez komitet Towarzystwa dla rozlosowania pomiędzy członków za sumnę 4,420 rub.; razem przeto z Wystawy Towarzystwa w ciągu roku ubiegłego sprzedano 75 dzieł sztuki za 9,218 rub. 82 kop. Posiedzeń komitet odbył w roku sprawozdawczym 30. Dochód zwyczajny Towarzystwa przyniósł ogółem 16,631 rub. 55 kop. Na sumnę tę składają się następujące rubryki: a) składka od członków 12,375 rub.; b) zasiłek rządowy 1,850 rub.; c) bilety wnięścia 1,418 rub. 75 kop.; d) sprzedaż rycin 90 rub.; e) komisowe od sprzedaży dzieł sztuki 269 rub. 14 kop.; f) procenta od funduszów Towarzystwa 345 rub. 87 kop.; g) zysk osiągnięty z zamiany papierów publicznych 482 rub. 79 kop.—Rozchód uczynił 10,641 rub. 90 kop.—Po odliczeniu 10% na kupno dzieł do zbiorów Towarzystwa i na konkursy, 2% na kapitał zapasowy, oraz 4,420 rub. na kupno dzieł sztuki dla rozlosowania pomiędzy członków, pozostaje na 1884 rok 1,650 rub. 90 kop. Oprócz tęj pozostałości, sprawozdanie wykazuje, że fundusz na kupno zbiorów i konkursy z oszczędności dawniejszych wynosi 1,503 rub 49 kop., kapitał zaś zapasowy 3,225 rub. 71 kop.—Sprawozdanie niniejsze, odczytane na posiedzeniu Towarzystwa w d. 22-m marca r. b., zawiadamia dalęj, że fundusz na budowę własnego domu po koniec roku ubiegłego doszedł kwoty 34,000 rubli łącznie z oszczędnościami Towarzystwa z lat poprzednich i kapitałem zapasowym. Fundusz ten umieszczono w 5% listach zastawnych Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, przechowujących się w Banku Polskim. Na powiększenie tego funduszu w roku zeszłym wpłynęły następujące znaczniejsze ofiary: a) z koncertu panny Józefiny Reszkówny 1,263 rub. 54 kop.; b) od rodziny Szajblerów i Herbstów w Łodzi 1,000 rub.; c) wystawa obrazu H. Siemiradzkiego „Światło i Ciemności“ przyniosła 750 rub. 50 kop.; d) p. Felix Gebethner złożył gotowizną 3,096 rub. 50 kop.; e) p. Władysław Kronenberg w piśmiećnej deklaracji złożył zapewnienie wypłaty 1,000 rub. z chwilą rozpoczęcia budowy domu dla Towarzystwa.—Niktórzy artyści ofiarowali do spieniężenia kilka obrazów i 3 okazałe ramy do obrazów. Z dniem 1-m kwietnia r. b. Towarzystwo opuszcza dziś zajmowany lokal, który zajmie Muzeum Przemysłu i Rolnictwa; przenosi się zaś do wynajętego przez się Salonu Ungra, umyślnie przed trzema laty dla Wystawy dzieł sztuki plastycznej zbudowanego. Rocznoego czynszu opłaci Towarzystwo za Salon Ungra 3,500 rub., ponieważ zaś samo wcześnięj o całe pół roku ustępuje z dotychczasowego lokalu, przeto Muzeum Przemysłu i Rol-

nictwa wypłaci Towarzystwu 1,500 rub. tytułem ustępstwa. Przy tej sposobności nadmieniamy, że Towarzystwo odbyło w dniu 22-m b. m. doroczne swe posiedzenie, na które z 2,613 członków, stawilo się tylko kilkudziesięciu.

— Urząd starszych pragnąc, aby Zgromadzenie drukarzy warszawskich przyczyniło się do większego uzdolnienia pracowników w zawodzie drukarskim, wspólnie z radą pomocniczą Zgromadzenia ogłasza konkurs na napisanie „Przewodnika dla drukarzy.“

Warunki konkursu są następujące:

1. „Przewodnik“ obejmować winien pod względem teoretycznym wszystkie wskazówki konieczne do jaknajobszerniejszego poznania pracowników zawodu drukarskiego ze wszystkimi wymaganiami sztuki.

2. „Przewodnik dla drukarzy“ składać się winien z dwóch części, odpowiednich dwom gałęziom drukarstwa, t. j. w pierwszej obejmować winien wskazówki dla zecerów, w drugiej dla maszynistów drukarskich.

3. Do napisania „Przewodnika“ dopuszczają się li tylko drukarze, wykwalifikowani przez Zgromadzenie warszawskie.

4. Konkursowa praca około „Przewodnika,“ może być przedsięwzięta wspólnymi siłami zecera i maszynisty, lub też oddzielnie opracowana być może przez zecera część zecerska, a oddzielnie przez maszynistę część mechaniczna.

5. „Przewodnik“ dla drukarzy powinien być zaopatrzony w odpowiednie rysunki.

6. Wysokość wynagrodzenia dla pracy za najlepszą uznanęj, oznacza się na rs. 300, którą wypłaci kasa Zgromadzenia albo w całości pracy, za najlepszą uznanęj, albo rozdzieli między tych, których części prac do najlepszych zaliczone zostaną.

7. Prace konkursowe winny być składane bezimiennie, przy zapieczętowanęj kopercie, zawierającęj nazwisko konkurującego, a na wierzchu godło, znajdujące się i na rękopisie.

8. Praca, uznana za najlepszą, przechodzi na własność Zgromadzenia drukarzy, którego kosztem ogłoszoną będzie drukiem, a fundusz z jęj rozprzedaży osiągnięty, obrocony na korzyść kasy Zgromadzenia, dla pokrycia kosztów na jęj wydanie poniesionych.

9. Termin ostateczny do nadsyłania prac konkursowych, oznacza się na dzień 31 marca r. 1885.

10. Prace konkursowe nadsyłane być winny pod adresem urzędu starszych Zgromadzenia drukarzy.

Warszawa 10 marca r. 1884.

Starszy Zgromadzenia *Ignacy Zawiszewski*,
Podstarszy *Kazimierz Goloński* ¹⁾.

¹⁾ Podobny przewodnik p. t.: „Teorya sztuki drukarskiej, zastosowana—
Tom I. Kwiecień 1884.

— Posiedzenie komisji antropologicznej Akademii Umiejętności. Drugie z porządku tegoroczne posiedzenie komisji antropologicznej Akademii Umiejętności, odbyło się d. 12 marca r. b. Zagałę je przewodniczący komisji, prezes Akademii dr. J. Majer przemówieniem, w którym oznajmił smutną wieść o zgonie niespodzianym członka tej komisji d-ra Wł. Klugera. Oprócz zasług uczonych tego uzdolnionego w inżynierii pracownika i wielkich nadziei, jakie w nim pokładano na przyszłość ś. p. Wł. Kluger przyczynił się niemało do powiększenia najpiękniejszej części zbiorów akademickich, ofiarując do Muzeum Akademii zgromadzone przez siebie wykopaliska przedhistoryczne peruwiańskie. Wielce cenny i niemałej doniosłości naukowej zbiór ten stanowią wykopaliska grobowe, tkaniny, broń i ceramika, co wszystko podczas swego pobytu w Ameryce z wielką troskliwością zebrał, a złożyłwszy je w ofierze do zbiorów akademickich, sam uporządkował w system ściśle naukowy. Obecni, przejęci uczuciem prawdziwej boleści, oddali przez powstanie hołd pamięci zasłużonego ziomka.

Sekretarz komisji, dr. J. Kopernicki, odczytał następnie protokół z posiedzenia poprzedniego, a po przyjęciu go przez obecnych, przedstawia członkom dary, nadesłane przez rozmaite osoby przeznaczone do zbiorów archeologicznych Akademii Umiejętności. Dary te są:

1) Znaleźiska wyrobów kamiennych z okolic Modlnicy pod Krakowem, zebrane i ofiarowane przez p. Juliana i p. Józefę Konopków, za pośrednictwem członka komisji pana G. Ossowskiego. 2) Dłuto krzemienne, znalezione w Ryczynie w powiecie wągrowieckim, ofiarowane przez pannę Leokadyę Mirosławską za pośrednictwem tegoż i 3) zabytki, znalezione w kurhanach wsi Żydowie i w Jerczykach Żdowieckich w powiecie skwirskim, wykopane przez pana Botądzia, a ofiarowane przez p. Nejmana z Kijowa, za pośrednictwem sekretarza komisji, d-ra J. Kopernickiego. Wszystkie te dary, jako niemałoważny przyczynek do powiększenia wzrastających zbiorów archeologicznych Akademii Umiejętności i mające niemałe znaczenie naukowe, przyjęto z wdzięcznością. Z pomiędzy tych przedmiotów zaznaczamy szczególnie dłuto krzemienne ryczyńskie, jako zbytek wyrobiony z krzemienia, przechodzącego w jaspis mozaikowy, pięknego plamistego rysunku, przytrafiający się na ziemiach naszych bardzo rzadko,—wyjątkowo. Odznacza się ono także niepospolicie pięknym obrobieniem powierzchni. Niemałego też znaczenia naukowego są znaleźiska modlnickie, złożone z wyrobów kamiennych. Staraniem tychże wyżej wspomnianych ofiarodawców, Akademia Umiejętności posiada już poważny zbiór podobnych wyrobów, pochodzących

na do praktyki“ przez zecera Ząbkowskiego napisany, wyszedł z druku w Warszawie, r. 1832. Od owej daty zrobiono i na tém polu nie małe postępy, które drukarnie nasze znać powinny.

Red.

z tejże saméj miejscowości, w którój, jak widać z pozostałości przez czas już długi tam znajdujących, istnieć musiała w czasach przedhistorycznych znaczna osada (stacya).

Zkolei porządku dziennego, przedstawiono wnioski sekretarza komisji, d-ra J. Kopernickiego, dotyczące ustalenia zasad, jakimi się ma nadal kierować red. „Zbioru wiadomości do antropologii krajowój,” przy drukowaniu w części etnograficznej tej publikacji takich ustępów, które, bądź z treści saméj, bądź z formy nie nadają się w zupełności do publikacji w druku. Wnioski te załatwiono w myśl wnioskodawcy.

Nastąpiło za tém sprawozdanie p. G. Ossowskiego o badaniach paleo-etnologicznych, dokonanych przez niego ostatniego lata w jaskiniach okolic Ojcowa. Ze sprawozdania tego widać, że p. G. Ossowski po kilkuletnich badaniach poprzednich w jaskiniach okolic Krakowa, uważając je za dostatecznie już wyczerpane pod względem naukowym, ciąg dalszy tychże badań przeniósł na okolice Ojcowa. Badania tego nowego obszaru rozpoczął od wąwozu ojcowskiego, w którym zbadał podczas ubiegłego lata jaskinię maszycką, położoną na lewém wybrzeżu Prądnika, w lesie, należącym do wsi Maszyc i odległą od zamku ojcowskiego o małe pół mili na południe. Referent przedstawił przekrój pionowy téj jaskini i objaśnił stratygraficzny układ warstw jéj namuliska. W dwóch jéj warstwach, mających trzy metry ogólnéj miąższości, spoczywały obfite zabytki ręki ludzkiej czasów przedhistorycznych. Z obu jednakże tych warstw wydobyto wykopaliska zupełnie od siebie różne pod względem archeologicznym. W warstwie wierzchniej znajdowało się sporo łupanych narzędzi krzemienych wcale nieotłukiwanych, wyroby kamienne gładzone (siekiery, kliny, młoty i t. p.) i kamienie żarnowe, wyroby z rogu jelenia (młoty i t. p.) i narzędzia i ozdoby z kości tak kopalnej jako téż i bydłocój (szydełka, łopatki, wisiorki), a nakoniec mnóstwo szczątków naczyń glinianych w ręku lepionych, gładkich i zdobionych, oraz paciorki gliniane. Przymiennie wszystkiem znajdowało się wielkie mnóstwo kości łupanych zwierzęcych fauny tegoczesnej, domowój i leśnej. Charakter archeologiczny tego wykopaliska jest zupełnie podobny do wykopalisk, pochodzących z warstwy *b* jaskini północnego pasu obszaru krakowskiego, badanych przez tegoż archeologa w latach poprzednich. W warstwie spodniej, podobnej ze swego składu litologicznego do warstwy *c* jaskiń obszaru krakowskiego, wykopalisko składało się głównie z *broni*, wyrabianój z żeber mamuta, nosorożca i innych wielkich gatunków fauny zaginionój, oraz z kości słonowój (z kła mamuta). Broń tę stanowiły *groty* pociskowe (oszczepowe) i *rohatory*. Jedne i drugie, pięknie wyrobione, przyozdobione były ornamentyką charakteru archaicznego. Oprócz tych wyrobów były tu narzędzia ostre (szydła) i łopatki, także zdobione w tym samym guście, wyrób zagadkowy z rogu renifera (godło władcy?), łupane narzędzia krzemienne, otłukiwane w kształcie nożów wielkich i ciężkich, kamienie

ogładzone, oraz ślady farb mineralnych (limonitu) i użytku ich. Żadnych śladów ceramiki i spalenisk w warstwie tej nie było zgoła. Wszystkie kości należały do fauny dyluwialnej i były napłynięte.

Wykopaliska obu tych warstw przedstawiają zabytki kunsztu przedhistorycznego dwóch różnych i najprawdopodobniej dalekich od siebie epok owych czasów i stanowią dwa odrębne ogniwa cywilizacji przedhistorycznej: ogniwo maszyckie i północno-krakowskie. Pierwsze jest o wiele starożytniejsze od ostatniego. Referent przedstawił przytém całe wykopaliska, zdobyte z warstw obu i wskazał na cechy charakterystyczne, różniące je pod względem archeologicznym. Przedmiot tego referatu wzbudził w wysokim stopniu zainteresowanie i wywołał długą i ożywioną dyskusyą, w której brali udział wszyscy obecni członkowie.

— Towarzystwo Słowiańskie w Petersburgu miało w roku 1883 dochodu 44,000 rub., rozchodu 51,000. W skutek tego naruszono kapitał żelazny, niewiele wynoszący, bo tylko 233,000 rubli. Na stypendya naukowe „dla Słowian“ wydatkowano 4,522 rubli. (Obecnie stypendystów jest 19: galicyan 1, grek 1, bulgarów 7 i serbów 10). Na pensye byłym ochotnikom w wojnach z Turcyą wydano 2,000 rubli. W ogłoszonych temi czasy tematach konkursowych towarzystwa znajduje się jeden imienia A. Hilferdinga: „Zbadanie w porządku chronologicznym dziejów zewnętrznych Węgier, Czech, Polski i Rusi.“

— „Encyklopedyi wychowawczej“ wyszedł z druku zeszyt 3 tomu III-go, zawierający artykuły, które zasługują na pilną uwagę szerszego koła czytelników. Dokończony w zeszycie niniejszym artykuł A. Smorczewskiego p. t. „Czechy“ przedstawia dokładny obraz całego systemu edukacyjnego w Czechach, z uwzględnieniem najnowszych nawet przeobrażeń, spowodowanych otwarciem uniwersytetu czeskiego. Starania wytrwałe odradzającego się narodu czeskiego na polu oświaty narodowej, poczynwszy od szkół elementarnych wiejskich i miejskich aż do uniwersytetu, zasługują na wszelkie uznanie, a redakcyi należy się wdzięczność, że nie wahała się artykułu dość obszernego w „Encyklopedyi“ pomieścić, bo fakta tego rodzaju uczą niekiedy więcej aniżeli subtelnue teoretyczne wywody. Z drugiej strony nie znajdujemy przyczyny, dla której poświęcono tak dużo miejsca kwestyi takiej, jak „Czesne“ (honorarium za prelekcye w uniwersytecie), bo sprawa ta nie ma pedagogicznego znaczenia. Z korzyścią za to czytamy artykuł p. A. G. pod tyt. „Czyn“, nacechowany duchem podniosłym, poglądem szerokim i wielce pouczającym tak dla rodziców, jako i nauczycieli i dla kształcącej się młodzieży. Następujące 2 artykuły: Czystość i Czystość ciała zawierają bardzo wiele dobrych wskazówek pod względem moralnym i higienicznym. — Znany tłumacz liryków greckich, prof. krakowski J. Czubek przedstawił gruntowne studyum p. t. „Czystość języka“, które, opierając się na szerszej podstawie na-

ukowej, wykazuje szkodliwy wpływ języków obcych, zanieczyszczających indywidualność rodzinną języka w „Słowniku,” w Gramatyce, w „Składni” w „Stylu.” Szereg przykładów, dowodzących zepsucia i skażenia języka pod wpływem obczyzny i lekkomyślności piszących, możnaby znacznie powiększyć; ale autorowi chodziło widocznie więcej o zasady ogólniejsze aniżeli o drobne szczegóły, chociaż i o nie potrąca. Bez szkody dla samego zadania można było pominąć na tem miejscu kwestyą początku języka, bo to przechodzi granice pedagogiki praktycznej. W artykule „Czytelnie” znajdujemy pożądaną przestrożę i wskazówkę co do większego dozoru nad tem, co młodzież czytać powinna. Biograficzny artykuł p. L. p. t. „Daniel Defoe” stanowi ważną kartę w historii pedagogii, a w szczególności rzuca wiele nowego światła na pojęcia edukacyjne w Anglii XVII-go wieku. Początek artykułu „deklamacya” zapowiada poważne studyum nad jednym z ważniejszych środków kształcenia wymowy, estetycznego poczucia piękna poetycznego i fantazyi. Z wskazanej powyższej treści może czytelnik powziąć wyobrażenie o obfitym materiale naukowym, który w sobie mieści tak pożyteczne wydawnictwo, jakim bez zaprzeczenia jest „Encyklopedia wychowawcza,” która, nie zrażając się żadnemi przeszkodami, mimo apatycznej obojętności rodzin potrzebujących takiego doradcy, pragnie iść w pomoc równie szkole jak i wychowaniu. Zachowanie nietylko terminów szkolnych, ale i czystości i poprawności języka szkolnego jest zadaniem, o które redakcyja widocznie najtroskliwsze ma staranie. Potrzeby takiego dzieła zapewne też zbyt liczna dowodzi współczesnemu pokoleniu, od którego przecie zależy przyszłość oświaty i cywilizacyi narodowej.

St. K. T.

— „Słownika geograficznego król. Polskiego i innych krajów Słowiańskich” wyszedł T. V-go zeszyt 3-ci (w ogóle 51) i obejmuje artykuły od Leśnictwo do Linki. Z większych artykułów zeszyt ten zawiera: Leśniki, wieś w pow. Kijowskim; Leszno, miasto w W. Ks. Poznańskim w powiecie wschowskim, głośnie ognisko braci czeskich i kalwinów;—Leżajsk, Lida i i. „Słownik geograficzny” jest dziełem nie tylko dla podręcznej dokładnej informacyi niezbędnem, ale nawet dla badacza dziejów bardzo użytecznem, bo zawiera obfite wiadomości geograficzne o drobnych nawet miejscowościach, nie mniej wskazówki geologiczne, pamiątki archeologiczne i historyczne, wreszcie bogaty zasób danych statystycznych, które przy braku dokładniejszej statystyki w wielu razach zastąpić ją mogą.

— Biblioteki matematyczno-fizycznej, wydawanéj pod red. M. A. Baranieckiego wyszły 3 dzieła: 1) M. Berkmana: „Początki arytmetyki” 2) Michała Baranieckiego „Arytmetyka; 3) Wład. Zajęczkowskiego,” Geometrya analityczna. Wydawnictwo to zasługuje na szczególny rozbiór na innem miejscu: tymczasem nadmieniamy tylko, o czem już przy rozbiórce 2-ch pierwszych książeczek tego wydawnictwa pisaliśmy, że zapospiesznie wprowadził sz. redaktor do tych pod-

ręczników pisownią bynajmniej jeszcze nie ustaloną, bo to, podniecając arogancją młodych umysłów, skwapliwych już i tak do wszelkiego nowatorstwa, pomnaża tylko chaos, którego końca nie widać.

— Nakładem S. Lewentala, redaktora „Kłosów“ wyszedł z druku:

a) Nowy tom „Biblioteki najcenniejszych utworów literatury europejskiej“ z działu „Literatury polskiej“, zawierający pierwsze wydanie zbiorowe prac znakomitszego poety wieku XVII-go, Jana Andrzeja Morsztyna, opatrzone słowniczkiem archaizmów i imion własnych. Tytuł dzieła: Jan Andrzej Morsztyn. Poezye oryginalne i tłómaczone. Warsz. 1883. Na początku czytamy obszerne studyum literacko-krytyczne, napisane przez p. Chmielowskiego. Opinii—zresztą dosyć powszechniej—jakoby stronnictwo francuzkie za Jana Kazimierza w Polsce, w którem Morsztyn, zaufany agitator i powiernik Maryi Ludwiki, wybitnie zajmował stanowisko,—jakoby, mówię, to stronnictwo reprezentowało świadomie i z wyraźnym planem ideę wzmocnienia władzy monarchicznej w Polsce. Opinii téj nie popiera p. Ch. żadnemi dowodami historycznemi, a bez tego nie można téj czysto familijnej intrygi, forytującej tak pokaźnie nietykalność praw wolnej elicy na rzecz Kondeusza, podnosić do znaczenia stronnictwa monarchicznego. W każdym razie ułatwia poważne studyum p. Chmielowskiego również jak i to pierwsze zupełne krytyczne wydanie poezyi Morsztyna badanie historii literatury polskiej w wieku XVII-ym.

b) Elizy Orzeszkowej: Z życia realisty. Warsz. 1884. Jest to tom 2-gi wydania zbiorowego.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszło zbiorowe wydanie dzieł Wacława Szymanowskiego w 5-ciu tomach p. t. „Poezye i Dramata.“ Druk J. Bergera. Warszawa, 1884. Stanowisko Wacława Szymanowskiego w literaturze naszej nowszej jako poety i autora samodzielnego, niemniej i jako zdolnego tłómacza poetów obcych, jest powszechnie uznane, tak że nie tylko badacz najnowszej historii literatury polskiej, ale i szersze koło czytelników z wdzięcznością wydawnictwo to powitać może. Jak wszystkie nakłady téj znaniej firmy odznacza się i ta edycya Pism Wacława Szymanowskiego starannością i piękną formą zewnętrzną.

N e k r o l o g i a.

— † Ś. p. *Władysław Kluger*, zasłużony młody pracownik na mało uprawianém u nas polu nauk ścisłych, umarł w miesiącu lutym r. b. w San-Remo, nad morzem Śródziemném, gdzie szukał poratowania zdrowia. Kluger urodził się w Krakowie około roku 1849, wykształcenie inżynierskie pobierał w Paryżu, i tam też pospół z Kucharzewskim, dzisiejszym redaktorem „Przeglądu Technicznego,” wypracował obszerne dzieło p. t. „Wykład hydrauliki i teoryi machin wodnych.“ Paryż 1873, nakładem Jana hr. Działyńskiego. W następnym roku Kluger z Folkierskim i kilku innymi polakami udał się do Peru, dokąd go rząd Rzeczypospolitej zaprosił na kierownika zamierzanych robót inżynierskich i na profesora nauk ścisłych. Kluger objął katedrę hydrauliki w Limie, a zarazem był przewodniczącym w wielu przedsięwzięciach technicznych, przy badaniu kraju pod względem przyrodniczym (zob. wyżej str. 156). Atoli nie zapomniał o krainie najbliższej serca. W r. 1877 ukazał się w Paryżu: „Wykład wytrzymałości materyałów i stałości budowli,” skreślony przez Klugiera. W roku następnym Akademia um. w Krakowie otrzymała od niego bogatą kolekcją okazów antropologicznych i etnograficznych zebranych w Peru. Jednocześnie Kluger ogłaszał w pismach polskich swoje spostrzeżenia nad charakterystyką układu gruntu, florą, fauną i ludnością dalekiej równikowej Rzplitej. Część tych prac jego dorywczych ukazała się w osobnej książce p. t. „Listy z Peru,” i świadczy o rozległości wiedzy badacza. Przed kilku laty cierpienia piersiowe zmusiły Klugera opuścić Amerykę i szukać ratunku w Europie; lecz i błogostawiony klimat pobrzeży morza Śródziemnego nie zdołał powstrzymać fatalnego wzrostu choroby. Nauka polska, ubolewająca nad tą stratą, składa wieniec wdzięczności na trumnie zgasłego pracownika.

— † Dnia 7-go marca 1884 r. zmarł w Warszawie *Aleksander Lesser*, znany zaszczytnie na polu historycznej sztuki malarz. B. p. Aleksander Lesser urodził się w Warszawie w r. 1814. Pierwsze wykształcenie otrzymał w warszawském liceum, pod kierunkiem takich profesorów, jak Bogumił Linde, Maciejowski i inni. Wpływ tych ludzi, zamiłowanych w historyi i w starożytności, odbił się późnziej w życiu artysty. Po studyach odbytych w kraju, kształcił się Lesser dalej w Dreźnie, ostatecznie zaś w Monachium, pod okiem znakomitych mistrzów, głównie zaś Corneliusa. Następnie odbył podróż artystyczną po zachodniej Europie, gdzie badał troskliwie i z zamiłowaniem sztukę malarską i jej dawne zabytki w licznych muzeach tamtejszych. Już w r. 1833 b. p. Aleksander, potrafił zdobyć sobie pewien rozgłos, jak o tém świadczą i nagroda pieniężna, jaką wówczas otrzymał

w Dreźnie, i medale srebrne, jakeimi go obdarzono później nieco, na dwóch wystawach w Warszawie, w latach 1838 i 1841. W licznych swoich obrazach, tak religijnych jak historycznych, b. p. Aleksander odznaczał się sumiennością traktowania przedmiotu i rysunkiem poprawnym. Największą jednak zasługą zmarłego artysty było to, że wraz z ś. p. Januarem Suchodolskim, pracował nad wprowadzeniem historycznego żywiołu do naszego malarstwa. „Wydobycie zwłok utopionej Wandy“, „Habdank“ i „Obrona Trembowli“, były najbardziej wydatnemi dziełami b. p. Aleksandra na tej dziejowej drodze. Prócz tych, malował jeszcze wiele innych, treści historycznej obrazów—jak „Krzywousty“, „Hołd pruski“ i „Śmierć Kopernika.“ Z religijnych prac jego—ceniono „Wniebowstąpienie Chrystusa“ i „Św. Magdalenę.“ Później już znacznie, zamieścił w „Wizerunkach“, wydawanych przez Dzwonkowskiego, portrety królów polskich, zdejmovane z wzorów pomnikowych. Z prac piśmiennych zasługują na bliższą uwagę: „Pamiętki piastowskie na Szlązku“ (Gazeta Codzienna w r. 1839 nr. 196) i „Dzieła Wita-Stwosza, oznaczone monogramami.“ (Tygodnik ilustrowany z r. 1863, nr. 196). Wogóle tak swoją wytrwałą pracą w historycznym rodzaju malarstwa, jak i całym życiem pracowitą i zaciętą, nieboszczyk Aleksander zjednał sobie sympatyę i szacunek we wszystkich społecznych warstwach i zgon jego, dotkliwy dla sztuki, wywołał żal powszechny i szczery.

— † Ś. p. **Włodzimierz Wolniewicz** zmarł w dniu 16-ym marca r. b. w Żrenicy, posiadłości swojej pod Środą w W. Ks. Poznańskim. Syn Antoniego, pułkownika z epoki legionów włoskich i nadreńskich, urodził się ś. p. Włodzimierz w r. 1812. Wykształcenie odebrał w Warszawie, poczem osiadł w W. Ks. Poznańskim, w Dembiczu pod Środą, biorąc żywy udział w ówczesnym ruchu literackim i politycznym, jako współpracownik ówczesnych pism peryodycznych poznańskich: *Przyjaciela Ludu*, *Przewodnika Rolniczo-Przemysłowego* oraz *Tygodnika Literackiego*. W r. 1846 schronił się do Francji, z kądem powróciwszy w r. 1848, jął się z zapałem pracy około podniesienia rolnictwa krajowego. Był przez lat kilka prezesem Towarzystwa Centralnego Rolniczego W. Ks. Poznańskiego, a jednocześnie pełnił obowiązki reprezentanta powiatu Średzkiego w sejmie prowincjonalnym poznańskim. Obok tego zasiliał artykułami swemi pisma miejscowe polityczne i techniczne. Życie ś. p. Włodzimierza było pełne serdecznej, niezmordowanej pracy około dobra publicznego. Cześć jego pamięci!

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*

ranieckiego (157). — „Poezye J. A. Morsztyna.” — „Z życia realisty“
Elizy Orzeszkowej. — Poezye i dramata Wacława Szymanowskiego.
(158).

XI. Nekrologia: Ś. p. Wł. Kluger. — B. p. Aleksander Lesser. —
Ś. p. Włodzimierz Wolniewicz. 159

XII. Ogłoszenia księgarskie.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA,

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przysiańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wnosić przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

 WARUNKI PRENUMERATY. 

Prenumerata **Biblioteki Warszawskiej** na rok 1884 wynosi w guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego:

Rocznie . . . rs. 12 kop. —
Półrocznie . . . „ 6 „ —

W Warszawie zaś:


Rocznie . . . „ 10 „ —
Półrocznie . . . „ 5 „ —
Kwartalnie . . . „ 2 „ 50

Upraszamy o nadsyłanie prenumeraty wprost do **Redakcji Biblioteki Warszawskiej, ulica Zielna, Nr. 7a**, gdyż tylko wtenczas może Redakcyja brać na swoje odpowiedzialność akurataną ekspedycyą pisma. Równocześnie upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty, ponieważ do tego musimy stosować ilość drukujących się egzemplarzy.

Przyjmują także prenumeratę wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Nadmieniamy, że dla informacyi czytelników, dołączamy do pojedynczych zeszytów wszelkie ogłoszenia, które prócz handlu księgarskiego i antykwarskiego, mogą się także odnosić i do innych interesów. Opłata za te ogłoszenia wynosi:

Za ogłoszenie, zappełniające 1 całą stronicę formatu Bibl. Warsz.	rs	5
„ „ 1/2 stronicy	„	3
„ „ 1/4 „	„	2

 **Redakcyja Biblioteki Warszawskiej:**
Zielna, Nr. 7a.